

TRWAJ, CHWILO!

DANUTA BIENKOWSKA TRWAJ, CHWILO!

Jeśli przed jaką złudą myśli moje klękna
I powiedzą: trwaj, chwilo, chwilo, jesteś piękna,
Wtedy twój będę i weź mnie w niewolę...
Johann Wolfgang Goethe, Faust

Dzień pierwszy

Zamknąć oczy. Oprzeć się wygodnie, rozluźnić mięśnie, odpocząć przed trudnymi dniami w Bukareszcie. Nie myśleć teraz o sprawach zawodowych. Za pięć dni powrót do Warszawy, męcząca jesień po lecie bez urlopu. Czy jednak można wybrać się na urlop w decydującej fazie prób laboratoryjnych? Ci młodzi tylko na to czekają, żeby wykorzystać okazję i wysunąć się na czoło, starych niech diabli wezmą, niech czym prędzej idą na rentę. O nie! Sama dopilnuje tych prób, sama zbierze żniwo tyloletniej pracy! Więc nie myśleć o niczym, nie patrzeć nawet na sztuczny krajobraz z waty ubarwionej tęczą. Ale też i nie spać, bo godziny snu są policzone: jeśli z nich uszczknąć coś w ciągu dnia, w nocy trzeba będzie leżeć bezsennie lub sięgnąć po pastylkę, która przynosi otępienie. Więc leżeć tak, na granicy jawy i snu, nie wsłuchując się zbyt w siebie, by nie poczuć lekkiego bólu w okolicy serca, niegroźnego bólu, skoro przedwczorajszy elektrokardiogram wypadł całkiem nieźle; więc nie wsłuchiwać się w to najcichsze memento mori, tylko cieszyć się błogością wytchnienia w miękkim, wygodnym fotelu i oddychać chłodną strugą powietrza bijącą, z wentylatora.

Jeśli uda się pomyślnie zakończyć te rozmowy w cią-

7

gu czterech dni, to piąty, ostatni, można będzie spędzić nad jeziorem. Pojechałaby do Snagoy najwcześniejszym autobusem i wynajęłaby łódkę do wieczora. Przeprawiłaby się na drugi brzeg, gdzie o tej porze nie ma żywego ducha, i tam, wśród trzciny i sitowia spędziłaby wiele godzin patrząc na niebo i wodę. Popłynęłaby sobie daleko. No, może niezbyt daleko, nie ma przecież zaprawy, dawno nie pływała, szybko się męczy, w razie czego nikt by jej nie przyszedł z pomocą. Woda w jeziorze musi być

teraz ciepła, nie ma tam fal, które w morzu nadbiegają zdradziecko, zalewają głowę, zapierają oddech, budzą grozę i chęć ucieczki. Można będzie płynąć na plecach, niemal bez ruchu, mając nad sobą czyste niebo i słońce poblądłe z upału. Woda w jeziorze snagowskim ma szczególny, gorzkawy zapach, choć to pewno tylko złudzenie, któż potrafi tak długo zachować w pamięci woń jeziora, które też się chyba zmieniło w ciągu trzydziestolecia.

Zdumiało ją, że czas przeminął tak szybko, unosząc z jej życia najlepsze lata, mimo iż czuła się wciąż tą samą kobietą, która kąpała się niegdyś w snagowskim jeziorze. Nie wydawało się możliwe, by starość miała ją dognać i zagarnąć, a jeśli nawet widziała w lustrze spustoszenia[^] jakich wiek dokonał w jej wyglądzie, pocieszała się, że to głupstwo, skoro czuje się młoda, nieraz młodsza od własnej córki. Dopiero ból w okolicy serca obudził w niej niepokój, a raczej to niepokój zakłócił pracę serca, niepokój długo tłumiony, spychany w podświadomość, nigdy przedtem nie wyrażony słowem. Przedtem, to jest przed śmiercią Klary, która w jej życiu odgrywała rolę ogromną, chociaż widywały się dość rzadko i rozmowy ich toczyły się na obrzeżu spraw istotnych, nie wkraczały w sferę intymnych zwierzeń.

Rozmowy te prawie zawsze odbywały się w domu Klary; tylko kilka razy odwiedziła ona młodszą przyj a-

8

ciółkę. Między tymi wizytami mieściły się całe okresy, w których Sylwia zmieniała mieszkania, meble, nawet styl życia. Klara rozglądała się po jej pokoju i stwierdzała z uśmiechem: „O, widzę panią w nowym wcieleniu”, jakby kolor ścian czy kształt abażura miał świadczyć o przeistoczeniu się ich właścicielki. Ale tak właśnie było, więc Sylwia też uśmiechała się rada, że nie musi niczego wyjaśniać. Miała wrażenie, iż Klara wie o niej wszystko, zna ją na wylot, może nawet przepowiedzieć jej przyszłość. W chwilach depresji sądziła, że Klara nie pyta jej o nic, bo nie zaprzęta sobie nią głowy; lubi ją, owszem, ale łaskawie i z wysoka. Bała się telefonować do niej, żeby nie trafić na zły humor czy zmęczenie. Podczas choroby Klary, kiedy wiele osób ją odwiedzało, Sylwia tylko kilka razy została do niej zaproszona, nie śmiała zaś przychodzić bez zachęty, chociaż później, kiedy już było za późno, stwierdziła, że trzeba było właśnie przychodzić bez zaproszenia, że sprawiłaby tym przyjemność chorej, która — być może — ■ nie chciała jej przeszkadzać, wiedząc, jak usilnie pracuje, a tym bardziej zasmucać swą chorobą. Jakie to niemądre: znać się przez ćwierć wieku, kochać się wzajemnie — i nie móc rozbić tej skorupy konwenansu,

pod którą bije źródło serdeczności! Przeciwnie nawet, narzucać sobie dobrowolnie rygory po to, by nigdy nie przekroczyć pewnej intymnej granicy, by zachować tylko dla siebie jakiś krąg przeżyć, by nie narazić na szwank swojej wrażliwości, dumy, tylokrotnie ranionej przez innych. Każdej rozmowie towarzyszył miły ceremoniał: Sylwia przychodziła na kolację, zawsze troskliwie przyrządzoną i ładnie podaną, później zasiadała w głębokim fotelu, Klara zaś sadowiła się na bieder-meierowskiej kanapie, przy okrągłym stole, na którym stała lampa sporządzona ze srebrnego świecznika i osłonięta suto marszczonym abażurem. Światło przesiane

przez

białą

mar

twarzom ostrość

i ,w że odbierało c wyrazu, tłumi

le zresztą, tyle

^^5-ss^-..^

wa

lub koniaku, W^rp j ten nieco

no IP07 iakże muy "<—"-■>- lpkturach, filozofa-

P0f S*te o* unosiła ste m* Γ^etaЛ. «^

wała, Sylwia " ^bawnych zaai^c

dala o Pri*«iifff był dla f ^;^ΓaaByla krytykowama za jz

^

Sy^> £*** choć

gła ?°ty piwyw^ hosanna -Y^^nia la nerbata ciągle wyśpi J +n coraZ

trudnie]. J sezo.

vS ma№e ^a

ieszczepoziomki, oИ1агап-

soczyste f^^ tpc?0 prZywykła, ze goy ^ №y w

przychodziło jej to

Earl Grey, pachniały najwcze

—™~ -nozio-mki,

1 ^ЛеГпЪшкstarania jes -■-. ^

ргда

myśl;

Sara, *И <>.^Гг:"3ге Ш* * *И? I

na który me iszała jej do

czuła

dlatego mogła się *—: . e ilekroć gorze] si

do drzwi nig^y

siebie,

całe
kiem,
nie zapras
czy miała mniej r— ^ -^ nie --- pieniędzy,
nieraz do drzwi nigdy y od siebie p
,emy ,и Jak często
Dopiero po ś^erC1 kiroże zy] ai. j ч _Jrro na
za rzeczywisto

i lek ią °garn:
l ą najprostsze
nenodzą nasze] uwagi-
ro rzeczy mniemania
swoje bierzemy że w
śól A jednak Cobrażnia oprzędła
gaśnie dzięki ^1,1 miała ona dla Sylwn
czarem naczenie

niezw

10

ykłośćiteprzyiazn

większe niż wszystkie romanse, z których żaden zresztą nie przetrwał tak długo. I choć niekiedy w chwilach przekory powtarzała sobie, że śmieszne jest darzyć kogoś tak pensjonarskim uczuciem, jak matkę przełożoną w (klasztornej szkole, to przecież Klara była wciąż dla niej wzorem niedościgłym, uosobieniem tego, co Sylwię w ludziach pociągało i napawało podziwem. Więc naprzód wielka prawość charakteru, nieomyłne wyczucie, jak należy postąpić w każdej, choćby najtrudniejszej sytuacji, lojalność nie tylko wobec przyjaciół, ale także wobec wrogów, którzy wiele sadła zalali jej za skórę. Dalej: wykształcenie solidne, co prawda humanistyczne, lecz tak rozległe, że wychodzące naprzeciw innym naukom, nawet ścisłym. To właśnie dzięki chemii, poprzez chemię Sylwia zbliżyła się do Klary, która wypytywała ją o rzeczy związane z jej zawodem, nie z nią samą; nowa nauka budziła w niej więcej ciekawości niż świeżo upieczona chemiczka, naiwnie rozentuzjasmowana swą specjalnością. A może właśnie ten zapal ją pociągał? Nie do wiary, że wówczas wszystko było dla Sylwii tak jasne i niegroźne, logiczne i zrozumiałe. Klara nie burzyła jej złudzeń. Słuchała cierpliwie, wystrzegając się komentarzy. Nie mogła w niej widzieć partnerki do prawdziwej dyskusji. Lubiła Sylwię od początku, tak, to nie ulega wątpliwości, lecz różnica wieku między nimi sprawiała, że nawet czas

inaczej płynął dla każdej z nich. Klara już wówczas, przed dwudziestu paru laty czuła, iż musi się śpieszyć, aby zrobić to, na czym jej zależało. Mówiła przecież, że jeśli uczonego umiera przed siedemdziesiątką, to właściwie szkoda, iż się poświęcił nauce. Natrudził się straszliwie, a nie mógł zebrać plonów. Nie opłaciło mu się żyć. Co prawda, Sylwia nie pojmowała, dlaczego tak ważne ma być napisanie książki o dawno zmarłym poecie lub objaśnienie ciemnego sensu jego wierszy. Ufała tylko wiedzy ścisłej, wielbiła

11

Wości ludzkie dp^JJ beztroską godziny x reakcją. Trwoń da *c a
p ała]^

P°P Zte gdyż sama zaczęła się spies^ , gdy za
częła myśleć o *f**» ^ tego ,nigdy, jakby
z KlftTt fwzo drażW, osobista a.

mat był ra bardzo % ^^ ty »P

Tarcze jedna dzieu* fQC.,,vnowała Sylwię-

Lach szczególnie fascyn° przypadło je]

się tam dziaiu r ,wv siadała KJara u» yJlarra-

sta, którego Sy№ "f^aiLieuchiW

^° Bo% .B^J^, b<rS-i cJliecei pamięci, je] P*2?3* literaturę,

wyczaro

3 nnrzez opowiadania, poprzez i ilstość m-

nie poprzez op. żnl) % którą rzj Klarę

wała go sobie siłąJJ ia, zwłaszcza goy^

pS^^ ^w S^ ****■£ prat-uw pozno, wy ,

„,zedwo-

jenny nasii oj

12

nych niegdyś dla Klary. I ona zresztą niechętnie mówiła o tamtych latach, a jeśli wracała do wspomnień, to tylko w towarzystwie ludzi, którzy je również mieli w pamięci. Dość im było powiedzieć słowo, uśmiechnąć się w pewien sposób, aby przywołać obraz minionych zdarzeń. Sylwia niemal zazdrościła tej wspólnoty, tej sumy doświadczeń, która pozwalała na bliskie porozumienie. Czuła się z niego wyłączona, stała na progu zamkniętego pokoju i daremnie waliła w drzwi.

Zdawać by się mogło, że w ostatnich latach, przynajmniej co do czasu, osiągnęła z Klarą porozumienie. Lecz oto wszedł w grę nowy czynnik: choroba. Nie mówiły o niej ze sobą, a jeśli już, to w tonie informacyjnym

■—■ co stwierdził lekarz, jakie zalecił lekarstwa. O istotnych problemach choroby, o szukaniu ratunku, o rozpacz, o gorączkowym czepianiu się nadziei nie mogło być mowy, gdyż i Klara była ma to zbyt skryta, zbyt wstydliva w okazywaniu swych uczuć, i zażyłość między nimi nie sięgała tak głęboko, i wreszcie Sylwia nie stanęła jeszcze na tym progu, za którym czeka starość. Dopiero podczas ostatniego pobytu w Anglii, gdzie prowadziła pertraktacje w celu nabycia licencji, która w końcu okazała się niepotrzebna, gdyż dzięki odkryciom Sylwii podjęto produkcję według polskiej metody — dopiero w Anglii poczuła groźbę starości. Otrzymała właśnie nagrodę państwową, znajdowała się u szczytu powodzenia, lecz nie cieszyła się tym wcale, bo ujrzała, że życie jej przechyliło się na drugą stronę. Oprawdzali ją tam po fabryce inżynierowie znacznie od niej młodszy (któryś z nich powiedział mimochodem, że ludzie po pięćdziesiątce nie powinni zajmować kierowniczych stanowisk w przemyśle chemicznym), ale nie to było najgorsze. Przekonała się wówczas, że to właśnie ulubiona chemia gotuje paskudną niespodziankę. Nie wspomniała o tym Klarze, jakby milczeniem, udawaniem można

1

13

było nie tylko zamaskować starość, lecz ją zażegnać. O to się bardzo starała. Cudowne diety (hollywoodzka, jarzynowa, Gayelorda Hauser a), głodówki, surówki, gimnastyka, dobrze uszyte suknie — cały oręż współczesnej kobiety w walce o zachowanie młodego wyglądu — wszystko umiała wykorzystać, choć uszczuplało to czas przeznaczony na pracę naukową, na badania, które tak zaprzętały jej wyobraźnię, jakby od ich powodzenia zależeć miał los ludzkości. Przed kilku jeszcze laty sądziła, że starość nie przysporzy jej zgryzot, gdyż wszystko, co wiązało się z młodością — miłość, zabawa, sport, podróże — mniej dawało jej radości niż osiągnięcia zawodowe, a nawet nie osiągnięcia, lecz codzienny, gorączkowy rytm pracy, oczekiwanie na cudowne jej wyniki, napięcie pełne nadziei. Była szczęśliwa wiedząc, że to, co robi, jest niewątpliwie słuszne, ma niezaprzeczalny sens. Praca tak się z nią zespoliła, iż stała się częścią jej samej. Jakże bzdurne wydawały się jej zarzuty znajomych, że się w tej robocie wyniszcza, że takie poświęcanie sił i całego czasu jest marnowaniem życia. Sylwia tylko te chwile uważała za zmarnowane, które spędzała na rozrywkach. Toteż myślała, że wiek nie ma dla niej znaczenia, że siwe włosy w niczym nie mogą przeszkodzić. Ale została pobita na własnym polu. Przekonała się o tym w Anglii. Rozwój chemii wyprzedził ją samą. Jeszcze starała się dotrzymać kroku, czytała zachłannie prasę naukową, stosowała coraz to nowsze

metody badań, lecz wiedziała, że to wszystko daremne, że szanse mają młodszy, którzy już w uczelni zaczynają myśleć innymi kategoriami, którzy zaczynają wyścig bliżej mety. Kilku jej młodszych kolegów zdołało się przed nią wysunąć, a jeśli ona wciąż jeszcze miała dobre wyniki, to dzięki niezmożonej pracowitości, dyscyplinie wewnętrznej, dokładności graniczącej z pedanterią, uporowi. Kiedy inni opuszczali ręce po nieudanych próbach i da-

14

wali za wygraną, Sylwia zaczynała od nowa po raz dziesiąty, setny, tysięczny. Pracowała w takim napięciu, że po powrocie do domu padała wyczerpana na tapczan i trzeba było zabójczych porcji kawy, by mogła podjąć „drugą szachtę”, czyli wieczorne lektury. Gromadziła stosy pism i książek, rzucała się na każdą nowość, byle tylko nie wypaść z kursu. Kiedy poznała Klarę, dziwiła się jej zachłanności na rzeczy nowe, tak samo jak dzisiaj zdumiewała ją obojętność córki na wszelkie nowinki poza modą i muzyką młodzieżową. Koledzy Sylwii nie interesowali się niczym oprócz chemii. Może to i lepiej dla nich. Całą pasję, całą energię skupiali na pracy, podczas gdy Sylwia trwoniła czas również na lektury wcale z jej pracą nie związane, co było zasługą albo raczej winą Klary, która wprawdzie nie zachęcała jej specjalnie do czytania, lecz mówiła o pewnych książkach z takim uniesieniem, że Sylwia sięgała po nie gorączkowo, jakby zawierały klucz do zaszyfrowanych przeżyć jej przyjaciółki. Któregoś lata, kiedy spędzały wspólnie urlop nad Popradem, Klara czytała po niemiecku Lotta w Weimarze, dziwną powieść traktującą o uczuciach i twórczości, o starzeniu się z godnością, o naturze geniusza, Sylwia zaś, która niemieckiego nie znała, była niemal zazdrosna o to obcowanie z Mannem. („Można by na przykładzie tej książki napisać całe studium o wzajemnym wpływie literatury i życia — mówiła Klara. — O tym, jak sztuka żywi isię realiami, one zaś pod jej wpływem stopniowo ulegają zmianie. Czymże był romantyzm, jeśli nie wielkim buntem młodych przeciw zastygłym formom egzystencji? Mickiewicz, Słowacki, Krasiński mieli po dwadzieścia parę lat, gdy dokonali przewrotu nie tylko w poezji, lecz w sposobie myślenia i odczuwania. Podobnie Hugo, Musset, Byron. Byron przede wszystkim. Pamięta pani, co pisał Boy? Że wojna, upowszechnienie służby wojskowej, szybkość awansu

15

w armii Napoleona dały młodzieży niezwykłą szansę. Dziewiętnastoletni chłopiec mógł być kapitanem, majorem, mógł kazać rozstrzelać starego pryka. Trudno o skuteczniejsze upelnolenie. To właśnie Goethe uczynił

z młodości sztandar bojowy. A potem doczekał w glorii lat sędziwych. Stary Goethe — to nie do zniesienia!") Miesiąc nad Popradem był jednym ciągiem rozmów, spacerów i zadumy nad światem. Ale najmiłsze były popołudnia, kiedy Sylwia przynosiła Klarze herbatę do pokoiku na piętrze, skąd otwierał się rozległy widok na góry, i mogła rozmawiać z nią bez świadków, korzystając z jej ożywienia po drzemce poobiedniej. Ach, te rozmowy, przyprawiane ironią i dowcipem, lotne, wieloznaczne i pożywne!

Zdarzały się wszakże długie okresy, w których Sylwia obywatowała się bez Klary, nie potrzebowała jej towarzystwa tak bardzo, jak w ostatnich latach. Odwiedzała ją jednak zawsze w zwrotnych momentach swego życia, kiedy ktoś .z niego odchodził lub też się w nie włączał. Klara nie pochwałała tych zmian, lecz i nie potępiała ich głośno, mówiła tylko żartem, że bardzo to komplikuje przyjęcia towarzyskie, bo nie wiadomo już, kogo z kim można zapraszać, kogo przy. kim sadzać za stołem. Sylwia odpowiadała w takich razach, że nie jest stworzona do małżeństwa, że nie potrafi łączyć pracy zawodowej z obowiązkami dobrej żony, co mogło wydawać się błagą, gdyż przyczyny obu jej rozwodów były ogólnie znane. Klara uśmiechała się na takie dictum i stwierdzała sentencjonalnie, iż każda rzecz ma kilka wersji — prawdziwych. Sylwia, jej zdaniem, należała do kobiet, które nie lubią podporządkowywać się nikomu, nawet (a może zwłaszcza) w drobiazgach, i nie chcą zdawać rachunku ze swego postępowania choćby najbliższej osobie.

Najistotniejsze jednak było to, że Sylwia z biegiem lat

16

zmieniała się nie do poznania. („Wydaje mi się, że znam dwie albo trzy Sylwie" — żartowała Klara nawiązując do powieści Нихиея.) Było ich na pewno więcej, Sylwia czuła to sama, dlatego wyrastała tak szybko z przy-, jaźni i miłości/ („Co za pożytek z mówienia każdemu, że się zmieniam — pisał niegdyś Rilke. — Jeśli zmieniam się, to na pewno nie jestem dłużej tą osobą, którą byłem, a jeśli jestem kimś innym niż dotychczas, jasne, że nie mam znajomych.") Talk, coraz mniej miała znajomych, relacje z dawnymi przyjaciółmi wydawały się dzisiaj niemożliwe, nic jej z nimi nie łączyło. Od dziecka żyła w niezgodzie z rodzicami, choć na pozór była ich ukochaną córką. Nikt prócz niej samej nie wiedział, ile sprzeciwu, ile tajonej niechęci kryło się w poprawnych stosunkach, ile kompleksów zrodziło się podczas „szczęśliwego dzieciństwa". Szkoły nienawidziła szczerze, przeciw otoczeniu buntowała się wewnętrznie i nie aprobowała niczego, co się z nim łączyło. Z radością przyjęła zmiany, jakie niosła

historia, gdyż obalały one zniechęcony układ stosunków. Ale po kilku latach i te zmiany przyniosły jej rozczarowanie, wzbudziły pewną przekorę, której nie objawiała głośno, chociaż nieraz ją to korciło. Coraz to zmieniając postawę wobec świata, Sylwia nie miała kryteriów oceny ani stałych przekonań. Klara i to rozumiała. „Płynność uczuć i przekonań łączy się ściśle z głębokim poczuciem bezsensu istnienia — powiedziała któregoś wieczora. — Wynika to z zatracenia łączności między światem zewnętrznym a wewnętrznym. Ten proteański charakter współczesnego człowieka ma dwie przyczyny: jedna z nich —■—■ to wykorzenienie, wysadzenie z siodła, utrata istniejącego niegdyś powiązania z tradycją rodzinną, kulturową. Zdawać nam się może, iż owe tradycyjne symbole są nieistotne, że przeszkadzają w rozwoju człowieka, trudno wszakże uwolnić się od nich, prędzej

2 — Trwaj, ehwil*!

27

czy później wywrą one wpływ na kształtowanie się postaw. Druga zaś przyczyna tej zmienności — to przeładowanie wyobraźni. Każdy z nas wystawiony bywa na tyle wpływów, na taki zalew informacji, na taką mnogość możliwości w każdej dziedzinie życia, że mając tyle dróg do wyboru nie kieruje się rozsądkiem, lecz ulega impulsom. Człowiek współczesny, tak jak mityczny Pro-teusz, może występować pod różnymi postaciami, nie potrafi natomiast zachować stałego kształtu, zamknąć się w jednej osobowości. Zresztą i charakter, i osobowość to pojęcia z innej epoki: samoprzemiana człowieka staje się coraz powszechniejsza...” Sylwia czuła się niemal rozgrzeszona, lecz tym bardziej podziwiała Klarę, która wciąż pozostawała sobą i wsłuchiwała się pilnie w głos własnego sumienia. Śmierć jej zapoczątkowała nowe stadium ich przyjaźni, zrównując niejako czas i przeżycia. Sylwia nie myślała o przyjaciółce jak o zmarłej, przeciwnie, dopiero teraz czuła jej nieustanną przy sobie obecność i rozmawiała z nią w myślach do woli, nie ograniczona żadnymi rygorami. Pryśły więzy i zahamowania, można było bez żenady podjąć każdy temat. Przeczytała wreszcie nie dokończoną pracę Klary o zapomnianym poecie; dostrzegła teraz nie tylko jej wartość, nadającą sens życiu Klary, które dzięki tej książce nie poszło na marne, lecz odnalazła w niej intelektualną biografię przyjaciółki, wpisaną między wiersze cudzego istnienia. Jak się to działo, że wcześniej tego nie dostrzegła? („Dopiero kiedy ktoś umrze, wtedy całe jego życie uzyskuje nowy, wyrazisty kontur.”) Z nowej perspektywy patrzyła na dawne rozmowy i nawet to, co niegdyś wydawało jej się błahe, nabierało znaczenia, stawało się

wskazówką, nakazem.

Nie można jednak bezkarnie obcować ze zmarłymi, więc i Sylwia pojęła, że samochcąc weszła na ścieżkę

18

wiodącą do zguby. Nikt wprawdzie tego nie rozumiał, nikogo nie obchodziła na tyle, by miał się zastanawiać nad Jej przeżyciami.

Wiedziano, że nie jest całkiem zdrowa, mówiono, że się starzeje. Zwykła kolej rzeczy. Dopiero lekarz, zaniepokojony jej elektrokardiogramem, zapytał, o czym myśli, kiedy nie może zasnąć. Radziła by starała się zapomnieć, przepisał leki mające ułatwić zapomnienie. Śmieszne: chemia przeciwko Klarze, chemia przeciwko potrzebom życia duchowego.

Pastyłki otępiające, by odebrać człowiekowi ostrość widzenia, dającą przecież nieopisaną radość. Nie, Sylwia nie chciała zapomnieć ani zerwać kontaktu z Klarą, do której zbliżyła się bardziej niż kiedykolwiek za jej życia. Niektórzy po stracie bliskiej osoby zaczynają pisać dziennik. Sylwia nie potrzebowała tego, gdyż prowadziła w myślach ciągłe rozmowy z przyjaciółką, poddawała jej osądowi nie tylko sprawy wielkiej wagi, lecz i codzienne drobiazgi. Na widok kwiatu, świeżej zieleni krzewów, czegokolwiek, co mogłoby sprawić Klarze przyjemność, uśmiechała się do niej i mogłaby przysiąc, że czuje radość przyjaciółki, chociaż nie umiałaby sobie wytłumaczyć, skąd bierze się to poczucie jej obecności, daleka bowiem była od wiary w życie pozagrobowe.

Musiała się chyba zdrzemnąć, bo gdy otworzyła oczy i odruchowo zerknęła w okno, by uprzytomnić sobie, gdzie się znajduje, ujrzała w dole wyraźne łańcuchy gór, przeważnie porośnięte lasem, który wydawał się rudoczarny w zachodzącym słońcu. Powietrze było tak przejrzyste, iż mimo znacznej wysokości widziało się wyraźnie drogi i poręby skąpane w różowym świetle. Po nierealnym krajobrazie chmur, nad którymi niedawno przeleciał samolot, wyrazistość tego widoku zrobiła na Sylwii szczególne wrażenie. Ogarnęła ją taka radość, jakiej doznaje człowiek w letni ranek, kiedy po dobrze przespanej nocy wychodzi na dwór z myślą, że

•'

19

ma przed sobą długi, słoneczny dzień. Góry ciągnęły się na tak rozległej przestrzeni, że samolot jakby w miejscu się unosił lub też wolno posuwał iku równinie ledwo majaczącej na widnokręgu. Może wskutek podobieństwa z plastyczną mapą terenu widok ten tchnął spokojem, ładem przestrzennym. Wszystko w nim wydawało się celowe i zrozumiałe jak w szkolnej czytance. Jednocześnie zaś Sylwia poczuła, że coś zostało poza nią, że coś nowego się otwiera. Nie zlekła się tej zmiany, przeciwnie,

odkryła w sobie gotowość do jej przyjęcia, do przeistoczenia się raz jeszcze.

Na lotnisku w Bukareszcie czekał sekretarz Instytutu z bukietem żółtych róż. Pomógł Sylwii w załatwieniu formalności celnych, zaprowadził do samochodu, grzecznie wypytując, czy podróż się udała. Wieczór był ciepły, pogodny, lecz miał w sobie coś niepokojącego. Jadąc szerokimi alejami, w których światło latarń sączyło się przez liście rozłożystych drzew, Sylwia myślała o restauracyjkach w ogrodzie, o cygańskich grajkach i mięsie pieczonym na rusztach. Może by dziś jeszcze wybrać się gdzieś samej, wypić młodego wina? Nie liczyć ani kalorii, ani godzin snu? Szwajcar w liberii, boy w brązowym spencerku, winda, obcy ladzie, wreszcie pokój hotelowy bez żadnego wyrazu. Sekretarz zostawił program jutrzejszych spotkań i życzył dobrej nocy. Dopiero przy pożegnaniu spostrzegła, że jest młody i przystojny. Chciała mu podziękować, lecz nim znalazła stosowne słowa, zniknął za drzwiami, jakby zmieciony siłą czarodziejską. Siadła, wciąż jeszcze w prochowcu, na niewygodnym krześle przy telefonie i pomyślała, patrząc na swoją walizczkę, że ktoś inny, nie ona, tu zamieszkał, albo może w ciągu chwili, której nie spostrzegła, sama stała się inną osobą. Chciała powiedzieć o tym Klarze, lecz nie czuła jej obecności. Wspomniała córkę, ona jednak należała do tak in-

m
nego świata, iż kontakt z nią był prawie niemożliwy. Wstała więc i poszła się wykapać, aby dzięki tej codziennej czynności odnaleźć samą siebie. Łazienka większa niż w domu, bardziej kolorowe ręczniki nie ułatwiały wszakże tego, przeciwnie, podkreślały zmianę, co prawda tylko otoczenia, lecz odbijającą się na samopo-, czuciu w sposób szczególny. Była nieco podniecona tą zmianą, jak po dużej porcji kawy, a zarazem pusta wewnątrz, jakby ktoś wymiół z niej myśli i uczucia, żeby zrobić miejsce dla nowych wrażeń. I chociaż podczas lotu cieszyła się, że wcześniej pójdzie spać, teraz nie miała na to najmniejszej ochoty. Wycierając się miękkim, błękitnym ręcznikiem, spojrzała w lustro. Wydała się sobie jeszcze dość ładna, mogąca wzbudzić jeśli nie zainteresowanie, to przynajmniej sympatię. Uczesanie trzymało się całkiem dobrze mimo upału w Warszawie i spania w samolocie. Zapragnęła wyjść do miasta, spotkać się z kimś ze znajomych albo powłóczyć się trochę po bulwarach. Otulona prześcieradłem kąpielowym, zaczęła telefoniczne poszukiwania. Gzy to jednak był jeszcze okres urlopowy, czy też pora okazała się niestosowna, dość że nikt nie podnosił słuchawki. Siedziała na krzeselku

nie wiedząc, co robić dalej, kołysząc bosą nogą nad różowym dywanem. Nagle przypomniała sobie, że proszono ją w Warszawie, by oddała nadbitkę pracy naukowej jakiemuś profesorowi archeologii, którego wprawdzie nie znała, lecz iz którym miała porozumieć się telefonicznie. Zadzwoiła więc do niego.

Odezwał się miły głos. Nie wyczuła w nim zdziwienia, raczej oczekiwania. Gdy wyjaśniła rozmówcy, w jakiej sprawie go niepokoi, skwapliwie zaproponował, że przyjedzie zaraz do hotelu, co było wprawdzie po jej myśli, lecz trochę ją zaskoczyło. Musiał domyślać się jej zdziwienia, gdyż wyjaśnił pośpiesznie, że nie mógłby kie-

21

dy indziej z nią się spotkać, bo nazajutrz wybiera się na urlop.

— Więc w hallu za pół godziny? — ustaliła rzeczowo. — Jak mnie pan pozna?

— Po głosie.

— Niech pan lepiej spyta portiera. Powiem mu, że czekam na pana.

Odłożyła słuchawkę rada z takiego obrotu rzeczy, chociaż nic z tego spotkania nie mogło wyniknąć, a zresztą profesorszy archeologii to najwięksi na świecie nudziarze. Wyjęła z walizki dwie sukienki, na szczęście nie pogniecione. Chwała producentom nie mnących się tkanin, chwała krawcowej, która dobrze szyje! Przez chwilę zastanawiała się nad wyborem sukni. Włożyła strojnziej-szą, jakby miała zamiar pójść na dansing. Starannie u-malowała twarz i pociągnęła tuszem rzęsy. W lustrze, oświetlonym z boku nieostrym światłem, wyglądała naprawdę doskonale. Powoli zeszła ze schodów. O tej porze hall był zupeł-^ nie pusty i przez to jakby większy. Sylwia siadła w głębokim fotelu, z którego mogła obserwować drzwi wejściowe. Miała przykre uczucie, że ktoś jej się natarczywie przygląda, choć jedyny w polu widzenia człowiek, szwajcar hotelowy, stał odwrócony plecami i gapił się na ulicę. Sięgnęła po puderniczkę, nie tyle z potrzeby, ile po to, by skrócić czas oczekiwania. Zerknęła na zegarek, już niepewna, czy aby nie popsowała sobie wieczoru, i zniecierpliwiona nieobecnością profesora, choć do umówionej pory brakowało jeszcze paru minut. I wtedy właśnie go ujrzała. Wysoki, trochę za szczupły, w luźnym, popielatym ubraniu szedł ku niej długimi krokami, jakby się wybierał na wycieczkę. W ciemnej, gęstej czuprynie srebrzyło się sporo siwych włosów, kontrastując z silną opalenizną twarzy. Patrzył na Sylwię w taki sposób, że straciła zwykłą pewność siebie. Powitał

22

ją z nieco staroświecką kurtuazją, siadł na brzeżku fotela, jakby miał zaraz

odejść i, oddzielony od niej niskim stolikiem, obserwował ją nadal, częstując papierosami. Odmówiła, więc sam zapalił i nie spuszczać z niej bardzo niebieskich oczu nawiązał banalną rozmowę o podróży i planach jej pobytu w Bukareszcie. Odpowiadała jak uczennica siląca się na poprawność, lecz zabrakło jej swobody wysłowienia, bez której trudno zabłysnąć inteligencją i dowcipem. Świadomość tego peszyła ją coraz bardziej, choć całe to spotkanie było bez znaczenia, po prostu złość ją brała, że tak dalece zapomniała języka, którym niegdyś władała znakomicie. Żeby zatuszować to. zmieszanie, uśmiechała się gestykułując w sposób wymuszony, czego zazwyczaj unikała i co teraz musiało wydać się idiotyczne temu obcemu mężczyźnie. Na dobitkę przejęzyczyła się głupio, pomyliła jakieś podobne słowa, profesor skwitował to krótkim śmieszkiem, pełnym pobłażania dla cudzoziemki, ale ten śmieszek ją rozjątrzył, wyczuła w nim nutkę przewagi, z którą nigdy nie mogła się pogodzić. Czym prędzej podała mu nadbitkę z „Kwartalnika Archeologicznego”, wyglądającą nader niepokaźnie. Podziękował okrągłymi zdaniem, przerzucając niedbale kartki, lecz do odejścia się nie kwapił. Milczała wymownie, by dać mu do zrozumienia, że powinien się pożegnać, choć sama przecież mogła to zrobić; może czekał na to i nie chciał się okazać niecierpliwym, żegnając się pierwszy. Nagle zabrakło jej wszelkich tematów do konwersacji. Była zła na siebie, że się tak wystroiła; co ten człowiek mógł sobie o niej pomyśleć? Głupio by też było wrócić zaraz na górę, do sypialni, aby po dziesięciu minutach „światowego życia” rozmalować się i pójść spać.

— Pewno pani jeszcze nie jadła kolacji — stwierdził profesor. — Może zjedlibyśmy razem?

— Chętnie — odparła, jakby tylko na to czekała, i na-

23

gle się zaczerwieniła, lecz on tego nie spostrzegł. Wstał z fotela, dotknął przelotnie jej ręki, aby skierować ją ku drzwiom restauracji hotelowej, i cicho szedł po ciemnym "dywanie.

Bywał tu widać częstym gościem, gdyż kelnerzy znali go i kłaniali mu się ze szczególnym ugrzecznieniem. Sam maitre d'hotel nadszedł, by przyjąć zamówienie. Sylwia odzyskała pewność siebie, kiedy jej towarzyszył, niemal o niej zapomniawszy, jął studiować kartę i naradzać się nad kolacyjnym menu. Pytał wprawdzie Sylwię o zdanie, takim jednak tonem, że godziła się bez sprzeciwu na wszystkie jego propozycje. Było jej dość obojętne, co podadzą, bawiło ją trochę, że poważny człowiek, uczony, przywiązuje taką wagę do jedzenia i picia. Chociaż co to za nauka:

archeologia? Na co to koimu potrzebne w dzisiejszej dobie? Owszem, dziewiętnastowieczni panowie mieli dość czasu, by rozgrzebywać groby i ruiny świątyń, szukając... czego właściwie? Potwierdzenia mitów czy — jak to się teraz mówi — śladów kultury materialnej? Te badania wydawały jej się po prostu zabawą, pracochłonną rozrywką, 'dobrą dla bogatych Anglików, którzy uciekając od nudnych zajęć i jeszcze nudniej szych znajomych, rozbijali namioty nad Morzem Śródziemnym i grzebali w piasku niby to dla dobra wiedzy. Cudowne życie!

Poczuła się znacznie lepiej na myśl, że dzięki jej odkryciom przemysł zarobi miliony złotych, gdy tymczasem prace tego profesora pochłoną grube pieniądze, które można by wykorzystać na bardziej użyteczne cele. I choć zgromiła się w duchu za takie „barharyzowanie”, to jednak odzyskała dobry humor.

Profesor uporał się wreszcie z menu i całe stadko kelnerów i pikolaków zaczęło się uwijać wokół stołu. Zmieniono nakrycia, przyniesiono stojak z lodem, wstawiono do niego butelki wina, wody mineralnej i śliwowicy.

24

Profesor rozłożył serwetkę na kolanach, oparł lekko owłosione dłonie na białym obrusie. i uśmiechnął się do Sylwii, jakby chciał oznajmić, że teraz jest wyłącznie na jej usługi. To ją znów uraziło, więc rzuciła zaczepnie, że w świecie współczesnym panują dwie odrębne kultury, że ludzie zajmujący się fizyką lub chemią myślą całkiem innymi kategoriami niż humaniści, którzy nie mogą wyzbyć się ignorancji w naukach ścisłych. — Och, zaraz ignorancji, droga pani! — wydał wargi profesor dając znak kelnerowi. — Pozwoli pani trochę śliwowicy? Bodaj dla samego zapachu. W książkach Toulmina chociażby można znaleźć wiele zagadnień naukowych opracowanych od strony, że tak powiem, filozoficznej i historycznej. Nauki ścisłe ukazane są tam jako ciąg poglądów na temat przyrody, przede wszystkim zaś jako ciąg pytań, które ludzkość stawia sobie od niepamiętnych czasów. W The History and Philosophy of Science Newsletter Toulmin stwierdza, że zagadnienia dotyczące rozmiaru i układu świata, które pochłaniały Anaksymandra w szóstym wieku przed naszą erą, stanowią nadal przedmiot sporu między Fredem E'oyiet a Martinem Ryleim...

Mówił to z lekką drwiną, jakby tym popisem erudycji chciał skarcić Sylwię za to, że podkreśliła wyższość swego zawodu; już gotowała się do obrony, gdy przyszło jej na myśl, iż profesor jest po prostu gadułą i besserwis-serem, który każdego wykołuje i zawsze musi mieć rację, nie przepuści okazji, by się popisać swą wiedzą. Takie ustawienie rozmówcy

zwalniało ją od gotowości bojowej. Wystarczyło słuchać z uśmiechem. Podniosła do ust kieliszek wonnego trunku.

— Gdzie się pani tak dobrze nauczyła po rumuńsku?

— Tutaj, ale to dawne dzieje i nie warto do nich wracać.

— Przykre wspomnienia?

25

— Raczej świadomość przemijania.

— To modny zwrot, ale razi mnie w pani ustach.

— A to czemu?

Nie odpowiedział, gdyż zajął się wyłącznie sandaczem meunier. Dopiero gdy spałaszował więcej niż połowę, sięgnął po kieliszek i zapytał:

— Co chciałaby pani zobaczyć w Rumunii?

— Jezioro Snagov.

Uniósł nieco krzaczaste, ciemne brwi, sącząc z namaszczeniem śliwownicę.

— Nie ma w nim nic szczególnego. Chyba że łączą się z nim jakieś pani przeżycia lub tęsknoty.

Teraz Sylwia pochylała się nad talerzem.

— Możemy tam pojechać po kolacji. Mam wóz pod hotelem. Jeśli nie zależy pani na plażowaniu, to wieczorem jezioro prezentuje się znacznie efektowniej.

Uśmiechnął się nie rozchylając warg, w jakiś obcy, irytujący sposób. Nie budził w niej sympatii, raczej nieufność i skrepowanie. Już to, że ledwo poznanej kobiecie zaproponował przejażdżkę nad jezioro, nie świadczyło najlepiej o nim: albo nic sobie nie robił z konwenansów, albo miał wygórowane mniemanie o swych męskich walorach, albo też potraktował Sylwię jak pierwszą lepszą babkę, która tylko na to czeka, by przeżyć przygodę za granicą. Co prawda, miał po temu prawo, gdyż zbyt skwapliwie przyjęła jego zaproszenie na kolację i wystroiła się całkiem niepotrzebnie. Puściła więc mimo u-szu jego propozycję i próbowała tak pokierować rozmową, by zrozumiał, z kim ma do czynienia, i nabrał dla niej szacunku. Niewiele przecież kobiet może się pochwalić osiągnięciami naukowymi. Sądziła, że wzmianka o nich zwiększy dystans między nią a profesorem; ilekroć w towarzystwie mężczyzn podkreślała swą pozycję zawodową, atmosfera ochładzała się natychmiast. Profesor jednak wcale się tym nie przejął, zlekcewa-

26

I wy raźnie jej naukowy autorytet i odnosił się do niej po prostu jak do miłej kobiety, która wzbudziła jego zainteresowanie. Nic w tym nie było obraźliwego, lecz Sylwia zawsze okazywała nadmierną czujność i

podejrzliwość, żeby nie narazić się na śmieszność, nie dać nabrać na flirt, który w jej wieku rzadko wynika ze szczerego uczucia. Od kilku lat, może nawet niesłusznie, dopatrywała się fałszu w każdym objawie sympatii, sama zrywała pierwsze nici porozumienia, przekładając ;;;imotność nad związki, które zagrażałyby jej dumie. Jeden nierozważny gest mężczyzny, jedno niezręczne słowo — i Sylwia powracała do swego splendid isolation. Profesor nie ponowił propozycji. Mówił z zapałem o swojej pracy, o wykopaliskach na terenie dawnej stolicy Daków, o wysokiej kulturze materialnej tego ludu i niezwykłych sanktuariach pod gołym niebem, których zagadki dotąd nie wyjaśniono całkowicie. Sylwia słuchała tego z roztargnieniem. W głosie profesora zabrzmiała lekka ironia, ciągnął jednak dalej swe wywody nie spuszczać oczu z partnerki, która, uśmiechając się uprzejmie, sięgała łyżeczką do wnętrza melona po lody z bitą śmietaną. — Więc jedziemy? — zapytał nagle takim tonem, jakby rzecz była przesądzona, i kazał podać rachunek. Sylwia sięgnęła po torebkę, chcąc zapłacić za siebie, lecz spojrzał na nią zdziwiony i znów uśmiechnął się stulonymi wargami. Ruchem dłoni dał do zrozumienia, że nie ma mowy, by płaciła, ona zaś zmieszana się ponownie, straciła pewność siebie i pozwoliła zaprowadzić się do samochodu, trochę niezadowolona i rada jednocześnie, że pojedzie nad jezioro, że pozostanie dłużej w towarzystwie tego dziwaka, że spędzi wieczór inaczej niż zwykle. W aucie poczuła się dziwnie bezpieczna. Profesor prowadził niezbyt szybko, z wielką wprawą, zdawało się

27

Sylwii, że płyną pod koronami starych drzew. Zapalił w milczeniu papierosa. Dopiero za miastem spytał:

— Czy nie mogłaby pani zostać dłużej w Rumunii? Bodaj tydzień?

— Wykluczone!

Sama zdziwiła się, że w jej tonie zabrzmiała taka agresywność. Profesor milczał. Trzymając lewą dłoń na kierownicy, prawą poszukiwał muzyki w radiu, podłużna skala rozbłysła seledynowo. Popłynęły mazurki Chopina, te same, które w sierpniu trzydziestego dziewiątego roku Sylwia grywała w wiejskim domu, gdzie nie było elektryczności. Świece umieszczone w lichtarzach, przytwierdzonych po obu stronach podstawki na nuty, rzucały mdłe światło na poźółkłe klawisze. Muzyka była dla Sylwii zawsze żywołem niepojętym, mimo że matka starała się w niej rozdmuchać iskrę wrażliwości. Ledwo przeczuwała, czym może być muzykowanie dla kogoś obdarzonego słuchem, godzinami ćwiczyła • nadaremnie, gdyż ani palce jej nie stawały się bieglejsze, ani pamięć nie przechowywała melodii.

Mimo to, wspominając po latach owe lekcje, gamy i wprawki, zaliczała tamte chwile do najlepszych w życiu, może dlatego, że dopiero teraz pojmowała, iż matczyna troska o jej wykształcenie muzyczne była dowodem wielkiej miłości.

Kalecząc wówczas te mazurki, Sylwia starała się stłumić w sobie zazdrość o matkę i niepewność jutra. Pachniały żywicą ściany świeżo wzniesionego domu, pachniał las otaczający go z trzech stron. Noc wydawała się straszna i ogromna, serce nie mogło pomieścić smutku i złych przeczuc, brakowało słów zrozumienia, słów kojących. Rozstała się z matką pierwszego dnia wojny w imię racji, które już po tygodniu okazały się fałszywe. Pamięta dobrze ten ranek słoneczny na dworcu, kiedy z tłumem ludzi pchała się do pociągu, a matka stała z żalnym uśmiechem, mającym im obu dodać otuchy. Nie spotkały się już nigdy, więc ten wrześnieowy poranek, zapach koszy z jedzeniem i widok chłopskich, ogorzałych twarzy stopił się w jedno wspomnienie z poprzednim wieczorem, z mazurkami Chopina, z blaskiem świec nad pianinem i groźnym szumem lasu.

Była rada, że profesor nie próbował nawiązać rozmowy. Muzyka otwierała jej drogę iku dawno minionym zdarzeniom, ku rozległym obszarom smutku.

Skręcili w prawo, do jeziora. Z daleka przebłyskiwały światła restauracji, przy której stało kilka samochodów. Głośna muzyka wylewała się na dwór. Profesor zatrzymał wóz.

— Niech się pani nie zraża — powiedział z uśmiechem. — Pój dziemy przejść się brzegiem.

Ale i ta dróżka nie prowadziła ku przeszłości. Czerwony, teatralny księżyc oświetlał obcy krajobraz, w którym Sylwia znalazła się nie wiedząc po co. Zmęczenie ją dopadło, straciła ochotę na nocny spacer. Pod krzakiem jakaś para całowała się zapamiętale. Sylwia cofnęła się, odwróciła i chciała powiedzieć, że najwyższy już czas iść do domu, gdy profesor wziął ją za rękę i poprowadził dalej, prosząc, by się zdobyła jeszcze na odrobinę cierpliwości. Szli więc w milczeniu, jakby spełniając przykry obowiązek. Dopiero gdy ucichła muzyka, gdy światła restauracji znikły za drzewami, od jeziora zaś doszedł gorzki powiew wiatru, Sylwia doznała dziwnego wrażenia, jakie się czasem miewa we śnie — że jest młodą dziewczyną, która tu się niegdyś kąpała, lecz jednocześnie miała pełną świadomość tego, co zaszło w ciągu lat, jakie minęły od tej chwili, a nawet potrafiła osądzić to z pozornym obiektywizmem. Żałowała, że nie ma przy niej któregoś z mężczyzn, którzy ją niegdyś kochali, choć z żadnym już nie

wyobrażała sobie wspólnego życia. Tak jak czytając po latach miłosne listy dozna-

29

je się zarazem wzruszenia i smutku, że najświętsza prawda uczuć obróciła się w śmieszne kłamstwo, tak i Sylwia myśląc o dawnych kochankach nie mogła uwierzyć, że skłonna była kiedyś do takich szaleństw. Tęskniła nie za określonym człowiekiem, lecz za samym uczuciem, za gotowością postawienia wszystkiego na jedną kartę w imię porywu, który trwa tak krótko.

W świetle czerwonego księżycyca wody jeziora wydawały się żółtawe, drobna fala z pluskiem dopadała brzegu. Powietrze było miękkie i kojące, lekkie tchnienie wiatru muskało twarz. Sylwia poczuła, że łzy nabiegają jej do oczu, i odwróciła głowę, by profesor tego nie spostrzegł.

Usiedli w 'milczeniu na okorowanej kłodzie. W szuwarach odzywały się żaby, ptak jakiś przeleciał nisko nad wodą. Profesor delikatnie czubkiem palca dotknął policzka Sylwii i objął ją ramieniem. Nie było jej to przykre, lecz wyprostowała plecy, jakby się chciała otrząsnąć z tego 'Objęcia. Ręka mężczyzny przywarła do nich silniej, twarz jego zbliżyła się ku jej twarzy. Sylwia chciała przytulić się serdecznie do niego, ale wstała i zawróciła do samochodu.

Szła rozgniewana — nie wiedzieć, czy na siebie, czy na swego towarzysza, wściekła, że przystała na tę nocną przejażdżkę. Profesor milczał uparcie, co wydawało się tym dziwniejsze, iż taki był rozmowny podczas kolacji. To milczenie też drażniło Sylwii, mimo że było przecież lepsze od zdawkowej rozmowy. Czowała się zmęczona nie tym ostatnim dniem, ale całym życiem, które wydało się jej nagle jałowe, choć po to zmieniała tyle razy pracę, znajomych, ba! nawet poglądy, żeby zrealizować wszystkie możliwości, znaleźć jeśli już nie szczęście, to przynajmniej zadowolenie. Teraz jednak, gdy zdobyła to, co w powszechnym mniemaniu uchodzi za sukces —• wysokie stanowisko, możliwość wyjazdów za granicę, do-

30

U' i

brobyt materialny — stwierdziła, że to wszystko ma dla niej drugorzędne znaczenie, że wymknęło się jej coś najistotniejszego, czego nie umiała wprawdzie określić, lecz co nadaje wartość egzystencji.

Była zbyt znużona, żeby w tej chwili dłużej o tym rozmyślać, oddałaby królestwo za natychmiastowy powrót do hotelu i pogrążenie się we śnie. Droga powrotna dłużyła się niepomiarowo, sen kleił powieki, nie wypadało

jednak usnąć w obecności profesora, więc wpatrywała się niewidzącymi oczyma w tunel świetlny, żłobiony w ciemnościach reflektorami. Dopiero gdy wjechali do miasta, poczuła się nieco różnie. Zapytała swego towarzysza o plany urlopowe, choć wcale ich nie była ciekawa i nie słuchała nawet jego odpowiedzi. Wyraziła wdzięczność za miłe spędzenie wieczoru. Gdy stanęli przed hotelem, była już jak zwykle opanowana i pewna siebie. Rozstali się z ulgą, przeświadczeni, że dobrze wypełnili powinności towarzyskie.

Dzień drugi

Spała kamiennym snem, póki nie zadzwieczał telefon; na pół przytomna podniosła słuchawkę, zerkając na zegarek z przerażeniem, czy aby nie spóźniła się do Instytutu. Było jednak wcześnie. Sekretarz dzwonił, aby ją uprzedzić, że przewidziana na dziś rozmowa nie może się odbyć, gdyż naczelny inżynier został ranny w wypadku samochodowym i leży w szpitalu. Szczęściem nie odniósł poważnych obrażeń, więc za kilka dni powróci do pracy, toteż najlepiej będzie, jeśli Sylwia zechce poczekać.

— Muszę zatelefonować do Warszawy — powiedziała, żeby odwlec decyzję.

— Pozwoliłem sobie porozumieć się z Warszawą i przedstawić im sytuację. Nie ma sensu, by pani wracała do kraju i ;za kilka dni ponownie wybierała się w podróż. Proszę przyjąć zaproszenie Ministerstwa i spędzić te kilka dni oczekiwania w naszym domu wypoczynkowym. Kierowca będzie u pani za godzinę i odwiezie panią do Calimaneszti.

Była zbyt zaspana, zbyt zaskoczona takim obrotem sprawy, by odrzucić zaproszenie. Sekretarz zapewnił zresztą, że chodzi o kilka dni, najwyżej tydzień, więc choć to Sylwii było nie na rękę, pogodziła się z myślą

32

o nieoczekiwanym urlopie, a nawet chętnie zaczęła zbierać swoje rzeczy. Co prawda, niewiele miała do pakowania, bo jechała tu przecież na krótko, wzięła tylko parę sukien. Przydałby się teraz ekwipunek sportowy, wiatrówka, turystyczne buty. Ledwo to pomyślała, już się zgromiła w duchu. Jakże tak? Wycieczek jej się zachciewa, plany urlopowe układa, zamiast się martwić o to, że w Warszawie podczas jej nieobecności...

Bynajmniej jednak nie zmartwiona zeszła na śniadanie do prawie pustej o tej porze hotelowej restauracji. Przez tiulowe, białe firanki wpadało różowe światło poranka. Kelner podał kawę po turecku i jeszcze gorące briosze. Odłamując po kawałeczku ciasto Sylwia rozkoszowała się jego zapachem ani myśląc, ile spożywa kalorii. Perspektywa kilku dni swobody nappełniała ją taką radością, jakby wygrała główny los na loterii. Chciałaby

się podzielić tą nowiną z córką, przywykła bowiem od lat mówić jej o każdym miłym zdarzeniu, starannie przemilczając troski, żeby nie mącić jej dziecięcego szczęścia i zupełnego poczucia bezpieczeństwa. Kochały się bardzo i dobrze im było razem aż do dnia, w którym Asia straciła głowę dla swojego chłopca. Nie przestała wprawdzie kochać matki, lecz wszystkie jej myśli były teraz przy tamtym, a gdy biegła na spotkanie, czas już się dla niej nie liczył. Zazwyczaj punktualna i słowna, wracała teraz o parę godzin później, niż obiecała, i to spóźnienie wydawało się jej całkiem naturalne, w każdym razie całkiem usprawiedliwione tym szczególnym stanem uczuć, w jakim żyła od kilku miesięcy. Zarówno ta intensywność przeżyć, jak i wybór partnera powinny były raczej podobać się Sylwii, a jednak dotknęły ją boleśnie. Traciła córkę, to było nieuniknione, lecz co gorsza, uświadomiła sobie, że się starzeje. Nie Sylwia teraz czekała niecierpliwie na telefon, lecz jej córka, nie do Sylwii pisano płomienne listy, choć jeszcze tak niedawno

3 — Trwaj, chwilo!

33

i .UlitHitlUUUi

= =- = U- —
r - <. i.

- - - - - L " - . 5. -

odtrącała czyjeś zaloty, nie dbając wcale, że mogą być ostatnie w jej życiu. Telefony, listy, kwiaty przeznaczone dla Asi przypominały Sylwii o dowodach miłości, jakie niedawno składano jej samej.

Od paru lat obecność Asi zaczęła jej ciążyć. Wspólne pobyty w górach lub nad morzem — choć na ogół przyjemne — wymagały od Sylwii ciągłego dostosowywania się do potrzeb i temperamentu córki. Ileż to razy biegła ma plażę lub na daleki spacer zamiast poczytać książkę na leżaku pod drzewem! Ileż razy prowadziła rozmowę na temat niewiele ją obchodzący, byle sprawić Asi przyjemność, lub też przerywała w pół widząc, że Asię nudzą matczyne refleksje. Oglądała programy telewizyjne, kiedy Asia miała rias to ochotę, odrywała się od pracy, żeby pójść z nią do kina.

Wydatki Asi miały pierwszeństwo w domowym budżecie. Jakże lubiła ją ubierać, kupować drobne prezenty, łakocie, kosmetyki!

Od czasu do czasu buntowała się przeciwko tej miłości, marzyła o tym, by nareszcie Asia stanęła na własnych nogach, by nie trzeba było kłopotać się

o jej zdrowie i wynik egzaminów na uniwersytecie ani martwić się jej nastrojami lub zawiedzioną ambicją. Szukała samotności, lecz po kilku dniach pobytu z dala od córki zaczynała do niej tęsknić nieprzytomnie. Wyczekiwała listów i z reguły skracala urlop, żeby prędzej wrócić do Asi, choć obecność jej, a raczej ciągła troska o nią bardziej przeszkadzały w pracy zawodowej aniżeli romans z mężczyzną. Sylwia niejednego flirtu wyrzekła się dla naukowej kariery i niezawisłości, tak przynajmniej mówiła niegdyś Klarze. Psychoanalitik odkryłby zapewne jeszcze inne przyczyny jej celibatu: kompleks niższości, ugruntowany w dzieciństwie, a zrodzony z lęku przed ojcem i niechęci do niego, która z czasem przerodziła się we wrogość wobec mężczyzn (ale tylko w sferze uczuć, bo nie wykluczającą bynajmniej silnego do

34

nich pociągu), przede wszystkim jednak nadmierną wrażliwość, co prawda starannie ukrywaną pod pozornym opanowaniem. Koledzy lubili Sylwię za jej pogodę i równość usposobienia, wcale się nie domyślając, z jakimi to mimoszami mają do czynienia, i nie wiedząc, jak i o co się w sobie, jak cierpi z byle przyczyny. To opanowanie zawdzięczała macierzyństwu: dziecku potrzebny był spokój i pogodny nastrój, wobec dziecka nie należało kłamać ani ulegać złym humorom, pić wódki ani poufalać się z mężczyznami. Dziecko musiało mieć dobre warunki rozwoju, to zaś wymagało pieniędzy, a więc wyteżonej pracy, umiejętności postępowania z ludźmi, zabiegania o karierę naukową.

Sylwia wprawdzie entuzjastycznie się chemi, lecz nie doszłaby w niej do tak świetnych wyników, gdyby nie konieczność inwestowania w Asię, która była do niej zdumiewająco podobna, tak samo wrażliwa, wątła mimo zdrowego wyglądu, chwiejna, ulegająca nastrojom. Sylwia uważała ją niemal za część własnej istoty, czuła się odpowiedzialna za wszystko, co w małej okazało się słabe i niedoskonałe. Stąd jej pobłażliwość dla Asi dyktowana nie tyle miłością, ile przeświadczeniem, że ponosi winę za przekazanie jej trudnych cech charakteru.

Rozumiała zwłaszcza jej zazdrość, gdyż sama z jej przyczyny wiele wycierpiała w dzieciństwie. Matka Sylwii dostarczyła jej do tego niemało powodów. Zaopiekowała się chłopakiem, którego rola w domu stawała się z biegiem lat coraz bardziej dwuznaczna. Mieszkał wprawdzie w służbówce, całe dni spędzał w szkole, żył niejako na marginesie rodziny, lecz Sylwia ujrzała go kiedyś na tapczanie obok matki. Nie spostrzegli obecności małej, która dochowała tajemnicy, lecz przez lata całe nienawidziła tego chłopca i rozmyślała przed zaśnięciem, jakby go

zgåadzić. Wydawał siê jej szczególnie odrażający: wysoki, trocê przygarbiony, bardzo śnia-

35

dy, o murzyńskich, zawsze oślinionych wargach i czarnych krowich oczach. Stapał bezszelestnie, w ka¿dej chwili mógł zjawić siê za plecami. Gdy podrosła, usiłował ją zdobyć; pewnego razu wszedł do jej pokoju, siłą przygniótł do łózka, ślinił jej twarz wargami, ale wstręt ją ocalił: zebrało siê jej na wymioty. Nie mogła pojąć, dlaczego ojciec tolerował w domu obecność tego intruza, choç go równie jak i ona nie znosił, oburzała siê na to zamykanie oczu i wyrozumiałość-wobec matki, a jeszcze bardziej na to, że nie wziął Sylwii w obronê, że nie ustrzegł jej przed natarczywością matczynego ulubieńca. Czyżby ich po¿ycie małżeńskie tak źle siê układało, iż przystawał na wszystko dla ratowania pozorów?

Jakkolwiek było, te rozmyślania zatruiły młodość Sylwii, nie wyznane nikomu zaważyły na jej stosunku do męczyzn, toteż chciała zaoszczędzić Asi podobnych doświadczeń i ograniczała swe kontakty ze znajomymi, aby nie dawać pożywki dziecięcej wyobraźni.

Najlepiej zresztą czuły siê niegdyś we dwójkê. Sylwia nieświadomie zabiegała o względy małej, pragnąc ją do siebie przywiązać, mimo że zdawała sobie sprawę, jak zgubny dla nich obu mo¿e siê stać w przyszłości ten nadmiar przywiązania. Toteż starała siê w inny sposób przygotować Asiê do samodzielnego życia: wysyłała ją na wycieczki i obozy, obarczała licznymi zleceniami. Ale to wszystko nie naruszało więzi między nimi, nie przekreślało ich „egoizmu we dwójkê”.

W szczęśliwym małżeństwie kobieta znajduje radość, poczucie bezpieczeñstwa i zaspokojenie, toteż darzy mę¿a serdecznym uczuciem; dziecko zaś akceptuje ojca jako przedmiot miłości matczynej. Asia jednak wychowała siê niemal wyłączenie pod opieką matki, ojca widywała rzadko, Sylwia zaś tak zupełnie wykreśliła go ze swej pamięci, że niemal mogłaby przysiąc, iż poczęła dziecko bez udziału męczyzny. Dom jej był domem kobiet. Mę¿-

36

czyźni pojawiali siê w nim rzadko, przelotnie i zawsze stawali siê przedmiotem ostrej krytyki. Przyjaciółki Sylwii opowiadały a¿ do znudzenia o małżeńskich kłopotach i krzywdach. Nawet gospoia wychwalała pod niebiosa świat bez męczyzn.

Zdawać by siê mogło, że dziewczyna wychowana w takiej atmosferze będzie stroniła od płci brzydkiej, że na jej życiu erotycznym zaciągną matczyne rozczarowania. Nic podobnego! Asia miała bujny temperament i

prędko sięgnęła po jabłko z drzewa wiadomości. W domu kobiet zjawiał się chłopak, którego Sylwia nie mogła, nie potrafiła zaakceptować mimo wszystkich jego zalet. Był dla niej uosobieniem nienawistnego żywiołu, świadectwem jej życiowej klęski.

Niepostrzeżenie zaczął się zmieniać jej stosunek do córki. Asia stawała się teraz odrębną, niemal obcą osobą, wprawdzie bardzo kochaną, lecz coraz mniej niezbędną do życia. Zmiana ta była jednak bolesna. Sylwia parokrotnie znajdowała się na krawędzi rozpaczyny pod wpływem nieporozumień z Asią. Czas jednak zrobił swoje. Teraz, rozglądając się po sali, zapytywała się w duchu, czy każda z kobiet w jej wieku ma za sobą takie doświadczenia. Choćby chciała, nie mogłaby powiadomić Asi o konieczności przedłużenia pobytu w Rumunii, bo dziewczyna wyjechała na dwa tygodnie w góry nie podając matce adresu.

Dopijała kawę, kiedy wszedł sekretarz Instytutu, młody, wysoki brunet o smolistych oczach. Biała koszula podkreślała jego opaleniznę. Pogodny ranek sprawił go widać w dobry humor. Nawet gdy z pewnym namaszczeniem załatwiał sprawy służbowe, wyglądał na jurnego chłopaka z przedmieścia, który ciągle wodzi wzrokiem za kobietami, rad z każdej nadarzającej się sposobności. Do Sylwii odnosił się z należyty szacunkiem, lecz zarazem okazywał odrobinę osobistego zainteresowania,

31

które nie uchybiając w niczym jej stanowisku, schlebiali przecież kobiecości.

Kierowca czekał w wołdze przed hotelem. Był to zażywny mężczyzna około pięćdziesiątki, o rumianym obliczu i oczach jak tarki. Otworzył drzwiczki wozu i zdziwił się, gdy Sylwia powiedziała po rumuńsku, że woli usiąść obok niego. Nim wyjechali z miasta, już rozgadali się na dobre. Dzień był piękny, nie nazbyt upalny, perspektywa podróży uśmiechała się im obojgu. Kierowca stwierdził, że lubi szybką jazdę, że na obiad można zatrzymać się w Piteszti, bo tam dobrze dają zjeść, a i wino mają całkiem niezłe. Kiedy po prawej stronie szosy pojawiły się wzgórza, na nich zaś sady śliwkowe i winnice, Sylwia pomyślała, że sam los obdarzył ją kilkoma dniami odpoczynku i swobodnych rozmyślań. Takie „rekolekcje” potrzebne są co pewien czas każdemu, zwłaszcza po absorbującej pracy naukowej. Dziwiła się tylko temu, że choć jeszcze wczoraj uważała, iż nie może pozwolić sobie bodaj na krótki urlop, dzisiaj bez słowa protestu zgodziła się na kilkudniowy pobyt w górach i wcale nie żałowała swej decyzji. Och, za pozwoleniem! Przecież to za nią

zdecydowano, przesadzono i pewnie dlatego nie dręczyły jej wyrzuty sumienia, że nie miała innego wyboru. Ważniejsze jednak, iż miała spędzić ten tydzień w kraju, gdzie przed trzydziestu laty przebywała na innych prawach, w całkiem odmiennych warunkach. Czyżby więc powrót do wspomnień? Nic podobnego! To były sprawy raz na zawsze zamknięte. Nie miała wcale ochoty na spotkanie znajomych należących do tamtego okresu jej życia, niemal do innej ery geologicznej. Zmieniła się tak bardzo, że nic jej nie łączyło ze studentką, którą tu niegdyś była. Wspomnienia mogłyby okazać się żenujące. Ale porównanie własnego stosunku do tego kraju, „stanowiska wobec” — wydawało się ponętne, ba! konieczne, bo sentyment do Rumunii

38

okazał się trwalszy niż uczucia do jej mieszkańców. ~rwalszy, ale drażniący, gdyż źródła jego wciąż były dla niej nie dość jasne. Ludziom należała się wdzięczność za dowody bezinteresownej dobroci, to całkiem naturalne. Ale kraj? Na czym polega jego magia, skąd pochodził urok, któremu Sylwia ulegała przez tyle lat? Urok silny, a niewysłowiony, przejmujący jak pierwsza miłość. Było coś w rumuńskim krajobrazie czy kolorycie, co zapierało w niej dech i ścisnęło serce. Może ta rozległość pejzaży zamkniętych górami, może blask przyćmiony nieuchwytną mgłą melancholii, może tylko to, że zachwyciła się nim w młodości, utożsamiała z młodością, z najpiękniejszym porywem uczuć i wyobraźni? Młodość wszakże minęła, rozsądek wziął górę nad uczuciami, a czar tego krajobrazu działał na Sylwię tak samo jak „przed laty. Nie mogła oprzeć się wzruszeniu patrząc na łagodne wzgórza porośnięte lasami, na owocujące winnice. Nigdy w kraju rodzinnym nie doświadczała takich uczuć, choćby zwiedzała piękniejsze nawet miejscowości. A więc nie tylko piękno było powodem jej wzruszeń i nie wspomnienia, gdyż wiele zawierały gorzkości. Prawda, że spotkała się przed laty z dobrocią ludzi, ale też zaznała wielu upokorzeń i smutków, nieodłącznie związanych z uchodźstwem, a przede wszystkim zwykłej, wojennej biedy.

— Czy była pani kiedy w Goleszti? — zagadnął kierowca. —

Moglibyśmy tam wpaść przy okazji, bo na o-biad jeszcze za wcześnie, a do Piteszti bliźniutko.

— Chętnie — odparła Sylwia.

Było jej właściwie wszystko jedno, dokąd pojedą i co będą robić do wieczora. O braciach Golescu coś tam kiedyś czytała: żyli na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego stulecia, założyli w swym majątku szkołę, w której mogły uczyć się bezpłatnie dzieci wszystkich stanów, przyczynili

się do powstania pierwszej rumuńskiej ga-

39

zety, sami chętnie sięgali po pióro. Dwór w Goleszti zasłynął jednak dzięki osobie Tudora Vladimirescu.

Wołga stanęła przed bramą wjazdową. Kierowca został przy wozie, Sylwia zaś weszła na pusty, rozległy dziedziniec, otoczony z trzech stron niskimi, bielonymi budynkami. Pośrodku, w cieniu starych wiązów stał piętrowy dwór, także biały, z obszerną werandą na piętrze, spowitą w zielone pnącza. Niezmałona cisza trwała w tym zakątku, a południowe światło było tak jaskrawe, że barwy gęstniały, biel raziła oczy, zieleń zaś wydawała się głęboka jak toń górskiego jeziora. Nigdzie żywej duszy, ani śladu przewodnika, drzwi stojące otworem, pokoje na oścież odemknięte, jakby tu za chwilę mieli powrócić mieszkańcy sprzed wieku. I choć życie dawno stąd uszło, choć muzealny chłód panował we wnętrzu, przecież ocalało tu jeszcze tchnienie dawnych czasów.

Z werandy spojrzała na mur odgradzający podwórze od szosy, na bramę o wyglądzie niemal obronnym i niewielką izdebkę nad nią, w której spędził ostatnie dni Tudor Vladimirescu, przywódca powstania z 1821 roku.

Teodor Aman przekazał potomności jego portret bardzo wyidealizowany.

Jak naprawdę wyglądał ów czterdziestoletni mężczyzna, porywczy i okrutny, inteligentny i przedsiębiorczy, który całe swe wykształcenie zawdzięczał bojarowi Glogoveanu? Czego nauczył się w jego domu?

Trochę rachunków, nieco geografii lub języków, słowem tego, co mogło się przydać administratorowi bojarskiego majątku. Wprawdzie

Vladimirescu szybko się usamodzielniał, a później zarządzał długie lata pewnym górskim powiatem, ale chyba nie pogłębiał już swoich

wiedomości naukowych, gdyż zajmował się w tym czasie handlem i

młynarstwem. Jeździł do Ada--Kale i do Krajowej, handlował zbożem,

bydłem, rybą, woskiem. Miał też za sobą doświadczenia wojskowe. Był

40

chotnikiem w armii rosyjskiej, został odznaczony Orderem Świętego Włodzimierza.

W dniu 18 maja 1821 roku Tudor Vladimirescu za-rzymał się w tym dworze. Wojska tureckie szły na

ukareszt. Oddziały Ipsilantisa rozlokowały się na

zgórzach otaczających Goleszti. Tutaj, na tym cichym zisiał dziedzińcu

biwakowali żołnierze Tudora, który znalazł się w sytuacji rozpaczliwej.

Przed kilkoma miesiącami wybuchło powstanie skierowane początkowo tylko przeciw Turkom oraz tym

łaścicielom ziemskim, którzy w Turcji widzieli gwa-antkę swych przywilejów. Tudor wyraźnie stwierdził odezwie do ludu, że nikt nie ma prawa „uszczań na- et ziarnka z majątku jakiegokolwiek kupca i współ-bywatela”, gdyż „tylko źle, nabyte dobra i majątki ty-anów będą odebrane”, i to na użytek społeczności. Ale 'ego żołnierze okazali mniej umiarkowania. W ciągu pa- u dni, podczas marszu z Bukaresztu do Goleszti Tudor karał śmiercią za grabież i rozbój aż dwudziestu czte-ech podkomendnych. W miejscowości Bolintinul de ale sam zastrzelił dwóch młodych żołnierzy za to, że abrali chłopom bełę płótna. Wywołało to oburzenie śród wojska i stało się przyczyną spisku przeciw Tu-orowi, który zapewne czegoś się domyślał, wezwał owiem do siebie oficerów i kazał im złożyć pisemne otwierdzenie lojalności i posłuszeństwa. Podpisali je szyscy oprócz czterech dowódców. Dwaj z nich umknę-i tejże nocy, dwóch innych Tudor kazał stracić; jedne-o powieszono, drugi uratował się dzięki gorącemu wsta- ' iennictwu kolegów.

W nocy, kiedy Tudor czuwał w swej izdebce nad bra- ą wjazdową do dworu w Goleszti, jego oficerowie ebrali się na dole. Było między nimi paru krewnych po- ieszonego dowódcy. Poprzysięgli zemstę Tudorowi. Ci-haczem wysłali posła do kapitana Iordache, żeby przy-

41

I

był do obozu powstańców, pojmał Tudora i postawił go przed sądem. W salce muzealnej dworu wiszą plansze, wykresy i o-brazy, ilustrujące dzieje powstania i sytuację Europy wschodniej w początkach dziewiętnastego wieku, kiedy nie tylko w księstwach naddunajskich, lecz także w Serbii, Bułgarii, Grecji odezwały się dążenia wyzwolenicze. Przejawem ich stał się związek noszący nazwę Filiki Heteria, założony w 1814 roku w Odessie. Twórcą jego i wodzem był Grek, >syn byłego hospodara Konstantyna, Aleksander Ipsilantis, generał armii rosyjskiej, który porzucił służbę carską, aby poświęcić się idei wyzwolenia Grecji spod jarzma tureckiego. Zorganizował on „święty batalion”, złożony z młodzieży greckiej oraz licznych cudzoziemców. Kiedy legion ten z bronią u nogi czekał na hasło walki, emisariusze Heterii krążyli po Europie, zwłaszcza po Bałkanach, szukając sprzymierzeńców i organizując spisek. Idea Heterii znalazła wyznawców wśród wielu postępowych ludzi także na

zachodzie Europy, należał do nich między innymi Byron. Heterii sprzyjał Seweryn Goszczyński, który wyruszył pieszo przez Ukrainę, aby połączyć się z powstańcami.

Popierał Heterię gospodarz mołdawski Michał Sutu, natomiast książę Wołoszczyzny był jej przeciwnikiem, ale właśnie w jego księstwie zaczął działać Tudor Vla-dimirescu, który wezwał Rumunów do powstania przeciw Turkom.

Początkowo ruch zbrojny ogarnął tylko Oltenię. Śmierć księcia Wołoszczyzny ułatwiła jednak zadanie powstańcom. Wysłane przeciw nim wojska książęce przeszły na stronę Tudora, który 16 marca 1821 roku stanął w Bukareszcie. W kilka dni później przybył tam Ipsilantis na czele swego wojska, które przemaszerowało przez całą Mołdawię nie natrafiając na najmniejszy

42

I Opór. Zamierzano teraz ruszyć na pomoc Grecji, gdzie także wybuchło powstanie.

Tymczasem car Aleksander, udzielający dotąd Heterii cichego poparcia, odzegnał się od niej publicznie w obawie komplikacji w polityce zagranicznej. Ekspedycyjny korpus turecki miał lada dzień wkroczyć do zbuntowanych księstw rumuńskich — Mołdawii i Wołoszczyzny. W tej dramatycznej chwili nastąpił rozłam między Heterią a Tudorem Vladimirescu, który dał się zwieść bojarom z własnego obozu i złożył przysięgę nowo wybranej „radzie panów”, licząc, że za jej pośrednictwem zawrze ugodę z Turcją i zyska jej poparcie dla niektórych powstańczych żądań. Heteria oraz najlepsza część jego własnych ludzi poczytała mu to za zdradę. Ipsilantis poczuł się niepewny w Bukareszcie, więc wycofał się do Tyrgowiszte, a gdy wojska tureckie znalazły się na ziemi rumuńskiej, bojarzy, którym uległ Tudor, jierwsi odwrócili się od niego. Daremnie próbował na-jrawić swój błąd i przed opuszczeniem Bukaresztu, dniu 14 maja, ogłosił proklamację przeciw Turcji. Było już na to za późno. Pojął to poniewczasie i raz jeszcze próbował porozumieć się z paszą tureckim w Silistrii, nsząc do niego listy, które wpadły w niepowołane ręce.

Tej nocy, gdy spiskowcy wysłali posła do kapitana Iordache, Tudor nie mógł spać. Z okien swej izdebki wi-iział ognie biwaków na dookolnych wzgórzach i zrozu- liał chyba, że dni jego są policzone.

Nazajutrz kapitan Iordache z garstką żołnierzy przybył do Goleszti.

Odczytał publicznie tekst przysięgi, jaką Tudor złożył był Heterii, a także jego list do tureckiego paszy, stanowiący dowód zdrady. Następnie zapytał

żołnierzy Tudora, czy zamierzają nadal znosić tyranię okrutnego wodza. Członkowie spisku gromko zakrzyknęli, żeby Tudora postawić przed sądem.

Tutaj, na tym dziedzińcu, pośród towarzyszy walki

I3

Tudor musiał złożyć broń. Nikt się za nim nie ujął. Iordache kazał go związać i odesłać do Tyrgowiszte, gdzie Ipsilantis wydał go w ręce oprawców.

W salce muzealnej można się wiele dowiedzieć o sytuacji gospodarczej i społecznej księstw rumuńskich. Trudno natomiast odtworzyć sobie dramat Tudora Via-dimirescu. Kopie portretów i gipsowe popiersia człowieka, który — jak Tadeusz Kościuszko — stał się patronem dywizji uformowanej w Związku Radzieckim podczas drugiej wojny światowej, uczyniły z Tudora postać oficjalną, jakby nadludzką, niewiele chyba mającą wspólnego z wodzem, który na tym dziedzińcu poniósł najstraszliwszą klęskę.

Wracając do auta Sylwia myślała o świecie minionym, o świecie ziemiańskiej kultury. Mało dworów miało szczęście stać się przedmiotem troski konserwatorów, zabytkiem chronionym dla przyszłych pokoleń. A przecież w takiej scenerii, w ciągu wolno płynących godzin, w klimacie sprzyjającym rozmyślaniom i rozpamiętywaniu — powstawały wielkie dzieła literackie, gromadziło się pisarskie tworzywo, które po dzień dzisiejszy olśniewa w prozie polskiej. Dość przypomnieć nowele Iwaszkiewicza, autobiografię Pruszyńskiego, całe rozdziały z Gruców. — Podobało się pani? — zapytał kierowca oczekując zachwytów, jakby dwór tutejszy był jego własnością. I był nią chyba w pewnym stopniu teraz, kiedy go zamieniono w obiekt muzealny, świadczący o tradycjach narodowych, godny pokazania cudzoziemcom, starannie odrestaurowany i upiększony. Turyści muszą przecież coś zwiedzać, fotografować się na tle zabytków, choćby nawet nie wiedzieli, jaką rolę odegrały w historii. Piteszti okazało się miastem na dorobku: nowe, kilkupiętrowe bloki wyrastały spośród parterowych domków i ogrodów, ulice rozkopano dla przeprowadzenia

44

podziemnych instalacji, łon, zręcznie wyminawszy konne wozy i ciężarówkę, na której wśród beczek ze smołą jechali opaleni na brąz robotnicy, zatrzymał wołgę przed wejściem do letniej restauracji, z trzech stron otoczonej podcieniami oplecionymi winem i szczególnego rodzaju

powojem o lazurowych kwiatach wielkości szklanego spodka. Rozległy czworoboczny dziedziniec zastawiony był gęsto białymi stolikami i krzesłami o kolorowych oparciach; jaskrawe, jarmarczne barwy na tle zieleni i ścian pociągniętych od niechcenia wapnem stwarzały nastrój beztroskiej zabawy. I na pewno bawiono się tu świetnie wieczorem przy dźwiękach cygańskiej orkiestry, tańczono pod gołym niebem na betonowym kręgu, gdzie teraz tłusty, rudy kocur wygrzewał się w południowym słońcu.

O tej jednak porze nie było tutaj nikogo i Sylwia odniosła wrażenie, że znalazła się wśród teatralnych dekoracji, że będzie musiała zagrać w podrzędnej, bulwarowej sztuce. Nawet pośpiech, z jakim przybiegła do niej kelnerka, był jakby wyreżyserowany, jeśli nie brać pod uwagę wołgi z bukareszteńską rejestracją.

Kierowca, biorąc na serio męskie obowiązki, wybrał stół, zamówił mięso z rusztu, sałatę i wino. Traktował Sylwię jako towarzyszkę wycieczki, serdecznie i trochę poufale. Widać było, że jest rad z tej służbowej delegacji. Pochwalił polędwicę, w miarę wypieczoną, w miarę krwistą, znakomitą, jak twierdził, przed spędzeniem nocy we dwoje. Sylwia zmarszczyła brwi. Ach, dorzucił szybko, nie myślał bynajmniej o sobie, jemu to już nie w głowie, ma dorosłe dzieci. Córka jest główną księgową w dużym przedsiębiorstwie. I wszystko układałoby się dobrze, gdyby mógł się wreszcie wynieść z parterowego domku stojącego bokiem do ulicy. Okna wychodzą na oszklony ganek, który biegnie wzdłuż podwórza. Co za udręka! Przez cały dzień kręcą się tam dzieciaki, a także obcy ludzie, bo w głębi dziedzińca mieści się warsztat szewski. Szewc jak to szewc: pijaczyna. Dzieci spędził pięcioro, wszystkie nieudane, ani Bogu na chwałę, ani ludziom na pożytek. Żona szewca chuda, że do i-gły można by ją nawlec, aż patrzeć przykro, bo kobieta musi mieć tyle ciała, żeby męża w łóżku nie kłuła gnatami, lecz przytuliła do pulchnego łona. Więc ta szewcowa chuda okropnie, a co gorsza — plotkara, suchej nitki na nikim nie zostawi, snuje stworzone i niestworzone gadki, diabli wiedzą, jak lepiej z nią żyć — w kłótni czy w zgodzie. Bo jeśli się z nią kłócić, to nie daj Boże, jak język rozpuści, a teraz takie czasy, że słowa skrzydła mają i kto wie, gdzie doleczą. A jak znów w zgodzie żyć, to dnia nie ma, żeby szewcowa nie wpadła czegoś pożyczyć, a to cukru, a to octu, a to oleju. Bieda nie w tym, że pożyczają, bo na ogół nawet oddają. Ale jak przyjdzie, to siedzi godzinami, uszu nastawia, oczami strzela, wszystko wypatrzy, co w domu nowego, a później dziwi się przed ludźmi, skąd taka zamożność z tej jednej pensji, chociaż każdy

wie, że kierowca ma te swoje boki, bez żadnej grandy, ot, po prostu... Sylwia też mieszkała kiedyś w takim parterowym domku, szczytem zwróconym ku ulicy. Było to jesienią 1939 roku. Przyjechała do Buzau z grupą uchodźców i jak wszyscy była przyjęta serdecznie, ze współczuciem, któremu dawano wyraz raczej gestem niż słowem, bo brakowało wspólnego języka, jako że rzadko trafiali na siebie ludzie o podobnym wykształceniu i pozycji społecznej. Mniej zamożni i prostsi zawsze chętniej dzielą się z bliźnimi, więc też goszczono uchodźców głównie w domach drobnych urzędników, nauczycieli albo wdów żyjących z renty. Goszczono ich czasem bezinteresownie, czasem za niewielką opłatą, prawie zawsze z gorącym sercem. O porozumienie było jednak trudniej. Przybysze okazywali zdumiewającą ignorancję

46

- w sprawach kraju, który im dał schronienie i z którym przez tyle lat sąsiadowali o miedzę. Nie umieli wymienić ani jednego pisarza, bodaj jednego faktu z dziejów państwa, nie orientowali się w ówczesnych stosunkach politycznych. Zabójstwo Armanda Calinescu było dla nich jedynie sensacyjnym zdarzeniem, jednym z wielu, o których czyta się przy śniadaniu chrupiąc świeże bułeczki.

Z tej niewiedzy zapewne rodziło się lekceważenie, które, o dziwo, przetrwało długie lata wojny, gdyż uchodźcy zamknęli się w swych gettach i czekali cierpliwie na bieg wypadków. Mało kto próbował poznać dzieje i kulturę narodu, z którym mu współżyć wypadło. Kontakty wojenne były dziełem przypadku, rzadziej wyboru, stąd dodatkowe nieporozumienia i krzywdzące sądy. W tłumie uchodźców znaleźli się ludzie wykształceni, ale też i cwaniacy po kilku klasach szkoły powszechnej, wysocy urzędnicy, ale i paniusie bez żadnego zawodu. Rzadko profesor uniwersytetu Polak zawierał znajomość z rumuńskim naukowcem, częściej trafiał na skromnego urzędnika lub żonę oficera wysłanego na front wschodni. O czym mieli mówić ze sobą, zakładając, że oboje znali na tyle francuski lub niemiecki, aby w tym języku mogli poruszać tematy wykraczające poza codzienność, jedzenie, mieszkanie lub erotykę? Flirty często ubarwiano pospolitym kłamstwem: co trzeci uchodźca przedstawiał się jako ziemianin, hrabia albo dyrektor. To imponowało wdowom po komornikach lub prowincjonalnym krawcowym, na które prawdziwi dyrektorzy w ogóle nie zwracali uwagi. Brak wspólnego języka ułatwiał mistyfikację. Trudno przecież rozeznaczyć się w inteligencji czy wykształceniu człowieka posługującego się setką słów. Jeśli czasem lekarz spotkał się z lekarzem, nauczyciel z nauczycielem,

stwierdzali nie bez zdziwienia, że są ulepiani z tej samej gliny, że wię-
47

cej ich łączy, niż dzieli. Do takich spotkań dochodziło jednak rzadko, natomiast kontakty z przekupnymi urzędnikami prefektury, ze skorumpowaną policją, z prowincjonalnymi adwokatami prowadzącymi mętne interesy — utrwały krzywdzące mniemanie o Rumunach. Przyczyniało się do tego jeszcze i to, że uchodźcy z dużych miast trafiali na rumuńską prowincję, którą co najmniej pół wieku dzieliło od życia w Bukareszcie i która nie interesowała się wcale osiągnięciami kultury, chyba — kulinarnej.

Trzy rzeczy utrwały się w pamięci Sylwii: kafejka, targowisko i czyszczalnia butów. W kafejce od rana przesiadywali nie ogoleni mężczyźni w kapeluszach zsuniętych na kark. Popijali piwo, jakieś kolorowe trunki o mocnych zapachach, grali w trik-traka, wybuchali co pewien czas gromkim śmiechem, ćmili mocne papierosy i wcale nie spieszyli się do pracy. Targowisko zdumiewało obfitością jarzyn i owoców. Oprócz znanych Sylwii z kraju warzyw piętrzyły się na straganach stosy fioletowych bakłażanów, czerwonej i zielonej papryki, jasnych kabaczków, złotej fasoli o płaskich, szerokich strąkach, melonów i kawonów, które sprzedawano tu nie na kilogramy lub sztuki, lecz na wózki, i zjadano w niebywałych ilościach: po kawonie na uczestnika posiłku. Nie to jednak zdumiało Sylwię i nawet nie fakt, że zakupy robili często mężczyźni, panowie domu, ale obecność na targu wielkich sępów, spokojnie kroczących między stoiskami lub przelatujących tuż nad głową klientów. Te szare ptaszyska o nagich szyjach były tu niemal etatowymi

pracownikami zakładu oczyszczania mia-

Czyszczalnia butów natomiast — to zakład całkiem prywatny, lecz równie uczęszczany jak kafejki. Stały w nim na podwyższeniu fotele kryte pluszem, w których sadowili się klienci z gazetą w rękę i powierzali

czyści-

sB

utom elegancję swych dolnych kończyn, wymieniając z sąsiadami uwagi o polityce. Tymczasem czyścibuci, idący na niskich stołeczkach, pucowali aż do blasku uty, szczotkowali mankiety spodni, poprawiali nie dość - tarannie zasupłane sznurowadła. Obok nich stały skrzynki z wszelakimi pastami i płynami do odświeżania skóry, z eliksirami młodości dla podniszczonego obuwia. Kontrast między swobodną rozmową klientów a na-

aszczeniem pucybutów był tak uderzający, że Sylwia nie potrafiła go zapomnieć przez ćwierć wieku, tał się dla niej bowiem symbolem ówczesnych stosunków społecznych, zjawiskiem nad wyraz żenującym, choć nikt mu się wtenczas nie dziwił ani się nim nie gorzył.

— Dojeżdżamy — powiedział Ion. — To już Calianeszti.

Sylwia ujrzała przed sobą ni to wieś, ni to miasto dolinie rozwartej na południe i zwięzającej się gwałtownie ku północy. Ogromne góry zdawały się zamykać przejście na drugą stronę Karpat, ale w części południowej tej osady łagodne wzgórza ledwo ją osłaniały od wichrów.

Wzdłuż szosy, a właściwie głównej ulicy, stały wiejskie, drewniane donie, zanurzone po ganki w gąszczu alw, dali, aksamitek i kosmei. Winna latorośl rozpięta jak dach nad podwórkami zwieszała granatowe i złote, ciężkie od soku grona. Czarny kot spał na parapetie okiennym pomiędzy doniczkami balsaminy i pelargonii. Słońce skryło się już za wzgórzem, lecz jego blask adawał jeszcze domom, kwiatom i przechodniom kołoty szesnastowiecznych ikon. Czerwień nabierała głębi, żółć rudziała, złote iskry zapalały się i gasły, nim zrok zdołał je przytwierdzić do miejsca.

Dalej dopiero pojawiły się wille i pompatyczne domy zdrojowe, jakie wznoszono po obu stronach Karpat — Trwaj, chwilo!

ĄCf

1

w połowie ubiegłego wieku, kiedy wierzono w magiczne działanie wód mineralnych. To przejście od ukwieconej wsi do wysztafirowanego uzdrowiska łagodziły jedynie drzewa, przesłaniające wszystko zmęczoną, pociemniałą zielenią. Dom ministerstwa znajdował się blisko Łazienek Zdrojowych i na pierwszy rzut oka nie wyglądał zbyt zachęcająco.

Jednakże pokój, do którego wprowadzono Sylwię, okazał się wygodny, a taras przy nim piękny nad wszelkie pojęcie. Wisiał wysoko nad nurtem rwącej, górskiej rzeki, srebrzystej w świetle lamp, które nagle rozbłysły, choć wieczór jeszcze nie zapadł. Sylwia usadowiła się w leżaku i pozwoliła myślom płynąć tak swobodnie, jak mknęły wody Oltu, zwanego po polsku Aluta.

Późną jesienią 1941 żegnała tę rzekę przy ognisku rozpalonym na jej brzegu niedaleko stąd, w Rimnicul Vil-cea. Wieczór pachniał dymem i opadłymi liśćmi. Młodzi ludzie lubią taką scenerię, więc i Sylwia wzruszyła się niemal do łez, choć nie wiedziała jeszcze nic o tych okolicach. Towarzysze jej bardziej cenili sobie wino z Dra-gaszani aniżeli rozmowy o tutejszych monasterach, nie znali pięknej książki Geo Bogzy, której bohaterem jest Olt, Sylwia zaś także nie miałaby wówczas cierpliwości, by śledzić poetyckie stadia egzystencji tego pisarza. Może więc należy cenić sobie tę dojrzałość, która pozwala więcej dostrzegać i więcej rozumieć niż w latach niefrasobliwej młodości? Może cena, jaką się płaci za pełnię doznań, nie jest nazbyt wygórowana?

Uzień trzeci

Wstała tak lekka i spokojna, jakby wypita napar z ziół odbierających pamięć. Nie śpieszyła się nigdzie i nie tęskniła za nikim, mogła do woli przyglądać się górom albo rzece srebrnej w migotaniu drobnych fal. Wyciągnęła się na leżaku; różowe światło poranka nadawało ciepły ton jej skórze. Dzień rozpościerał się przed nią w całym swym powabie i zdawał się nie mieć końca. Odzyskała samą siebie, stwierdziła ze zdumieniem, że nie ciążyą jej żadne, prawdziwe lub urojone, obowiązki. Mogła tak leniuchować do obiadu albo wyjść na spacer, mogła ulegać kaprysom, przelotnym zachciankom, echom nie spełnionych pragnień. Nikt by jej tego nie wziął za złe, nikt by nawet nie zwrócił na nią uwagi, łon odjechał do Bukaresztu. Znajomych tu nie miała żadnych.

Sięgnęła po lekturę, na wszelki wypadek wziętą z Polski. Zaczęła od rozważań Zawieyskiego, ostatnich, jakie spisał przed atakiem śmiertelnej choroby, i od razu doznała wrażenia, że czyta po prostu własne myśli. „Czym jest nasza osobista historia? — zapytywał pisarz. — Co ją tworzy? Dyspozycje psychiczne, warunki bytowe, złe lub dobre przypadki — czy świadomość, która prowadzi do określonego wyboru? Pytaniem naszych czasów, obejmującym różne dziedziny życia osobowego jednostki, jest problem wyboru, wyznaczający kierunek, a także perypetie jej losu.

Jeżeli jednak uważniej wmyśleć się w tę sprawę, ów problem wyboru oznacza wejście w skomplikowany dramat nieustannych walk, zarówno w pokonywaniu własnej słabości i niekonsekwencji, jak i łamaniu się woli z oporami, przychodzącymi z zewnątrz. Nikt nie jest monolitem ani twierdzą nie do zdobycia przez sytuacje i okoliczności, którym nie zawsze można sprostać. Upadek ludzi jest oznaką człowieczeństwa, błąd i niewierność, nade wszystko wątplenie, wyznaczają nam wymiary naszej

«doli człowieczej».

Niezgoda na siebie prowadzi nas często do mitu o sobie. Przekazujemy go innym, aby tak nas widzieli, w wybranym wyobrażeniu, co niekiedy oznacza maskę lub minę. Łatwiej nam wtedy obracać się wśród ludzi i pełnić w świecie rozliczne zadania. Ale inni także stwarzają nam mityczny obraz, jakąś swoistą «gębę», jakby powiedział autor *Ferdydurke*, która podważa i zdziera nasz mit o sobie. Być może, iż na przecięciu walki pomiędzy «gębą» innych a własnym mitem rozgrywa się nasz dramat ze światem.

Jak opowiedzieć osobistą historię? Będzie to zawsze lub prawie zawsze historia mitu bądź. splecionego z realiami życia, bądź oddzielonego od nich. Mit staje się naszym «sacrum», osobową transcendencją, ceną własnej godności. «Gęba» przydana nam przez innych nie wychodzi poza obręb «profanum».

Sztuka od wieków żywi się antynomią i konfliktem, w którym biorą udział ludzie i bogowie, uwikłani w świecie realnym i w świecie mityczno-oniryczno-marze-niowym. Mit stoi u początków, dalekich i tajemniczych, życia ludzkości, u początków wszelkiej historii.

Jeżeli by odnieść tych kilka myśli do historii świata, do umarłych cywilizacji i do cywilizacji współczesnej,

52

narzuca się pytanie: co stanowi istotną materię wszelkiego rozwoju i postępu? Odpowiedź jest oczywista i prosta. Będzie to zawsze współistnienie mitu z historią, z którą podejmuje walkę o kształtowanie obrazu świata na miarę dążeń, by światu sprostać i podporządkować go ludzkiej woli. Współistnienie mitu z historią nie zawsze bywa w konflikcie. Często mit pociąga za „obą historię, stając się jej natchnieniem, często także historia obraca się przeciwko mitom jako siłom, które ją obezwładniają. Czy można lub należy rozdzielać historię od mitu?

Zapewne należy rozdzielać dla celów badawczych, zawartych w pytaniach «jak było?». To rozdzielenie nie oznacza unicestwienia mitu. Teoretycznie uwolnienie historii od mitu jest możliwe. Ale w procesach życia niepodobna tego dokonać. Dynamika życia tworzy «materii pomieszanie», a w tym pomieszaniu zachodzą na siebie mit i historia, «sacrum» i «profanum». Tak jak to jest także w naszej osobistej historii. Każdy z nas ma swoją «mowę snów», co jest ucieczką od czegoś, co się nie da zobiektywizować ani jasno wytłumaczyć."

Zamyśliła się nad tymi słowami; nagle, jakby pod wpływem wewnętrznego impulsu wstała spiesźnie, by pójść na daleki spacer. Przy

moście nad odnogą Oltu spotkała kobiety wiejskie, sprzedające owoce i gotowane, ciepłe jeszcze kolby kukurydzy. Przed podaniem ich klientom zwilżały każdą gęsim piórkiem zamoczonym w słonej wodzie. Słonawy zapach bił w nozdrza, pobudzał apetyt. Mali, czarnoocy chłopcy o wygarbowanych na brązowo palcach zachwalali świeże, ledwo wyłuskane z łupin orzechy włoskie, z których trzeba było tylko ściągnąć żółtawą skórkę, by dobrać się do białego jądra.

Chrupiąc orzechy Sylwia weszła w cień buków, lip i kasztanów, których korony spletały się w zwarte sklepienie nad alejką wiodącą do monasteru na wyspie. Pa-

53

chniało tu pokrzywami, ale jeszcze bardziej łem rzeczonym i wilgocią mchu rosnącego na przybrzeżnych głazach, butwiejącym drewnem i zmurszałą korą. Stopy lgnęły do podmokłej ścieżki, zostawiały w niej płytkie ślady. Rześkość poranna wnikała do krwi, oddychało się lekko i głęboko, jak zwykle w górach przy pięknej pogodzie.

Szesnastowieczny monaster wychynał nagle spośród drzew, cały w słońcu i tak maleńki, że słoneczniki sięgały niemal jego dachu. Na ukwieconym podwórku ledwo kilkanaście osób mogło się przechadzać jednocześnie.

Od bramki w drewnianym parkanie, który zamykał klasztorną posiadłość, biegła do cerkiewki dróżka między dwoma zagonkami różnobarwnych astrów, szaławii, lwich paszczy i rumianków. Z lewej strony cerkwi, na uboczu stała altanka opleciona lazurokwietnym powojem. Z prawej strony, bliżej bramki przycupnął biały domek pod prześlicznie łamanym, spadzistym dachem z ciemnych gontów. Karminowy łań drobnokwiatowych dalii dzielił go od dwóch pozostałych budyneczków, zrosniętych pod kątem prostym i zamykających dziedziniec za cerkwią. Olśniewająca biel ścian tworzyła tło dla czarnych, drewnianych ganków i purpurowych malw.

Z bocznego skrzydła klasztoru wyłoniła się smukła mniszka w czarnym habicie i przepełnęła wśród kwiatów aż do zasnutej powojem altanki.

Dwoma drewnianymi młotkami jąta wystukiwać na tarczy rytm wzywający wiernych na modlitwę. Uderzała zrazu wolno, statecznie, lecz po chwili, jakby jej cierpliwości zabrakło, stukać poczęła prędzej, łomotała gwałtownie, raz ciszej, raz głośniej, czarny rękaw habitu migał wśród lazurowych powoi, rytm był natarczywy, coraz bardziej skomplikowany, gniewny, aż nagle się załamał, przycichł, przeszedł w monotony stukot, w drewniany szept.

54

Wierni jednak nie kwapili się do cerkwi, Sylwia weszła sama do przedsionka, w którym pod oknem leżały wotywnie świecek różnej grubości, z wyraźnie napisaną ceną. Wybrała najgrubszą i położyła na tacy zmięty banknot. W tejże chwili spostrzegła, że brodaty mężczyzna w czerni, drzemający, jak się zdawało, w kącie pod ścianą, łypnął wielkim okiem i zaraz przymknął powiekę.

Sylwia zapaliła świecę woskową przed ikoną, na intencję, której nie śmiała ująć w słowa, powodowana nie wiarą, lecz potrzebą pięknego gestu, a może magii; stała przez pewien czas wśród kadzidlanej woni i skwierczenia świec, póki wzrok nie oswoił się ze złocistym mrokiem i nie zaczął błędzić po okopconych wizerunkach świętych i aniołów, namalowanych przed wiekami na sklepieniu i ścianach świątyni. Świeca Sylwii paliła się równo i powoli, co było dobrą wróżbą, lecz ona nie zwróciła na to uwagi. Wyszła z błogością w duszy, jakby prośba jej już została wysłuchana.

Opodal monasteru był prom przewożący na drugą stronę Oltu. Posuwał się na linie między brzegami, sprytnie wykorzystując siłę wody. Sylwia zeskoczyła lekko na brzeg i wspięła się na strome zbocze zdziwiona, że serce nie daje znać o sobie. Ruszyła w górę rzeki wśród pól, ogrodów i sadów. Zapach dojrzewających śliwek unosił się nad całą okolicą. Zbierano je teraz wszędzie; wielkie, wiklinowe kosze pełne śliwek stały pod każdym płotem. Robiono z nich powidła, suszono, lecz znakomitą większość przerabiano na wonną śliwownicę, taką właśnie jak ta, którą przedwczoraj podano w hotelowej restauracji.

Pomyślała przelotnie o profesorce, bez przykrości, ale i bez cienia sympatii, jak o kimś dawno poznanym i mało ważnym. Najważniejsze było teraz to, że szybki

55

1

marsz jej nie męczył, że wymachując ramionami szła rażno wśród wonnych sadów, że czuła się całkiem zdrowa i prawie młoda, spragniona szerokiej przestrzeni, stęskniona za tym krajobrazem, który odsłaniał swe powaby za każdym zakrętem.

Przystanąła w miejscu, gdzie pośród traw widać było zarys jakichś murów czy fundamentów. Napis na tabliczce głosił, że odkryto tutaj obóz wojskowy z czasów Trajana. Nieco dalej, nad samym brzegiem Oltu leżał ogromny głaz, przy którym, jeśli wierzyć legendzie, o-biadował Trajan w lecie 106 roku podczas wyprawy na Sarmizegetusę, stolicę Daków.

Jak wyglądał wówczas ten pięćdziesięcioletni wojownik, od ośmiu lat

cesarz rzymskiego imperium? Przybył tu na czele swych legionów, by pusty skarbiec wypełnić złotem „starożytnej Kalifornii”, które miało uzdrowić zrujnowane finanse Rzymu. Przeszedł Dunaj po moście wzniesionym przez Apollodora z Damaszku i podzielił wojsko na trzy części; każda inną doliną podążała w góry, gdzie Dakowie sposobili się do obrony. Sylwia widziała niegdyś w Rzymie płaskorzeźby obrazujące przebieg tej wojny, zaciekle walki wśród skał, pożary wzniecane przez najeźdźców, oblężenie Sarmizege-tusy. Zapewne Trajan odciął wodociągi doprowadzające wodę do twierdzy. To by tłumaczyło, dlaczego jej obrońcy, jak to przedstawione jest na płaskorzeźbie, dzielą się ostatkiem wody. Wkrótce zmuszono ich do kapitulacji. Wykopaliska dostarczają dowodów, że stolica Daków została dokładnie, z całym okrucieństwem zniszczona.

Było to jednak w miesiąc później. Trajan jedząc obiad nad Oltem musiał być utrudzony marszem, znużony wojną, która z przerwami toczyła się przez lat pięć. Może obmyślał triumfalny wjazd do Rzymu? Pocieszał się, że bogate łupy wynagrodzą trudy kampanii? Rzeczywiście-

56

cie, dzięki nim miało powstać w stolicy wspaniałe forum jego imienia, dzięki nim zorganizowano igrzyska na niebywałą dotąd skalę, igrzyska, które trwały 123 dni! Jeśli je uznać za żałobne dla Daków uroczystości, żadna z pokonanych prowincji nie ginęła w takim blasku pochodni!

„Często mit pociąga za sobą historię, stając się jej natchnieniem, często też historia obraca się przeciwko mitom jako siłom, które ją obezwładniają” — powtórzyła w myślach Sylwia. Mity stoją u kolebki wszystkich narodów, ale w tym kraju było kilka rodowodów do wyboru: rzymski, dacki, słowiański. W różnych okresach dziejów przypisywano jednemu z nich decydujące znaczenie, co pociągało za sobą wybór orientacji politycznej.

W końcu osiemnastego wieku Rumuni z Siedmiogrodu, lekceważeni przez węgierskich feudałów i niemiecki patrycjat miejski, zaczęli żarliwie afirmować swoje latiońskie pochodzenie, mogące im przywrócić należytą rangę wśród narodów Europy i zapewnić scalenie słabych księstw naddunajskich w państwo godne tradycji rzymskiego imperium. Samuel Micu napisał po łacinie gramatykę rumuńską, dowodząc na podstawie badań filologicznych, że kultura rzymska legła u podstaw rumuńszczyzny. Dwaj inni pisarze z Siedmiogrodu, Jerzy Sincai i Piotr Maior, również dowodzili związków Rumunów z kulturą Rzymian i przypominali o tradycjach rzymskich swym rodakom. Od tej pory tysiące Rumunów z

Siedmiogrodu chrzcilo swe dzieci imionami rzymskich imperatorów. Iluż kolegów Sylwii z bukareszteńskiego uniwersytetu miało na imię Trajan, Cezar lub Tyberiusz!

Ale te tradycje łacińskie i legendy o pochodzeniu od kolonistów rzymskich zostały zakwestionowane zarówno przez historyków wiedeńskich, jak i przez uczonych

57

radzieckich. Strzygowski twierdził, że stosunkowo niedawno, bo w drugiej połowie pierwszego tysiąclecia naszej ery, istniała równa szlakowi śródziemnomorskiemu szeroka linia komunikacyjna z Persji przez Armenię do Rosji południowej i krajów naddunajskich, skąd wiodła droga do wszystkich państw Europy. Droga ta od najbardziej zamierzchłych czasów odgrywała dla wielu krajów doniosłą rolę, a pod względem ilości rozgałęzień można ją było porównać ze szlakiem, którym podążały ludy Azji Środkowej, wędrujące przez Altaj.

Po wojnie zaczęto tedy badać wpływy słowiańskie oraz prądy kulturowe, które za pośrednictwem Bizancjum dotarły ze wschodu — z Armenii, Persji, Chin, Indii. Nietrudno zresztą wykazać w sztuce i kulturze rumuńskiej przewagę wpływów Orientu nad tradycją zachodnioeuropejską. Siady Grecji czy Rzymu nikłe są w porównaniu z piętnem Bizancjum, wyciśniętym na starej architekturze, malarstwie cerkiewnym, haftach klasztornych, ba! zachowanym nawet w bajkach i porzekadłach. A jednak wykopaliska potwierdzają obecność Rzymian na tych ziemiach, tylko że przez szereg lat nie prowadzono badań, pomijano milczeniem ten rozdział historii.

O rodowodzie dackim wiele zaczęto pisać ostatnimi czasy. Pojawiły się nie tylko opracowania naukowe, lecz i filmy sławiące dzielność ludu, z którego wywodzą się Rumuni. Odkrycia archeologiczne dostarczają coraz to nowych argumentów... Może więc pan profesor, przesypujący piasek na wzgórzach Orastie, nie marnuje czasu?

Każdy cywilizowany naród stara się o zachowanie ciągłości polityczno-kulturowej. To chyba Żylińska pisała, że istnieje pewna analogia między trwałością cywilizacji a strukturą architektoniczną: im wyższy gmach, tym głębsze fundamenty. Im wyższa cywilizacja,

58

lym silniejsza świadomość i potrzeba zakorzenienia się w przeszłości.

Świadomość istnienia tych korzeni daje człowiekowi wiarę w celowość i trwałość poczynąń.

Idąc wciąż w górę rzeki Sylwia znalazła się u podnóża stromej, trójkątnej

łąki, wciśniętej między dwa pasma lesistych wzgórz. Na szczycie trójkąta rozsiadł się klasztor, znacznie większy i zasobniejszy niż tamten na wyspie. Wiodła ku niemu ścieżka wydeptana stopami wiernych. Dziedzinec monasteru przypominał bardziej obejście gospodarskie niż miejsce modlitwy. Przy studni stara mniszka targowała się zawzięcie z chłopem trzymającym pod pachą czarne jagnię. Dwie roześmiane zakonnice przeszły z koszem śliwek do oficyny, skąd dolatywał smakowity zapach smażonych powideł. W drewnutni młody mężczyzna podśpiewywał przy rąbaniu drew. Nie śpieszył się, to pewne: ciosy siekiery rozlegały się rzadko, miarowo, a towarzyszący im trzask rozszczepianych polan przydawał im jakby wesołości. Kilka kur starało się pożywić z psiej miski, choć biały owczarek odstraszał je co chwila, kłapiąc od niechcienia zębami. Był spaśny i leniwy, nawet bez łańcucha nie ruszyłby się chyba od budy, przynajmniej teraz, w południowej porze, kiedy robiło się coraz goręcej.

We wnętrzu cerkwi Sylwia nie znalazła nic ciekawego, wspięła się więc na stok wzgórza, w którym, jak zapewniał napis skierowany do turystów, przetrwały cele pustelników z szesnastego wieku. Były to pieczary skalne, niałe, ciasne, z otworami w kształcie okien, z wąskim wejściem zasłanianym niegdyś deską. Ślady zawiasów widniały jeszcze w skale. Zachowały się również napisy wyryte greckim, alfabetem, kto wie — modlitwy czy zwierzenia — podyktowane samotnością, a może tylko personalia tych, którzy spędzili tu całe życie.

Młoda zakonnica dopędziła Sylwię i nie proszona

59

wskazała jej palenisko w kącie celi, kamienne łoże, żelazny krucyfiks, lampkę oliwną na ścianie.

— Mieszkali tu świątobliwi mnisi z klasztoru Cozia, którym tamtejsze życie wydawało się nie dość surowe — objaśniła słodkim głosem, ukrywając dłonie w rękawach habitu. — Później dopiero wzniesiono nasz mona-ster.

Sylwia próbowała wyobrazić sobie tych mnichów, zapewne brudnych i zarośniętych, żarliwie umartwiających ciało. Latem było tu jeszcze znośnie, ale zimą, kiedy śnieg zasypał drogi, a mróz skrzypiący sięgał dwudziestu stopni, jak mogli tu wytrzymać? Może jednak schodzili na dół, ido macierzystego imonasteru?

— Nie — zaprzeczyła mniszka. — Na dole przebywał często książę z dworem, ucztował, jeździł na polowania, może nawet postów nie przestrzegał. Jakże świątobliwi ojcowie mogli mieszkać z nim pod jednym

dachem?

Sylwia spojrzała na przewodniczkę z lekkim uśmiechem. Czyżby wierzyła w to, co jej kazano powtarzać turystom? Była krzepka, hoża, w czarnych oczach migotały złote błyski. Skwapliwie przyjęła ofiarę na rzecz klasztoru, skłoniła się z godnością i szybciotko zbiegła ku oficynie, w której smażono powidła. Dym z komina szedł prosto w górę, nasycając powietrze zapachem smolnej buczyny. Sylwia wolno zeszła w dół ku łące i usiadła na chwilę pod cienistym klonem, aby nacieszyć się widokiem doliny i zabudowań klasztornych, z których żadne nie zasługiwało na szczególną uwagę, lecz wszystkie razem tworzyły pełną wdzięku całość. Na łące pasły się krowy pod opieką wyrostka, który niby to wciąż czytając wytłuszczoną i pożółkłą książkę coraz bardziej zbliżał się do Sylwii. Przystanął wreszcie a kilkanaście kroków od niej, przyjrzał się jej bacznie, bez cienia żenady, i zagadnął:

— Pani tu sama? Monaster pani zwiedzała?

60

Potwierdziła skinieniem głowy, nie chcąc się z nim dawać w rozmowę, on jednak ciągnął dalej, bynajmniej nie zrażony jej milczeniem.

— Jeśli człowiek wejdzie do cerkwi choćby tylko po to, żeby się napatrzyć i napodziwiać, to już za sprawą "ucha Świętego staje się podatny na słowo boże. Dziwi

łę pani, że ja, pastuch, tak do pani przemawiam? Paluchem jestem z przypadku i do czasu, bo mam powołanie duchowne, i to od dziecka.

Może wymodliła mi je

atka, która zmarła przy moim urodzeniu. Wierzy pani siłę modlitwy?

— Nie bardzo.

— Niech pani posłucha, moje życie jest pouczające. Ojciec, wie pani, ożenił się powtórnie i z drugą żoną miał pięć dzieci, bardzo dla mnie przykrych i nieżyczliwych. O macosze wolę nie wspominać, żeby złą myślą nie zgrzeszyć. Ale Bóg wie, co czyni, kiedy zsyła na złowieka utrapienie, przeto ja od przyrodniego rodzeństwa uciekając, do popa naszego biegłem i pomagałem u w służbie bożej. Jak to mówi Creanga? Cerkiew wiat przed człowiekiem otwiera. Co niedziela buczałem na chórze i dostał mi się nieraz kawał placka. W widię Bożego Narodzenia i przed Świętym Janem Chrzcicielem biegaliśmy z chłopakami od chaty do chaty, śnieg deptując przed popem. Takeśmy wrzeszczeli „Kyrie leison!”, że aż wieś huczała. Kiedy pop nadchodził, tawaliśmy rzędem, on każdego z nas po głowie gładził i polecał względom

gospodarzy, żeby nas obdarowali sowicie. Ojcu to się nie podobało. Mówił, że w dzisiejszych czasach nie o służbie bożej trzeba myśleć, lecz szkole, i posłał mnie do (miasta, żebym się uczył na to-arza.

— Słusznie.

— O nie! Bo miasto, proszę pani, duże miasto jest sieliskiem szatana. Dbając więc o swą duszę nieśniertel-

61

na, której tam ciągle groziła zatura, myśląc jedynie

o zbawieniu wiecznym, a nie o doraźnych korzyściach, zacząłem się rozglądać za seminarium duchownym.

1 znalazłem je, proszę pani, znalazłem. Lecz i w nim zaprowadzono dzisiejsze porządki.

— To znaczy?

— Egzaminy. A ja powołanie duchowne mam wprawdzie od dziecka, lecz nauki niewiele, toteż na pytania ojców odpowiedzieć nie mogłem, choć w śpiewach cerkiewnych mało kto potrafi mi dorównać. Cały Oktoihos umiem na pamięć, nie mówiąc już o innych... Bóg jednak miał mnie w swojej pieczy, bo gdy po oblaniu egzaminów siadłem sobie na trawie przed seminarium, nie wiedząc, gdzie skierować kroki, podszedł do mnie ojciec Hieronim, zapytał, co myślę robić dalej, i wysłał mnie tutaj, do monasteru, żebym pracując nadrobił braki w wykształceniu, a po roku znowu przyjechał na egzamin. Za tydzień stąd wyjadę.

Wsparty oburącz na wysokim kiju, stał o (kilka kroków od Sylwii, ale mówił bardziej do siebie niż do niej, potok słów płynął nieprzerwanie z jego ust ocienionych ledwo sypiącym się wąsem.

— Nie podoba mi się ten monaster. Widziała pani, że siostry handlują miodem i konfiturami? Mówią, że to konieczne, że muszą zarobić na utrzymanie. To nieprawda! Powinny pościć, umartwiać się jak dawni pustelnicy. Ale gdzie tam one myślą o umartwianiu! Tfu, obraza boska! Pani pojęcia nie ma, go wyprawiają z popem, tak, tak, sam kiedyś niechcący spostrzegłem. Panie Boże, odpuść i zmiłuj się nade mną grzesznym! Bo powiada Ewangelia, że lepiej wzrok postradać niż takie sprośności oglądać. Ale za tydzień stąd wyjadę. Widzi pani, katechizmu się uczę. Popem chcę zostać, w monasterze, daleko od miasta, najlepiej gdzieś w wysokich górach. Bo w mieście grzech tylko i obraza boska. Na

62

przykład kino. Raz jeden byłem w kinie i trzy razy się z tego spowiadałem. Najpierw dlatego, że poszedłem za namową szatana, bo kino szatańskim jest pomysłem, sprośności podsuwa pod oczy, o większych jeszcze

bezceństwach każe myśleć. Drugi raz musiałem się spowiadać, bo mnie dręczyły myśli nieprzystojne, pokusy, które sam Lucyper podsuwa. Trzecim zaś razem spowiadałem się... E, co tam będę pani mówił! Kina trzeba się wystrzegać. W mieście też piją ponad miarę. Bo wino, samo w sobie, boska rzecz, Chrystus Pan wodę w wino przemienił w Kanie Galilejskiej. I tak ludziom powiedział: chrześcijanie mili, pijcie rano szklaneczkę — na zdrowie, w południe drugą, żeby wam raźniej szła robota, i przed snem trzecią, żebyście smacznie spali. A pijcie zawsze w towarzystwie, bo gdy zabraknie przy winie zacnego przyjaciela, diabeł przysiadł się do stołu. Pani już idzie? Szkoda. Niech pani Bóg pobłogosławi i Matka Przenajświętsza, Cudotwórczym.

Wydał jej się szczerzy w tym zapamiętaniu, podobny do pustelników, którzy tu niegdyś mieszkali w pieczarach, lecz tak dziwaczny na tle współczesności, że budził grozę w kimś, kto jak Sylwia służył postępowi wiedzy i wybiegał myślą w przyszłość. Przypominał jej kobiety, które na krótko przed wyjazdem do Bukaresztu odwiedziły ją w domu i czytały głośno wersety z Ewangelii na dowód, że jedynie świadkowie Jehowy są w posiadaniu prawdy. Jedna z kobiet wyglądała na urzędniczkę, miała zapewne średnie wykształcenie, druga natomiast z pewnością pracowała fizycznie, ręce jej były zniszczone, czytała z niejakim wysiłkiem, bardzo się starając, by wywołać odpowiednie wrażenie. Sylwia mimo nawału pracy poświęciła przeszło pół godziny niespodziewanym gościom, trochę przez ciekawość, a trochę dlatego, że wzruszała ją dobra wola i głęboką wiarą tych kobiet, niosących Ewangelię do obcych domów, w których rzadko mogły liczyć na życzliwe przyjęcie. Zastanawiała się wówczas, czy potrafiłaby sama zdobyć się na takie apostołstwo, gdyby — co zresztą wydawało się jej niemożliwe — poszła za głosem jakiegokolwiek religii. Nie, nigdy! Trzeba wielkiej pewności siebie, albo też ograniczenia, żeby agitować bliźnich dla spraw tak wątpliwych.

Doszła znów do rzeki. Po drugiej stronie wznosił się sławny klasztor Cozia, ukończony w końcu czternastego wieku przez hospodara Wołoszczyzny Mircze Starego, jeden z najdawniejszych zabytków architektury rumuńskiej, jaki dochował się w całości.

Budowano go w czasach, gdy cesarstwo bizantyńskie waliło się pod naporem Turków, którzy podbili Serbię, zmiotli po drodze małe państewka bułgarskie i umocnili się na prawym brzegu Dunaju, przecinając więzy łączące Mołdawię z Półwyspem Bałkańskim. W obliczu niebezpieczeństwa Mircza Stary szukał sprzymierzeńców na Węgrzech, złożył hołd Władysławowi Jagielle, zapewnił przywileje kupcom

lwowskim i węgierskim. Za rządów Mirczy Wołoszczyzna okrzepła mimo licznych wojen prowadzonych przez niego ze zmiennym szczęściem. Handel koncentrował się właśnie w tej okolicy, w Ardżesz, Tyrgowiszte, Rimnicul Vilcea.

Pierwsze zwycięskie starcie z Turkami nastąpiło pod Roviną w 1394 roku. Turcy jednak sprowadzili posiłki i na skutek zdrady bojarów wołoskich zajęli całą krainę, a na tronie osadzili Władysława Uzurpatora. Mirza Stary schronił się na Węgrzech, zawarł traktat z Zygmuntem Luksemburczykiem i przy jego pomocy odepchnął Turków aż za Dunaj. W rok później Luksemburczyk podjął krucjatę przeciw Turkom, w której brało udział rycerstwo z całej Europy. Mirza przyłączył się do stutysięcznej armii na czele hufca Wołochów, lecz nie wróżył jej zwycięstwa, gdyż wodzowie byli z sobą skłó-

64

j

ceni, a żołnierze bardziej myśleli o grabieży niż o walce z wrogiem. Do decydującej rozprawy z Turkami doszło w roku 1396 pod Nikopolis w Bułgarii, gdzie rycerze europejscy zmierzyli się z doborowym wojskiem tureckim pod wodzą sułtana Bajazyta I.

Historycy rumuńscy twierdzą, że Mirza Stary znając taktykę bojową Turków chciał pierwszy rozpocząć bitwę, lecz sprzeciwił się temu dumny książę burgundzki, który sam pragnął okryć się chwałą. Turcy przepuścili w głąb swoich szeregów szarżę burgundzkich rycerzy, po czym okrążyli ich i wycięli w pień. Paniki, jaka ogarnęła wówczas obóz chrześcijański, Zygmunt Luksemburczyk nie zdołał już opanować, a Mirza Stary, który nie brał udziału w bitwie, powrócił na czele swego hufca do kraju, skąd odpierać musiał zapuszczające się za Dunaj wyprawy tureckie.

W kilka lat później klęska Bajazyta w walce z chanem mongolskim Timurem Chromym zmniejszyła napór Turków na Wołoszczyznę, a nawet umożliwiła Mirczy interwencję w wewnętrzne sprawy tureckie, zwłaszcza zaś w zbrojny spór o sukcesję po zmarłym w niewoli mongolskiej sułtanie. Jednakże szczęście opuściło Mirczę, gdyż popierany przez niego syn Bajazyta Muza został wygnany przez brata swego Mahometa, który zaczął mścić się na przeciwnikach. Mirza Stary musiał uznać zwierzchność sułtana i płacić mu haracz.

Aż dziw bierze, iż w takich warunkach gospodar wołoski troszczył się o budowę cerkwi i monasterów, sprowadzał architektów, osiedlał zakonników, dbał o przepisywanie ksiąg cerkiewnych i sporządzanie zdobnych szat liturgicznych. Po śmierci pogrzebano go tutaj, w Cozii, i

zachowano we wdzięcznej pamięci jako dobrego gospodarza. Nawet przewoźnik, który łodzią przeprowadzał ludzi na drugi brzeg Oltu, pamiętał imię hospodara i u-

S — Trwaj, chwilo!

65

pominał Sylwię, by zapaliła świecę w cerkwi za spokój jego duszy. Monaster Cozia wznosił się nad wodą wprost ze stromej skały i sprawiał wrażenie twierdzy. Z drugiej jednak strony, od dziedzińca otwartego ku szosie wyglądał na wielkopańską rezydencję. Pięknie odrestaurowane kolumny i kamienne rozety jaśniały w słońcu.

Kręciło się tutaj mnóstwo ludzi, a handlarze pamiątek gęsto porozstawiali swoje kramy. Chmury kurzu, jazgot autokarów, chrapliwe porykiwanie magnetofonów wydawały się nader dokuczliwe w miejscu, które miało służyć modlitwie i skupieniu. Do przejrzystej wody pod fontanną zwiedzający — jak wszędzie na świecie — wrzucali monety, aby zapewnić sobie powrót. Powrót do czego? Do tej cerkwi? Do wspomnień? Do nastrojów równie zwiewnych jak babie lato snujące się <na liściach rozłożystego orzecha?

Sylwia wstąpiła do świątyni, gdzie przez chwilę cieszyła się samotnością. Drżące płomyki świec pełgały po złoceniach rzeźbionych ornamentów i bizantyńskich ikonach. Uwagę Sylwii przykuł niepozorny grobowiec przeoryszy Teofany, która w murach monasteru pokutowała, być może, za grzechy swej młodości, kiedy to jako przystojna wdowa prowadziła oberżę w miasteczku sławnym z jarmarków wełny. Przeżyła syna; wnuki na płycie nagrobnej upamiętniły ją tylko jako matkę Michała Walecznego. Kto był jego ojcem — nie wiadomo. Ci z historyków rumuńskich, którzy chcieli Michała wnieść na piedestał, twierdzili, że był wielkim bojarem, synem hospodara Patrascu. Natomiast jedna ze współczesnych Michałowi kronik podaje, iż matka jego przyjęła raz w gościnę pewnego kupca, majątnego przybysza z Porty Ottomańskiej, ten zaś dłużej u niej popasał. Jak było naprawdę, nigdy się chyba nie dowiemy. Ważne jest tylko

66

to, że Michał Waleczny, choć żył zaledwie czterdzieści trzy lata i panował krótko — zdobył sławę nieśmiertelną. Stał się bohaterem prawosławia, zagrożonego zarówno przez Turków, jak i Ligę Antyturecką, był nadzieją wolności na Półwyspie Bałkańskim, spadkobiercą greckich tradycji Bizancjum. Bułgarzy, Serbowie i Grecy opiewali jego czyny orężne, układali o nim poematy. Musiały one cieszyć się powodzeniem, skoro w ciągu dwustu lat po jego śmierci z rąk austriackich zbirów — aż

dziesięciokrotnie wznawiano w Wenecji opowieść Stavrinusa o dziejach walecznego hospodara.

Natura dała Michałowi wygląd imponujący. Z portretu, namalowanego w 1601 roku przez wiedeńczyka Sadelera, spogląda surowo człowiek o wielkich, mądrych oczach, krzaczastych brwiach, wydatnym nosie, czarnej brodzie i zaciśniętych wargach. Człowiek poważny i zawzięty, który tna krótki czas wyłonił się z pomroki dziejów i zginął tragicznie w pełni męskich lat.

Nie zachował się żaden wizerunek jego matki. Sylwia wszakże wyobraziła ją sobie w habicie mniszki, zasłaniającą dłońmi twarz na wiadomość o śmierci syna. Dłonie pewno miała drobne, palce długie, cienkie, jak Madonny w tutejszej cerkwi. Między palcami ciekły ciche łzy.

Dopiero przed wieczorem Sylwia wróciła do Calima-neszti. Słońce jeszcze nie zaszło, lecz w dolinie zmierzch już zapadał i orkiestra z trudem odczytywała nuty w drewnianej altanie koncertowej. Była to orkiestra dęta — wojskowa lub strażacka; w jej wykonaniu pot-pourri z Wesołej wdówki brzmiało nader zabawnie, chociaż muzykanci grali ze śmiertelną powagą i wyteżeniem, tak uciesznie wydrwionym przez zespół Hagaw na Jazz Jamboree w Warszawie. Ale tam słuchacze zanosili się od śmiechu, tu natomiast przyjmowano koncert najpoważniej w świecie, snuto wspomnienia, Wzni-

eć

67

szano się niemal do łez. Kuracjusze ma ławeczkach w parku kiwali do taktu głowami, siwy pan postukiwał laseczką o kościanej rączce, zasuszona starowinka nuciała cichutko do wtóru, otyłe damy słuchały z nabożeństwem, nawet młode dziewczęta zamilkły, aby nie mącić nastroju. Rewolucja rewolucją, przemiany przemianami, lecz dla wielu tutejszych bywalców wiek dziewiętnasty jeszcze się nie skończył, podobnie jak dla wielbicieli Szczawnicy, Buska, Iwonicza. W tych małych uzdrowiskach, na tle secesyjnej, drewnianej architektury, pośród kwiatowych klombów z nieodzowną agawą w centrum kompozycji, isnują się ludzie niegdysiejsi popijając zbawcze wody. Ludzie starzy, o bladych twarzach, z których już nie promieniuje — zda się — podczerwone ciepło, ludzie o zwiędłych powiekach i smutnych, gasnących oczach. W parkach zdrojowych gromadzą się ci wszyscy, którzy przyjechali pić wody, kąpać reumatyzmy, płukać nerki i oczyszczać wątrobę, przede wszystkim zaś ■ — szukać lekarstwa ma starość.

Jakże się ludzą, myślała Sylwia, że dzięki tym kąpielom i okładom

odzyskają młodzieńczą sprawność, odkupią nocne pijaństwa i świąteczne obżarstwa, lata nadmiernej pracy, lata bez urlopu, że usuną ze swego organizmu nadmiar zgromadzonych soli, złoża artretyczne, tłuszcz osiadły w tkankach. Opowiadają jedni drugim przebieg swoich chorób, zwierają się z niepowodzeń, chlubią sukcesami, zawierają krótkotrwale przyjaźnie, wplątują się w romanse bez przyszłości, chudną lub tyją wedle wskazań lekarza; karteczki wyskakujące z automatycznej wagi wprawiają ich w dobry humor, świadczą o regeneracji organizmu, poddawanego tyłu czasochłonnym zabiegom. Nareszcie dość jest czasu, by pomyśleć o sobie, roztkliwić się nad zniekształconym stawem i usłyszeć słowa pocieszenia od kogoś, kto podobnie cierpi. Kobiety, które całymi latami troszczą się

68
o innych, zrywają się pierwsze z rana, by podać śniadanie dzieciom i mężowi, a później same już nie mają czasu na jedzenie, biegną bowiem do fabryki, do biura, z myślą, by jak najprędzej skończyć pracę, wpaść jeszcze do sklepu, a później z zakupami do domu, do kuchni, ido garnków, do prania, bo bielizna już moczy się w wannie —■ te kobiety siedzą sobie tutaj na ławce pod wiązem i popijają wodę przez rurkę, wiedząc, iż w sanatorium wszystko im zostanie podane — przez te trzy tygodnie, tak niepodobne do normalnego życia, że wydają się jak z bajki, jak z operetki. Tra la la, tra la la! Kiwają głowami w takt walca, po czym wolno wędrują do źródła, tak samo jak wędrowały przed stu laty damy w sukniach z trenem. Wiara w cudowność źródeł stara jest jak ludzkość.

Mrok wypełzał spod drzew, zagarniał coraz większy obszar zdrojowego parku. Muzyka wydawała się coraz mniej rzeczywista, nie przynależna do określonej epoki, lecz tylko do ludzkich wspomnień. Mężczyzna idący w stronę Sylwii był jakby Pawłem, tym samym Pawłem, który kochał się w jej koleżance licealnej, a później walczył w partyzantce ma Zamojszczyźnie, zimą niemal przymarzał ido ziemi, wiosną brnął po kolana przez mokradła. Może dlatego, a może z całkiem innej przyczyny nabawił się choroby nerek. Sylwia ledwo go poznała w szpitalu, tuż przed Wielkanocą. Błady, opuchnięty, z trudem się uśmiechał, zbyt jasno zdając sobie sprawę ze swego stanu. Właśnie miały się spełnić jego plany życiowe, ale wątpił o ich realizacji, bo każdy wynik badań odbierał mu nadzieję. W miesiąc później już nie żył, a choć Sylwia rzadko się z mim widywała ostatnimi laty, przecież ta śmierć zubożyła jej życie, uszczknęła coś z niego na zawsze. I oto teraz widziała go przed sobą, tak samo jak podczas ostatnich odwiedzin w szpitalu, kiedy mu przyrzekła, że przyjdzie za tydzień, a jednak

stchórzyła, inie przyszła. Spotykała go tutaj bez lęku i bez radości, wiedząc, że umarł, lecz pewna, że ma go znów przed oczyma, bo w tym parku zdrojowym o zmierzchu nie dziwiła jej ta obecność. Zeszłego roku w Ma-rienbadzie... Nie podobał się jej kiedyś ten film, zbyt dziwaczny i wydumany. Teraz jednak obrazy z różnych okresów jej własnego życia nakładały się na siebie, gesty były wieloznaczne, słowa wprowadzały w błąd, rozmaicie można je było rozumieć, właśnie jak w tamtym filmie. Myśląc o nim szła dróżką aż do bramy, za którą — po drugiej stronie ulicy — stał rześcicie oświetlony dom ministerstwa. Zatrzymała się na chwilę pod drzewem, jeszcze ipogrążona w innym czasie, w innym nastroju, jakby to przejście jezdnii było nie lada wysiłkiem, i choć chciała znaleźć się w pokoju, gdzie nic nie daje pożywki wyobraźni, przestraszyła się samotności w jego czterech ścianach. Zapra gnęła z całego serca, by znalazł się tam ktoś jej bliski, Asia, Klara, ktokolwiek! Cały chłód podgórskiego zmierzchu przeniknął jej znużone ciało. Kuląc się w sobie, przebiegła jezdnię i wchodząc do hallu pomyślała, że ten długi dzień, w takim uniesieniu rozpoczęty, skończył się smutno jak inne.

Dzień czwarty

Zbudziła się bardzo wcześnie mimo ciszy panującej w u-śpionym domu. Co dziwniejsze, wyrwał ją ze snu horror vacui, strach przed pustką dnia nie wypełnionego pracą. Leżąc w pościeli pachnącej nadrzecznym wiatrem —• prześcieradła suszono tutaj na dworze — układała plan zajęć, aby nie zmarnować ani chwili, choć wiedziała, że ta potrzeba działania wynika jedynie z nawyku, z lęku przed starością, że w ostatecznym rozrachunku wszystko to nie ma znaczenia.

Gimnastyka, zimny natrysk, zabiegi kosmetyczne zajęły jej mniej niż godzinę i wciąż jeszcze nie nadeszła pora śniadania. Sylwia zrezygnowała więc z niego i pustym o tej porze autobusem pojechała w górę rzeki, aby udać się pieszo w boczną dolinę. Aż trudno było uwierzyć, że tak blisko od turystycznych atrakcji znaleźć można tyle ciszy i uroków pierwotnej przyrody. Strome zbocza porastał stary las bukowy, przemieszany ze świerkami i jodłami, nie tknięty chyba nigdy siekierą, pełen powalonych pni, które imurszały, dając pożywienie młodym drzewom. Bystry potok huczał w dolinie pełnej rumowisk skalnych. Im wyżej, tym bardziej góry zbliżały się do siebie, napierały na drogę i strumień, zda-

71

wały się przesłaniać niebo. Ze skalistych ścian urywały się (kamienie i

toczyły z łoskotem do potoku.

Sylwia uświadomiła sobie, że gdzieś wysoko musiał być kamieniołom, chociaż żaden ostrzegawczy napis nie uprzedzał o tym przechodniów. Poczowała się zagrożona, strach ją ogarnął, zawróciła jak niepyszna, lecz głązy spadały ciągle, raz przed nią, raz za nią, póki nie dobiegła zdyszana do szosy. Ale i tu jeszcze nie mogła ochłonąć z trwogi; przypomniał jej się pierwszy nalot na Bukareszt w kwietniu 1944 roku.

Tego dnia odprowadziła właśnie swą przyjaciółkę do szpitala położniczego i czekała w ogrodzie przed izbą przyjęć na załatwienie ostatnich formalności. Ciepłe kwietniowe południe zalewało Bukareszt jaskrawym blaskiem. Oglądane z ogrodu szyby wydawały się równie błękitne jak niebo. Na balkonie pierwszego piętra stały kobiety oczekujące rozwiązania. Obracały twarze ku słońcu i rozmawiały z przymkniętymi oczyma. Poprzez oszklenie najwyższego tarasu widać było niebiesko ubrane pielęgniarki, krążące wśród białych niemowlęcych kokonów. Pies dozorca przybiegł do Sylwii, oparł łapy na jej kolanach. Warczał groźnie, lecz chwycił ją lekko za rękę, żeby nie wyrządzić krzywdy. Miał wielką ochotę na zabawę.

Odezwały się syreny. Terier nastroszył czujnie uszy. Lekki wiatr otrząsnął wiśnię z kwiatów. Syrena ucichła i po chwili znów zawyła głośno, rozpaczliwie. Pies zaskomlał. Sylwia gładziła go po karku. To nic, piesku. Zaraz będzie obiad. Widzisz, już niosą zupę.

Dwie salowe niosły z kuchni kocioł, z którego parowała smakowita woń włoszczyzny. Był ciężki, toteż przystanąły przed progiem, żeby odpocząć. — Znowu te ćwiczenia przeciwlotnicze — powiedzia-

72

ła starsza. — Tramwaje staną na dwie godziny i nie będzie czym wrócić do dornu.

Sylwia wyminęła kocioł z zupą i weszła do hallu, który wydał się jej ciemny. Po błękitnym linoleum pielęgniarki sunęły bezszelestnie. Przed drzwiami windy stała jej przyjaciółka dręczona pierwszymi bólami.

Sylwia weszła z nią do kabiny. Odległy grzmot wstrząsnął gmachem.

: — Pierwsza burza w tym roku — stwierdziła win-dziarka. — Podczas burzy poród jest łatwiejszy.

Na twarz ciężarnej wystąpiły krople potu. Jęczała, coraz wyłącznie] zajęta sobą. Sylwia odprowadziła ją do drzwi, za którymi mieścił się oddział położniczy.

Silniejszy niż poprzednio grzmot rozkołysał ściany.

— Co, u licha? — spytała Sylwia wracając do windy. — Czyżby nalot?
— Jaki tam nalot! Ćwiczenia jak zwykle. Amerykanie by z Włoch nie dolecieli.

Szyby zaczęły dzwonić. Najpierw lekko, jakby wóz przejeżdżał ulicą, potem silniej, coraz silniej, złowieszczo. Ściany wibrowały także, jak podczas trzęsienia ziemi. Winda nie ruszyła z miejsca.

— Trzeba znieść pacjentki do suterren — powiedziała lekarka. — Dalej, weźcie nosze!

Naraz tysiąc wybuchów wstrząsnęło Bukaresztem. Pryśły szyby, posypał się gruz. Z twarzą przy podłodze Sylwia nie spodziewała się już, że będzie żyć. Oknem waliły kłęby pyłu.

Wstała jednak razem z jakąś pielęgniarką, podbiegła do okna. Na miejscu warsztatów kolejowych dymiły rumowiska.

— Nie można tu zostawić chorych — mówiła lekarka. — Niech pani pomoże znosić je do schronu.

— Pali się na górze! — krzyknęła siostra przełożona, zbiegając do podziemi z niemowlętami w ramionach.

73

Sylwia skoczyła ku schodom. Dym gęstniał za każdym stopniem. Minęła dwie pielęgniarki dźwigające na dół kosz od bielizny załadowany niemowlętami. Szpital zadygotał od nowej serii wybuchów. Ze szklanych ścian dziecięcego tarasu pozostało tylko stalowe żebrowanie. W środku podłogi opalizowała gorejąca kałuża. Pielęgniarka zasypywała ją workami piasku.

Niezmiernie wysoko przelatowała śmiertcionośna eskadra. Trudno ją było dostrzec na srebrnobłękitnym niebie, ale warkot motorów wprawiał w drżenie całe miasto. Poczucie bezsilności unieruchomiło Sylwię. Patrzyła bezmyślnie, jak pielęgniarka wciąż zasypuje piaskiem ogień, który coraz głębiej drażył podłogę. Z niższego piętra doleciał nieludzki krzyk. Z leja buchającego płomieniami wytrysnął słup dymu, a potem tylko wątle jego pasma snuły się na podłodze tarasu.

Pielęgniarki wróciły z koszem po ostatnie noworodki, które leżały w łóżeczkach osłonięte tylko pieluszkami. Sylwia wzięła ma ręce dwoje niemowląt i zbiegła z nimi do suterren.

Wszystkie korytarze zapchane były ludźmi. Ciężarne zbiły się w gromadkę pod filarem. Modliły się półgłosem, cichły, gdy nadchodziła nowa eskadra samolotów, które, jak się zdawało, skrzydłami dotykały dachu.

Wybuch szarpnął drzwiami od podwórza. Błysnęło światło dzienne, jak zwiastun śmierci. Następna eksplozja zakołysała gmachem aż do

fundamentów. Któraś z kobiet zemdląła. Zgasła jedyna lampka. Teraz nadejdzie śmierć, pomyślała Sylwia. Nie mogła jej sobie wyobrazić, ale bała się panicznie. Cisza trwała nadal, groźniejsza niż wybuchy. Sylwii wydało się, że ogłuchła. Nie mogąc znieść tej myśli zawołała:

—■ Zapalcie chociaż świecę!

Usłyszała swój głos jak przez watę, lecz odpowiedzi nie było.

74

— Zapalcie świecę! —krzyknęła przerażona.

Ktoś stojący blisko odpowiedział całkiem zwyczajnie:

— Czemu pani tak krzyczy? Nie mamy przecież świecy-

Nadchodził nowy nalot. Sylwia go przeczuła, nim jeszcze do jej uszu dotarło bzyczenie silników, wiedziała, że będzie ze wszystkich najstraszliwszy. Brzęczenie zbliżało się, przechodziło w warkot, w dudnienie. Powietrze w korytarzu gęstniało, nie mogła go płucom nastarezyć. W ciemności, poprzez czyjeś nogi i plecy, goniona wyrzekaniami, ruszyła w kierunku drzwi. Za wszelką cenę chciała się znaleźć na dworze.

Wybuchła bomba, potem druga. Dygotały grube, żelbetowe filary. Z łoskotem runęła pobliska ściana. Sylwia wstrzymała dech. Ale nic więcej się nie zdarzyło. Pchnęła drzwi, wyszła do ogrodu.

Żadnego dźwięku. Niebo zbrukane dymem. Drzewa poszarzałe. Na drózkach i trawniku gałęzie jakby siekierą odcięte. Jesion wydarty z korzeniami. Wokół domy rozwalone, leje głębokie, a w nich woda. Gruz i pył. Widać było szeregi dziwnie powyginanych łóżek, szafy bez drzwi, stoły operacyjne, zepchnięte podmuchem w głąb sali.

Wymarłą ulicą nadjechała ciężarówka. Stała przed szpitalem. Kierowca podbiegł do Sylwii.

— Niech pani nam pomoże!

To nie byli ludzie —ci ranni — ale szare bryły, splamione czarnymi strugami krwi. Znoszono ich do sal, kładziono byle gdzie.

— W schronie ziemnym zasypało chyba z tysiąc ludzi — informował ktoś z warsztatów kolejowych. — Ci z brzegu jeszcze żyją, w środku schronu nikt nie ocalał.

Sylwia patrzyła ze zgrozą na człowieka rannego w brzuch. Trzeba by go natychmiast operować, a tu ani

75

wody, ani prądu. Rozejrzała się szukając kierowcy, który by przewiózł rannego do innego szpitala, lecz nie sposób było go znaleźć w tłumie ludzi. Wnoszono już następnych, a tych, którzy pomarli nie doczekawszy

się jodyny i bandaża, ściągano z łóżek i układano na korytarzu. Pielęgniarki i lekarze w kilku salach opatrywali rannych. Jacyś ludzie skapo rozdzielali wodę. Nadbiegły przerażone kobiety, szukając swoich bliskich wśród rannych i trupów.

Sylwia pomagała pielęgniarkom, przecinała poszarpaną odzież na krwawiących ciałach, bandażowała nogi, ręce, głowy, Wciąż oczekując nowego nalotu. Nie nadchodził. Nie wiedząc, czy alarm odwołano i skąd pochodzą dalekie wybuchy, drżała za każdym razem, gdy zbliżał się samochód ciężarowy. Przybył lekarz naczelny, opowiedział o spustoszeniach w śródmieściu. Tramwaje nie chodziły, musiał długo przedzierać się przez gruzy.

Sylwia upadała ze zmęczenia. Nikt jej nie zatrzymywał, mogła iść do domu. Przyjaciółka, którą tu przywiozła, leżała wśród trupów na korytarzu.

Zmierzchało, gdy wyszła na dwór. Chłodny wiatr przeniknął ją na wskroś. Ulice wokół szpitala zmieniły się w jedno rumowisko. Z robotniczych parterowych domków pozostały zwały gruzów. Gdzieś ocalała ściana, niebieska lub różowa, malowana w naiwny deseń. Zerwane przewody elektryczne opadły na dno jamy po bombie, może tej samej, która rzuciła na jezdnię nogę kobiecą w brązowym buciku.

Sylwii zrobiło się słabo. To z głodu, pomyślała. Nie jadła nic od poprzedniego wieczora. Pragnęła ujrzeć wreszcie żywego człowieka. Nie spotkała jednak nikogo. Mrok gęstniał. Spod zapachu spalenizny dobywała się woń fiołków i narcyzów, których tu rosło mnóstwo w starannie pielęgnowanych ogródkach. Co się stało

76

z ludźmi? Co stanie się z nią samą, jeśli nastąpi nowy nalot? Nigdzie schronu! Zresztą cóż po nim? Zaledwie przed godziną widziała rannych, kikuty oderwanych kończyn z obrzydliwymi strzępami nerwów i żył. Przypomniała sobie kobietę, która z wysiłkiem odwracała trupy, żeby każdemu zajrzeć w twarz.

Tam gdzie mniej było gruzu na jezdni, Sylwia szła szybciej. Raził ją stuk własnych kroków. Wydało się jej, że ktoś biegnie za nią i prosi o pomoc. Chciała się zatrzymać, lecz nie miała na to odwagi. Przystanęła dopiero, gdy wielki zwal cegieł zastąpił jej drogę. Nasłuchiwała chwilę w zupełnej ciszy. Czepiając się rękoma odłamków imuru, przeszła na drugą stronę barykady. Pomyślała, że może potrzebujący pomocy człowiek kona gdzieś tutaj w opuszczeniu, że powinna go odszukać albo przynajmniej zawołać. Na pewno są jeszcze ranni pod gruzami. Tak, należało zawołać. Ale gdy

wyobraziła sobie, że głos jej odezwie się na tym pustkowiu, zwilgotniały jej dłonie. Oddychała szybko. Nie mogła się przemóc.

Z poczuciem winy ruszyła do śródmieścia. Potknęła się o kamień, upadła. Dotknęła czegoś mokrego i obrzydzenie skrzywiło jej usta. W ciemności nie mogła rozpoznać, co to było: pomyje z rynsztoka, krew czy po prostu woda. Nagle dosłyszała warkot samolotu. Sądziła, że największe niebezpieczeństwo czyha na nią tutaj, w pobliżu dworca. Tam, w śródmieściu, pod ośmiopię-trowym blokiem z żelazobetonu można się śmierci nie lękać. Daleki wybuch wzmógł jej przerażenie. Szła coraz prędzej. Byle dalej, byle dalej od tego przekłętogo miejsca.

Zacząła biec. Ciężył jej płaszcz, paliły grube buty. Nie stawało tchu. Biegła ostatkiem sił, a jej wydłużony cień potykał się na ruinach jak kaleka.

Nigdy przedtem nie doznała takiego strachu; wpraw-

77

dzie przeżyła w Puławach ciężki nalot niemiecki we wrześniu 39 roku, ale nie bała się wcale, najspokojniej czytała powieść i nie onogła zrozumieć, dlaczego osoby siedzące z nią w rowie miały jej za złe tę obojętność na niebezpieczeństwo, wynikającą po prostu z niewiedzy i niedoświadczenia. Ta .Zuchwałość młodości prysła dopiero podczas kwietniowego nalotu w Bukareszcie. Chociaż starała się o nim zapomnieć, długo trwał w jej podświadomości, pojawiał się nieraz w snach i paraliżował rozmaite poczynania, nic wspólnego, zdawałoby się, nie mające z wojną. W tej skalistej dolinie wspomnienie nałożyło się na rzeczywistość i zwielokrotniony strach ogarnął Sylwię z taką siłą, że nie mogła się uspokoić, tym bardziej iż towarzyszyło mu poczucie jakby nie spełnionego obowiązku, poniechania czegoś, co powinna była niegdyś uczynić.

Daremnie powtarzała sobie, że i tamtej nocy po nalocie, i dzisiaj nikt nie żądał od niej pomocy, że niczego nie można było jej zarzucić; dręczył ją niesmak i wstyd, czuła w ustach gorycz, pragnęła zaszyć się gdzieś w mysią dziurę i spać tak długo, aż znów o wszystkim zapomni.

Wróciła do Calimanaszti w porze obiadowej, wstąpiła do restauracji. Na otwartym tarasie kilku chłopów popijało piwo. Siadła przy stoliku nakrytym dziurawą serwetą i poprosiła kelnera o kartę. Podał jej nieczytelnie zadrukowaną bibułę, stwierdzając, że i tak nic nie ma prócz żurku i gulaszu. Zamówiła więc żurek i gulasz.

Czekając na obiad poczuła anowu niesprecyzowany lęk, dotkliwą niepewność i nieśmiałość wobec gburowa-tego kelnera i podchmielonych mężczyzn. Uczucie to często ją nawiedzało. Od. dziecka nie lubiła

zawierania znajomości, miała opory przed zatelefonowaniem choćby do informacji kolejowej lub zapytaniem przechodnia o drogę. Nie znosiła podróży, ponieważ nigdy nie miała

78

pewności, czy pociąg odjedzie o ustalonej porze i z tego dworca, który wymieniono na bilecie, czy nie zawiedzie jej zamówiony wcześniej samochód, czy nie spotka jakaś przykrość na granicy. Te nie uzasadnione lęki, bezpodstawne obawy, będące wynikiem dawno już przebytych doświadczeń i nieaktualne w obecnych warunkach, zawstydzaly ją samą. Nie przyznałaby się nikomu, że witając na zjeździe zagranicznych gości boi się przekręcić ich nazwiska, choć ma je przed sobą wypisane na kartce, więc pomija je poprzestając na ogólnikowych frazesach, skierowanych do „naszych drogich kolegów z zagranicy”, bez wymieniania ich tytułów naukowych, co bywa poczytywane za niezręczność lub lekceważenie dobrych obyczajów kongresowych. Lęk i niepewność towarzyszyły jej stale zarówno wobec znajomych jak i obcych, uwalniała się od nich jedynie w zupełnej samotności, choć i wtedy nawiedzały ją czasem takie sny, że budziła się w środku nocy z łomotaniem serca. Najspokojniejsza czuła się podczas pracy, kiedy zapominała o sobie, skupiwszy całą uwagę na problemach naukowych. Uchodziła zresztą za osobę zrównoważoną i opanowaną, sprawnie kierującą zespołem, toteż dbała o zachowanie tej opinii. Z nikim nie umiała mówić otwarcie. Nieśmiałość, niepewność własnych racji nakazywała jej sprowadzać wszelkie kontakty z ludźmi na płaszczyznę obojętnej uprzejmości, rozmowy zaś ograniczać do tematów ogólnych, najczęściej zawodowych. Jedynie z Klarą stosunki jej układały się inaczej albo przynajmniej mogły się były ułożyć. Ten stały lęk wyczerpywał ją bardziej niż wytężona praca i, co gorsza, nasilał się wobec osób, które okazywały jej zainteresowanie. Wystarczyło, by Asia popatrzyła na Sylwię odbierającą resztę w sklepie, zaraz pieniądze wymykały jej się z rąk, nie potrafiła ich przeliczyć ani rozmieścić w odpowiednich przegródkach portfela. Pod uważnym spojrzeniem młod-

79

szych kolegów ledwo imogła opanować drżenie dłoni, z trudem ustawiała próbówki na właściwym miejscu, niezręcznie manipulowała mikroskopem. I to bez żadnego właściwie powodu, bez żadnego uzasadnienia, w sytuacjach całkiem zwyczajnych. Maskowała zmieszanie uśmiechem, żartem, lecz po powrocie do domu rzucała się na tapczan znużona i przez parę godzin nie odbierała telefonów, jakby po drugiej stronie przewodów czyhał na nią śmiertelny wróg.

Kiedy tak siedziała teraz gapiąc się na jadące ulicą wozy, wbiegł po schodach profesor archeologii z plecakiem niedbale przewieszonym przez ramię. Zabawnie wyglądał w kraciastej koszuli i welwetowych pumpach. Rozejrzał się w poszukiwaniu wolnego stolika i spostrzegłszy Sylwię rzucił się ku niej. Twarz jego wyrażała zdziwienie, radość, niemal chłopięcą uciechę. Mamrotał słowa powitania bez ładu i składu, nie słuchając odpowiedzi, jakby liczyła się jedynie jej obecność, nieoczekiwane zesłana mu przez łaskawy los. Gromkim głosem przywołał kelnera i pikolaka, zażądał, by natychmiast przynieśli wino, zmienili obrus, podali kartę potraw. Wszczęła się żwawa krzątanina, trzech ludzi wychodziło ze skóry, by spełnić, a nawet uprzedzić jego życzenia. Pikolak przyniósł biegiem stojak z lodem, kelner nadleciał z winem, kucharz w białej czapie wychynął z czeluści, niosąc na desce kilka płatów mięsa do wyboru. Okazało się bowiem, że można dostać wołowinę z rusztu, wyborną sałatę, ba! nawet naleśniki na deser, i to nie byle jakie, lecz polane rumem i owiane błękitnym płomieniem.

Profesor rozsiadł się wygodnie i rozłożył serwetkę ma kolanach. Wyjaśnił od niechcienia, że właśnie tutaj spędza urlop, bo ma w górach domek odziedziczony po rodzicach. Szukał nie tyle tematu do rozmowy, co płaszczyzny porozumienia, gdyż to spotkanie zaskoczyło ich

80

oboje, spełniało bowiem niewypowiedziane, nie całkiem, nawet uświadomione pragnienia i otwierało przed nimi nieoczekiwane możliwości. Rzecz nie do wiary, profesor, onegdaj tak pewny siebie, dziś uśmiechał się bezradnie, co Sylwię trochę wzruszało. Znaleźli się naprzeciw siebie bez broni; to zmuszało do przyjęcia innej konwencji towarzyskiej albo wręcz do odrzucenia wszelkiej konwencji.

Nie pytając Sylwii o zgodę stwierdził, że po obiedzie należy pojechać do Hurezu, by zwiedzić tamtejszy monaster, byłoby przecież grzechem nie zobaczyć najpiękniejszego zabytku w stylu Konstantyna Brinco-veanu. Sylwia uśmiechała się milcząco, nie protestując przeciwko zaborczości towarzysza. Ogarnął ją błogi spokój, pierzchły wszystkie lęki, kelner wydał jej się życzliwszy, ludzie przy sąsiednich stolikach bardziej poczciwi, barwy drzew złagodniały w świetle wczesnego popołudnia. Profesor mówił dalej o monasterze, w nadmiarze słów skrywając zmieszanie, ledwo wyczuwalne w zmienionym, nieco zdyszonym brzmieniu głosu, Sylwia wszakże puszczała mimo uszu jego słowa, zdziwiona tym uczuciem bezpieczeństwa i beztroski, jakiego nie zaznała od dawna. Profesor wyglądał starzej niż podczas pierwszego ich spotkania,

słońce uwidocznilo całą sieć zmarszczek na jego smagłej twarzy, lecz mimo to, a może właśnie dlatego budził sympatię, stawał się jej bliższy. Miała ochotę dotknąć jego kształtnej dłoni, wyjąć mu z palców kulkę chleba, którą nerwowo ugniatał. Pochwycił spojrzenie Sylwii, strzepnął okruchy z obrusa i położył obie ręce na kolanach.

" — Trwaj, chwilo!

ot

__Nadal nie wiem, jakim cudem znalazła się pani tutaj •

Wyjaśniła w paru zdaniach, lecz jej towarzysz słuchał tak nieuważnie, iż nie była pewna, czy słowa jej do niego dotarły. Coś tam sobie w myślach układał i obliczał, i-ih odważył się powiedzieć, że mogłaby z nim zrobić kilka dłuższych wycieczek. Jakby lękając się, że ■jego0 towarzystwo nie stanowi dla niej atrakcji, zachwalał swój wóz, właśnie po przeglądzie i bez żadnych usterek a także miejscowości godne zwiedzenia. Na tym terenie czuł się pewniej, stopniowo odzyskiwał elokwencję, nieśnie twarzy przestały drgać pod smagłą skórą.

Kelner przyniósł pachnące smakowicie mięso, chłopak dolał wina do kieliszków.

__Za nasze piękne dni! —powiedział archeolog.

powinna była może rozładować jakimś żartem zbytne napięcie, rozwiać nadzieje, które mógł pochopnie żywić jej towarzysz. Ale podniosła tylko od ust 'dobrze ochłodzone wino o lekko muszkatowym zapachu i wypięła duszkiem.

__Jak panu na imię?

__Mircza. Wprawdzie też książęce, lecz w każdym razie lepsze niż Decebal albo Trajan.

Roześmieli się oboje. Skoczna, jednostajna melodyjka popłynęła z zachrypniętego głośnika, wtapiając się w gwar uliczny i odgłosy dochodzące z kuchni. Chyba nikt jej nie słuchał, stanowiła tło równie obojętne jak pobliskie góry i bukowe, rdzewiejące lasy. Umacniała poczucie bezpieczeństwa.

__Więc jedziemy? — profesor położył banknot na rachunku dyskretnie wsuniętym pod serwetkę na białym talerzu. — Mam tutaj samochód.

__Jedziemy!

__To ładnie, że się pani zgodziła. Nie mógłbym się teraz z panią rozstać.

82

I

Uśmiechnęła się drwiąco, lecz uwierzyła jego słowom. Musieli poczekać,

aż przejedzie ulicą sznur konnych wozów, posuwających się niespiesznie w stronę powiatowego miasta. Przez chwilę trzymali się za ręce jak dzieci, które z namaszczeniem przechodzą przez jezdnię. Samochód profesora stał w cieniu starych lip. Sylwia wsunęła się ma „swoje” miejsce. Mircza pomimo kilku kieliszków prowadził tak samo pewnie jak do Snagov. Traktował Sylwię jak dawną, dobrą znajomą, z którą, można porozumieć się bez słów, ona zaś nie miała ochoty na rozmowę, uradowana nieoczekiwanym spotkaniem.

Patrzyła nieuważnie na wznoszące się po prawej stronie pasmo gór o łagodnych, na przemian lesistych i łysych zboczach, stwierdzając, że nie tęskni za nikiem, ma-t wet za córką, i nie pragnie nic prócz tego, by ta chwila trwała jak najdłużej.

Wyminęli na szosie ten sam ciąg wozów, płosząc strachliwe koniki. Wsie przydrożne zdawały się zmieniać skórę: murowane domy z kolumienkami wypierały drewnianą zabudowę, wyraźnie skazaną na zagładę mimo niewątpliwego wdzięku ganeczków biegnących wokół chat i wspartych na rzeźbionych słupkach, między którymi suszyły się sznury czerwonej papryki i złociste kolby kukurydzy.

Po godzinie jazdy, ma końcu długiej wsi dostrzegli na wzgórzu białe zabudowania klasztorne. Olśniewająca biel murów i ścian wyblyskiwała spośród rozłożystych lip i klonów. Zostawiwszy w cieniu samochód, ruszyli pod górę ku bramie. Po obu stronach drogi, wybrukowanej kamieniami z potoku, czarno ubrane mni-sziki kończyły zbiór owoców. Za niewysokim, murowanym ogrodzeniem stały na trawie kosze śliwek, których aromat przepajał powietrze. W niezmiernej ciszy odezwał się dostojnie dzwon cerkiewny i niebieskie przestworza zadrgały nad rudziejącą doliną.

83

— Jakież tu spokój! — westchnęła Sylwia. — Co za poczucie bezpieczeństwa!

— Podobne wrażenie musiał odnieść książę Konstantyn Brincoveanu, kiedy wybrał to miejsce na letnią rezydencję. Dolina jest tak kręta, że wzgórza nie widać z głównego traktu, wiodącego do Tirgu Jiu, wojska omijały je nie domyślając się jego istnienia. Było to nader ważne w dobie ciągłych wojen. Wiek siedemnasty bardziej niż nasz zasłużył sobie na miano „stulecia strachu”.

— Tylko że wówczas każdy lękał się o własną skórę, nie o losy świata.

— Nic dziwnego. Mało kto u nas dożywał sędziwej starości. Najrzadziej zaś gospodarowie. Fundator tego klasztoru zginął w okolicznościach

szczególnie tragicznych. Wywieziono go z czterema synami do Stambułu i tam ścięto ich na jego oczach. Najmłodszy chcąc uniknąć śmierci błagał ojca, by mu pozwolił przyjąć wiarę proroka, lecz Konstantyn odmówił zezwolenia i w chwilę później sam oddał głowę pod katowski topór.

Zresztą zna pani chyba tę historię.

Przez pierwsze wrota weszli na rozległy dziedziniec, otoczony półkolem budynków gospodarskich, stajni, spichlerzy, składów i drobnych warsztatów rzemieślniczych. Dopiero za drugą bramą, widniejącą w wyżej wzniesionym murze, znajdował się właściwy klasztor. Pośrodku czworoboku zabudowań stała cerkiew z gankiem wspartym na dziesięciu kamiennych kolumnach o głowicach zdobnych w liście akantu. Na zachodniej ścianie świątyni, osłoniętej sklepieniem ganku od deszczu i śniegu, widniały sceny Sądu Ostatecznego. Malarze nie szczędzili trudu i wyobraźni w przedstawieniu wszelkich katuszy, jakie grożą zatwardziałym grzesznikom. Straszliwe diabły przebijają ich widłami, nurzają we wrzącej smole, przypiekają ogniem i łamią im kości, a olbrzymie potwory pasą się ciałami złoczyńców.

M

— Sztuka — stwierdził profesor — zwłaszcza architektura, zawsze była wyrazem postawy wobec życia, wyrazem dążeń i leżącej u ich podstaw filozofii społeczeństwa. Z kolei budowle i malowidła kształtowały umysłowość ludzi przebywających w ich kręgu. Księżę Konstantyn Brmcoveanu, który tutaj, we frontowym skrzydle klasztoru miał swoje komnaty, codziennie bywał w cerkwi na nabożeństwie. Gorąco widać wierzył w życie pozagrobowe, skoro w obawie przed potępieniem wiecznym nie wahał się poświęcić ukochanego syna.

— Może po prostu sądził, że jako poturczeniec będzie on wiódł żywot godny pożałowania.

— Poturczeńcy dochodzili w Turcji do wysokich stanowisk i bynajmniej nie byli przez mahometan otaczani pogardą. Inne więc motywy musiały kierować księciem Konstantynem. Ludzie ówczesni widzieli w życiu określony sens.

— My — w najlepszym razie — dopiero go szukamy.

— Tym, co nadawało pewnym grupom poczucie wół-noty, były nie tyle koncepcje filozoficzne, co zbiór wartości, umożliwiający jednostce wyjście poza własne życie i znalezienie znaczeń istotnych w szerszym kręgu zjawisk. Poczucie sensu egzystencji, chociażby nawet mgliste, wynika z przeświadczenia, że człowiek związany jest z tym, co było i

będzie, z całą resztą ludzkości, z kosmosem.

— Jak dotąd, religie i filozofie nie zdołały odpowiedzieć na zasadnicze pytania: skąd wziął się człowiek? dokąd zdąży? kim jest właściwie?

— Pomówimy o tym później. Teraz niech pani zwróci uwagę na te rzeźbione ornamenty, w których łączą się cechy Orientu, gotyku i renesansu. Ten szczęśliwy spłot elementów składa się na styl brynfcowiański. Wejdźmy do cerkwi. Oto freski przedstawiające rodzinę fundatora. Gospodar, jego żona, czterej nieszczęśni synowie,

85

urodziwe córki. Stroje wschodnie, bardzo podobne w kroju do żupanów i delii noszonych przez polską szlachtę. Z drugiej strony drzwi zobaczy pani wizerunki murarza, kamieniarza i cieśli, którzy pracowali przy budowie świętego przybytku. Sportretował ich mistrz Pirvu Mutul, czyli Niemy, twórca szkoły malarskiej z Cimpulungu.

Sylwia położyła palec na ustach i podeszła bliżej ołtarza, by przyjrzeć się nabożeństwu. W ciemnych, rzeźbionych stallach siedziało pod ścianami kilkanaście starych zakonnic; młodsze stały pośrodku nawy śpiewając chórem na kilka głosów. Te kunsztowne pienia kojarzyły się Sylwii z Królem Rogerem Szymanowskiego, z muzyką cesarskiego Bizancjum. Przez wąskie okna, umieszczone wysoko w okopconych ścianach, niewiele światła wpadało do wnętrza cerkwi. Migotliwy blask świec igrał na pozłocistych ikonach, polichromiach i naczyniach liturgicznych.

Urodziwa mniszka w'lekkiej, fałdzistej, czarnej pelerynie zarzuconej na habit usługiwała siwowłosemu kapłanowi w zdobionej złotem kapie. Przy każdym ruchu fałdy peleryny rozchyłały się jak skrzydła olbrzymiej ćmy, krążącej wokół świętych obrazów.

Śpiew o zawiłej linii melodycznej zdawał się nie mieć początku ni końca, nie dzielił się nawet na wyraźne frazy, lecz brzmiał monotennie w półmroku pachnącym kadzidłem. Kilka staruszek przymknęło sennie oczy, ciałem tylko uczestnicząc w nabożeństwie. Na wielu twarzach choroba odcisnęła swoje piętno w postaci obrzęków, sinicy, narośli lub worków pod oczami. Jakże były podobne do tamtych kobiet, które Sylwia spotykała w szpitalu Brincovenesc, gdzie po drugiej stronie podwórza znajdował się przytułek dla starców. Niegdyś obie te książęce fundacje gromadziły ludzi upośledzonych przez los, pozbawionych opieki we własnym domu

86

III

albo w ogóle nie mających gdzie głowy skłonić. Za dawnych czasów

szpital był raczej schronieniem dla umierających niż lecznicą, w której przywracano zdrowie. I ze szpitala, i z przytułku rzadko kto wychodził o własnych siłach, zwykle wywożono go na cmentarz. Z biegiem lat, z postępowaniem wiedzy zmieniał się stopniowo charakter fundacji. Szpital księcia Bnmcoveanu zasłynął nazwiskami znakomitych lekarzy, stare pawilony zmodernizowano, wzniesiono kilka nowych. Przytułek dla starców stał się kłopotliwym i niestosownym sąsiedztwem. Administracja chętnie by go zlikwidowała, gdyby nie wyraźna wola testatora, na którą powoływały się pensjo-nariuszki zagrożone eksmisją. Stały też delegacje do epitropów, czyli opiekunów fundacji, przeznaczonej na utrzymanie szpitala i domu starców. Składały się na nią majątki ziemskie, akcje i kamienice, o których liczbie i wartości krążyły fantastyczne pogłoski. Stały one jednak w rażącej sprzeczności z ubóstwem szpitala i przytułku. O cokolwiek proszono administratora — czy to była reperacja instalacji wodociągowej, czy kupienie szczotki do mycia podłóg — zawsze wymawiał się brakiem pieniędzy i koniecznością oszczędzania, narzuconą mu przez epitropów.

Dla pensjonariuszek epi tropi byli postaciami równie mitycznymi, jak mityczny wydawał im się olbrzymi majątek fundacji. Pracownicy szpitala i przytułku również słyszeli o nich, lecz nie widzieli ich nigdy na własne oczy. Wprawdzie na podaniach o pracę, urlop lub zwolnienie epitropi kładli swój podpis, wprawdzie mówiono, że zbierają się co pewien czas, aby o tym lub owym pomówić, to jednak nikt ich nie widywał, gdyż przyjeżdżali od paradnej strony, wchodzili wejściem, które tylko dla nich otwierano, i obradowali w salach, do których jedynie wybrani mieli dostęp.

Między administracją szpitala a przytułkiem toczyła

87

się wojna, można by powiedzieć, biologiczna. Szpital liczył na to, że dom starców przejdzie na jego użytek po wymarciu wszystkich pensjonariuszek, postanowiono bowiem, że nie będzie się ich więcej przyjmować. Staruszki wymierały powoli, ku niezadowoleniu administratora, który nie mógł się nadziwić, jak żywotne są te nędzne, wpół zgięte, wysuszone na wiór istoty, nikomu już niepotrzebne na świecie. „Co je trzyma przy życiu? — zadawał sobie zapewne pytanie, sprawdzając co miesiąc stan liczebny. — Przecież nie jadło szpitalne, po którym nawet zdrowy człowiek musiałby w końcu wyciągnąć kopyta.” Staruszki jednak żyły długo, co gorsza, od czasu do czasu przybywała nowa, przy czym za każdym razem stwierdzano, że to ostatni wyjątek od

ustalanej reguły postępowania. Trzeba było nie lada podstępów, aby im stopniowo uszczuplać przestrzeń życiową, spychać do coraz mniejszej liczby pokoi i zdobywać dla szpitala izbę po izbie. Wskutek takiej polityki zajęto wreszcie całe skrzydło dla studentów medycyny, odbywających praktykę na oddziale chirurgicznym i położniczym. Kiedy Sylwia — przed wielu laty, w czasie wojny — weszła tam po raz pierwszy .po drewnianych, wydeptanych i skrzypiących niemiłosiernie schodach, zawahała się, czy zapukać do pokoju kochanka. Wszystkie pomieszczenia pozbawione były światła dziennego i świeżego powietrza, gdyż okna ich wychodziły na jeden wspólny, nigdy nie wietrzony korytarz, cuchnący kocim moczem i starczą biedą. Korytarz ten prowadził do łazienki, jedynej na całym piętrze, gdzie staruszki mieszkające w drugim skrzydle budynku płukały swoje nocniki i prały nędzne łachy. Od dawna nie robiono gruntownego remontu w tym domu, zapewne wychodząc z założenia, że i tak trzeba go będzie przebudować, skoro zmieni swe przeznacze-

88

nie. Tynk odpadał płatami, okna się nie domykały, a kaloryfery, które gdzieś wstawiono, pochodziły widocznie z rozbiórki, gdyż każdy był innego rodzaju, każdy wydawał się intruzem w tym starym domostwie. Dawały mało ciepła, zwalniały jednak administrację od obowiązku palenia w piecach.

Mimo że staruszki hodowały tu kilkanaście kotów, szczury tak się zadomowiły i oswoiły z ludźmi, że ocierały się o ich nogi, zwłaszcza wieczorem, kiedy jedna tylko piętnastowatowa żarówka oświetlała schody i korytarz. Powiada przysłowie, że można się kochać i na gołej skale, byle ludzie nie przeszkadzali. Sylwia miała jednak stale wrażenie, że staruszki zaglądną przez szpary, że łypią na nią nieżyczliwym okiem, ilekroć idzie do ich nieszczęsnej łazienki, podsłuchują, kiedy stara się złapać londyńskie audycje.

Ta wojenna miłość zostawiła gorzkie wspomnienia. Dawne uczucie skrepowania i upokorzenia znalazło teraz wyraz w niechęci do Bogu ducha winnych zakonnic, jakby to one gorszyły się niegdyś jej widokiem w łazience i na korytarzu.

Kapłan o wyglądzie patriarchy ukazał się znowu z za wrót cesarskich i kołysał kadzielnicą. Mniszki przyklekły, bijąc czołem o posadzkę. Starzec śpiewał basem niepojęte słowa modlitwy. Sylwia czuła się podwójnie obco, jakby od tych bizantyńskich relikwów dzielił ją czas i przestrzeń. Przynależność do świata zachodniego napawała ją dumą i dawała poczucie

wyższości.

— Jak długo to jeszcze potrwa? — zapytała szeptem swego towarzysza.

— Dwie, trzy godziny. Te kobiety spędzają co dzień w cerkwi Około siedmiu godzin.

— Chodźmy stąd! — powiedziała ze zgrozą. Mogła zrozumieć wielogodzinną medytację buddystów lub żarliwą modlitwę cystersów, lecz to bezmyślne, jej zda-

89

niem, wyśpiewywanie na chwałę boską — budziło w niej stanowczy sprzeciw.

Kiedy wyszli na dziedziniec objęty czworobokiem klasztornych cel, słońce kryło się już za górami; fiołkowy odblask barwił tylko zachodnią połąć nieba. Sinawe cienie powlokły dwupiętrowe ściany. Cerkiew wydawała się jeszcze mniejsza. Po krużgankach ciągnących się wzdłuż dziedzińca przesunęły się dwie czarno ubrane mniszki.

■—• Rozumiem, że przed wojną trudności ekonomiczne i społeczne kazały wielu kobietom, zwłaszcza ze wsi, szukać lepszego bytu w monasterach. Ale dzisiaj, kiedy łatwo o pracę i awans społeczny, wydaje mi się dziwne, że młode dziewczyny przychodzą do klasztoru — mówiła Sylwia z rozdrażnieniem.

— Przebywało tutaj wiele kobiet z domów bogatych, a i teraz... Pani upraszcza problem.

Spojrzała na niego z niechęcią, jakby należał do tej samej formacji kulturowej, co bijące czołem o ziemię mniszki.

— Patrzymy na świat z różnych pozycji. Wy, humaniści...

— Sądzi pani, że można wyjaśnić zasadnicze problemy życia za pomocą genów, ich części składowych i kontrolowanych przez nie reakcji chemicznych? — przerwał profesor. — Ważniejsze są wzajemne powiązania między ludźmi a ich środowiskiem, będące wytworem cywilizacji. Przeszłość ewolucyjna i społeczna wywiera głęboki wpływ na życie, chociaż trudno go ująć w chemiczne formuły.

— Nie przeczę, że ludzkość ma problemy wymykające się ścisłej definicji naukowej. Kto wie, czy nie istnieje nawet przepaść między obiektywną wiedzą o społeczeństwie a przeżyciami jednostek, przeżyciami, którymi trudno dzielić się z kimkolwiek. Tym niemniej...

90

— Naukowcy, zwłaszcza zajmujący się biologią i technologią, powinni odpowiedzieć na mnóstwo pytań, jakie nastrocza wzajemna zależność pomiędzy człowiekiem a jego środowiskiem. Czy nie dziwi pani fakt, że

właściwie nie opracowano dotąd metod naukowych, pozwalających zbadać te zależności? Któż potrafi przewidzieć dokładnie, jakie skutki dla rodzaju ludzkiego przyniesie cywilizacja miejska i przemysłowa, narażająca człowieka na ciągłe przebywanie w zanieczyszczonym środowisku, wywołująca zaburzenia fizjologiczne wskutek nagłych zmian trybu życia i pogwałcenia cykli naturalnych, wreszcie częstotliwość urazów emo-

cjonalnych i paradoksalna samotność w przeludnionych miastach, monotonia i nuda w świecie standardowej rozrywki? Któż wreszcie ujarzmi rozszalałą technologię?

— Czy to nie za mocne określenie?

— Bynajmniej! Technika niszczy już te procesy dynamiczne, które dotąd zapewniały człowiekowi życie na ziemi, a dzieje się to wskutek masowej produkcji energii i oraz towarów, wskutek wzrastającego wpływu technologii na wszelkie formy działalności społecznej. Przyzna pani, że stosowanie wielkich ilości nawozów sztucznych i środków ochrony roślin zmienia naturę ziemi, wywołując gwałtowne zaburzenia ekologiczne. Co gorsza, zmiany te następują tak szybko, że człowiek nie umie się do nich przystosować. Niezliczone innowacje docierają w najdalsze zakątki świata i wpływają praktycznie na wszystkie dziedziny życia, zanim poznamy ich potencjalne skutki dla organizmu ludzkiego, dla struktur społecznych i dla samego środowiska. Co kilka miesięcy wielkie firmy farmaceutyczne wypuszczają nowe leki, co kilka lat przeprowadza się reformy systemu szkolnego, nikt jednak nie może ocenić ich skutków, bo nowy lek i nowy system oświaty wypiera poprzedni przed upływem okresu ich potencjalnego oddziaływania.

91

— Jest pan, jak widzę, wrogiem wszelkiego postępu.

— Co znowu! Twierdzą tylko, że jeśli technika ma służyć człowiekowi, to należy lepiej poznać jego potrzeby i do nich technikę dostosować. Abrams przed budową nowoczesnego ogrodu zoologicznego długo badał nawyki i potrzeby różnych gatunków zwierząt, aby zapewnić im najlepsze warunki bytowania. Obawiam się, że większość naszych architektów mniej troszczy się o wymagania człowieka, choć dla zachowania prawdziwie ludzkich wartości trzeba mu zapewnić nie tylko dach nad głową, pracę, odzież i wyżywienie, lecz także możliwość znalezienia ciszy, odosobnienia, samodzielności, pola dla własnej inicjatywy. Jeśli zwyczaje i otoczenie stają się stereotypowe, to psychika ludzi ulega zubożeniu. Telewizja nie dlatego wywiera wpływ niepożądany, że nadaje niedoskonałe programy,

lecz że miliony ludzi w identyczny sposób spędzają wolny czas i przeżywają podobne reakcje.

— Ułatwia to manipulowanie społeczeństwem.

— Ze szkodą dla jego potencjalnych zdolności twórczych. Ale i to wypływa z naszego braku rozeznania w skutkach takiej czy innej formy odpoczynku i rozrywki. Raz jeszcze powołam się na angielskiego historyka nauki Stephena Tuolmina. Powiada on, że współczesne społeczeństwo zachodnie udziela schronienia wiedzy jak obcemu, tajemniczemu bóstwu. Jego działanie zmienia nasze życie, lecz populacja zachodnia jest równie daleka od izrozumienia tej dziwnej siły, jak daleki był wieśniak średniowieczny od pojęcia wywodów Tomasza z Akwinu.

— Cóż więc pan proponuje, profesorze?

— Przede wszystkim rzetelne poznanie przeszłości. Historia nie jest martwym zbiorem faktów, lecz budulcem, z którego człowiek tworzy samego siebie i swoją przyszłość. Miejmy nadzieję, że obmyślimy wkrótce

rae-

92
lody przewidywania i wczesnego rozpoznawania szkodliwych Skutków innowacji społecznych i technologicznych, a wtedy można będzie zmniejszyć lub wyeliminować zjawiska niepożądane.

— Słowem, postuluje pan nową utopię.

— Można to i tak nazwać, gdyż stworzenie przyszłości godnej pożądanego

— wymaga niemal wizjonerstwa. Postęp wynikał zawsze z dążeń człowieka do wymagowanych celów. Dlatego tak cenię wyobraźnię, zarówno w humanistyce jak i naukach ścisłych.

Szła w milczeniu, rozdrażniona nie tyle jego wywodami, ile zbytnią pewnością siebie, irytującym brakiem wątpliwości, który, jak mniemała, cechuje ludzi ograniczonych, gdyż wahanie i niepewność są karą za spożycie jabłka z drzewa wiadomości. Ale gdy już wsiedli do auta i pomknęli w błękitnym zmierzchu do Cali-manesztzi, zostawiając za sobą wyniosłe, ledwo majaczące na widnokręgu pasmo gór, pomyślała, że profesor jest na swój sposób mądrym człowiekiem, a jego filozoficzny optymizm wynika z afirmacji życia, z wrażliwości na piękno przyrody, na przyjemności gastronomii, na powaby erotyki. Natura jego ukształtowała się pod wpływem miejscowych tradycji, a nie racjonalizmu An-glosasów, mimo że tak chętnie powoływał się na ich autorytet. Nie wyglądał jednak ani na obzartucha, ani na kobieciarza, przeciwnie, sprawiał wrażenie człowieka, który potrafi znieść wszelkie wyrzeczenia dla dobra pracy naukowej, będącej jego prawdziwą pasją. Jak wielu chłopskich synów,

zachował młodzieńczą chłonność i ciekawość świata, wrażliwość na nowinki naukowe i szokujące teorie. Mimo że odżegnywał się od religii, przynajmniej w jej tradycyjnym pojmowaniu, doszukiwał się w społeczeństwie przyrodzonego porządku rzeczy, nie mogąc pogodzić się z istnieniem zjawisk pozbawionych sensu i celu. Stąd ta skłonność do porządkuj a-

93

cych uogólnień i wprowadzania ładu w najbardziej splątane problemy. Podobnie jak młody człowiek mówiąc o śmierci wie wprawdzie, że jest nieuchronna, lecz nie czuje się nią jeszcze zagrożony, tak i profesor roztaczał przerażające perspektywy nie kontrolowanej technologii, nie będąc w duchu całkiem przeświadczony o rychłej możliwości zagłady. Jakże zresztą można było myśleć o niej w tej podgórskiej okolicy, prawie nie skażonej odpadkami przemysłu? Nawet jeśli w mieście powiatowym mijali jakieś zakłady i zapyłone podwórza fabryczne, to przecież tuż za jego rogatkami zaczynały się znowu pola kukurydzy i śliwkowe sady, winnice i ogrody, a parterowe domki nikły wśród malw i georginii.

— O której mogę jutro przyjechać po panią? — zapytał profesor, jakby sam wyjazd został już ustalony. — ■ Lepiej byłoby wcześniej, bo drogę mamy długą i ciekawą. Przez wąwóz Czerwonej Wieży do Sibiu, a stamtąd do Alby Julii, czyli Białogrodu. Więc, powiedzmy, o ósmej?

— Dobrze. Chociaż nie wiem, czy powinnam przyjąć tę propozycję... Może to panu zakłóca urlop... Nie należy przesadzać w uprzejmości dla cudzoziemców.

— Po co to pani mówi? Jeśli ma się przed sobą tylko kilka wspólnych dni, to nie trzeba powtarzać grzecznościowych banałów. Niech pani nie obawia się być sobą. Więcej prostoty i odwagi, Sylwio!

Speszona tym powiedzeniem, jakby ją przyłapano na kłamstwie, Sylwia pożegnała się chłodniej, niżby pragnęła, i wbiegła po schodkach do mrocznego wnętrza domu. Wieczorny chłód ciągnący od rzeki sprawił, że poczuła się w pokoju obco i nieprzyjemnie. Pościel była lekko wilgotna, przywodziła na myśl glony i butwieją-ce liście.

94

Co to znaczy być sobą? Jeśli oddać głos jednej tylko z kilku Gracji, to uprości się wprawdzie psychologiczny portret, sprowadzi go się do wyraźnych konturów, lecz jednocześnie odbierze mu się całą głębię i właściwie zafałszuje. Bo czyż nie w tej plątaniu sprzecznych porywów i uczuć, popędów i zahamowań, pragnień i lęków kryje się prawdziwa

osobowość? Gdyby Sylwia pod wpływem pierwszego impulsu zaprosiła tutaj swego towarzysza i nie dbając o nic szukałaby w jego ramionach ukojenia, czy byłaby jeszcze sobą, od lat powściągniętą wszelkie namiętności z obawy przed rozczarowaniem i narażeniem na szwank swej ambicji? Czy dojrzałość nie jest sumą życiowych doświadczeń, z których żadnego nie da się wykreślić? To ich ciąg wyznacza dalszy kierunek postępowania, hamuje lub popycha ku temu, co wynika z ukrytej logiki zdarzeń i z genetycznych uwarunkowań. Diabło mało miejsca na wolny wybór. Być sobą? Czyżby należało się odsłonić, wyzbyć reakcji obronnych, wystawić na ciosy? Przecież to sprzeczne z instynktem samozachowawczym, wrodzonym każdej istocie. Udawanie, pozór, maska, nawet obłuda zastępują przymioty kameleona. Ból i lęk ostrzegają przed niebezpieczeństwem niekiedy na zasadzie odruchów warunkowych. Mając lat dwanaście Sylwia otrzymała wspaniały bukiet gladiolusów,¹ pierwszy bukiet подарowany jej przez chłopca. Znajomość ich, nieśmiała i dziecinna, rozwijała się w Inowrocławiu na zwirowanych ścieżkach parku, pod czujnym spojrzeniem obu matek. Aż dziw bierze, jak w tych warunkach doszło między młodymi do rozmów na tyle znaczących, by wywołały w sercach drgnienie pierwszej sympatii, bladej zapowiedzi przyszłych uczuć. Wynikło to chyba z wzajemnego zrozumienia i współczucia, gdyż oboje przebywali tam na kuracji,

95

zabawy rówieśników były dla nich niedostępne. Musieli chodzić na zabiegi i kąpiele, mierzono im temperaturę, przekarmiano do mdłości. Mimo to i Sylwia, i ów jasnowłosy chłopiec byli chudzi, smukli, przezroczyści jak opłatek, oczy mieli wiecznie podkrążone, spotniałe ręce. Jeśli jednak Sylwia mogła to wszystko złożyć na karb swego reumatyzmu, to choroba jej towarzysza pozostawała tajemnicą aż do chwili, w której dziewczynka wstawiła do wazonu pąsowe mieczyki. Wówczas dopiero matka powiedziała jej w zaufaniu, że chłopiec chory jest na kiłę wrodzoną. Wykład o chorobach wenerycznych zajął całe popołudnie. Sylwia po raz pierwszy dowiedziała się o rzeczach tak przerażających, że lęk przed zarażeniem obrzydził jej chłopca. Nie dotknęła więcej gladiolusów i długo myła ręce szczotką i mydłem. Przez wiele lat chodziła do gimnazjum dla dziewcząt, w którym prócz księdza prefekta i woźnego pracowały jedynie kobiety, przeważnie już niemłode i bardzo surowe, choć na ogół doskonale wykładające swe przedmioty. Regulamin szkolny zabraniał uczennicom spotykania się z chłopcami, chodzenia do kina i oglądania sztuk

teatralnych nie przewidzianych programem. Granatowy mundur z plisowaną spódnicą za kolana obowiązywał w szkole i na ulicy. Mowy nie było o malowaniu się lub trwałej ondulacji. Przełożona w razie wątpliwości nie wahała się wsadzić swej pupilki pod kran z zimną wodą. Ksiądz prefekt, jowialny grubas z oczkami jak rodzynki wciśnięte w maślaną bułeczkę, zalecał dziewczętom, by nosiły warkocze ciasno splecione za uszami. Faworyzował sodaliski, do których należała kontrola nad koleżankami oraz sprawdzanie, czy chodzą regularnie na szkolną mszę świętą. Zajęcia zaczynały się i kończyły modlitwą, z podwórza wracano po przerwie parami, śpiewając ile tchu w płucach:

96

;-,il

Wszystko, co nasze,

:

Polsce oddamy,

W niej tylko życie,

Więc idziem żyć,

Świty się bielą,

Otwórzcie bramy,

Hasło wydane,

Wstań, w słońce idź!

Ramię pręż, Słabość krusz, Ducha też, Ojczyźnie miłej służ! Ojczyźnie miiiłej służ!

Śpiew przerywały szeptu i zwierzenia na temat chłopców, spotykanych w zaprzyjaźnionych domach albo widywanych ukradkiem i pod strachem bożym w palmiar-ni czy w muzeum. Raz do roku zapraszano na szkolną zabawę kolegów z gimnazjum imienia Adama Mickiewicza. Tańce pod okiem grona profesorskiego i rodziców nie stanowiły wielkiej atrakcji, pozwalały jednak zawrzeć znajomości, które później, wiosną, nastęrczały opiekunkom sporo kłopotów. Dzięki rodzinnym powiązaniom liściki krążyły między gimnazjami, uczynne siostry i nie mniej uczynni bracia spełniali rolę postillons d'amour.

Sylwia nie umiała by dzisiaj wyjaśnić, na jakim tle doszło do pierwszych zatargów między nią a księdzem prefektem i dyrekcją szkoły. Pamięta natomiast żarliwą nienawiść, jaką budziły w niej nauczycielki, koleżanki, nawet gmach gimnazjum i podwórko w cieniu drzew. Ta nienawiść kazała jej szukać organizacji młodzieżowych źle widzianych przez endeckie grono profesorek. Przez pewien czas przyglądała się Straży Przedniej, czytywała „Kuźnię Młodych”, później trafiła do półtaj-nego koła Towarzystwa Przyjaciół Tomasza Zana, prowadzonego przez studentów polonistyki. W jednym

z nich zakochała się nader romantycznie, więcej bowiem było między nimi mowy o literaturze niż o wzajemnych uczuciach. W największej tajemnicy spotykali się bądź u niej w mieszkaniu pod nieobecność domowników, bądź u niego, w sublokatorskim pokoju, który dzielił z przyjacielem, bądź też na koncertach symfonicznych lub w Operze. Marzeniem Sylwii było usłyszeć Casanovę Ludomira Różyckiego, dzieło zabronione przez szkołę jako nader niemoralne. Wreszcie wybrali się z Henrykiem, korzystając z nieobecności rodziców Sylwii. W przerwie przedstawienia odszukała ją przerażona Józia, służąca i najlepsza powiernica, gdyż ojciec wrócił wcześniej i nie powinien był dowiedzieć się o eskapadzie córki. Wymknęła się z żalem, obiecując sobie, że gdy zda maturę, przede wszystkim wysłucha do końca tej opery. Okazja wszakże nie nadarzyła się już nigdy. Henryk nader powoli i ostrożnie wprowadzał Sylwię w arkana miłości, pamiętając, że jest ona panną z dobrego domu i nie chcąc narażać się jej rodzicom. Po wielu latach miała dowiedzieć się przypadkiem, że tę powściągliwość wynagradzał sobie w dwójnasób z innymi kobietami, co mu jednak nie przeszkadzało pisywać do niej płomiennych listów podczas wakacji. Mimo że Sylwia ukrywała je w miejscu, zdawałoby się, zupełnie bezpiecznym i tylko czasem wydobywała je ze schowka, by się nimi delectować, matka znalazła je i wymogła na Sylwii obietnicę, że nigdy więcej z Henrykiem się nie spotka, w przeciwnym bowiem razie ojciec będzie musiał wezwać go na rozmowę. Myśl o tym napawała Sylwię grozą. Co prawda, niewiele miała do ukrywania, lecz głośne mówienie o tym, o czym sama ledwo śmiała .myśleć, było nie do zniesienia.

Szczęściem Henryk przeniósł się na dalsze studia do Warszawy i przestał pisywać. Zadra w sercu jednak po-

,98

została. Domyślając się tego, imatka wysłała Sylwię następnego lata na obóz Straży Przedniej w okolicy Równego. Wyjaśniono dziewczętom, że mają do spełnienia, ważną misję kulturalno-polityczną, polegającą na pozyskaniu tamtejszych mieszkańców dla polskości. W tym celu miały urządzić ogniska z programem artystycznym i zorganizować dzieciniec dla wiejskich dzieci.

O ile na ogniska ludność przychodziła dość chętnie, o tyle nikt się nie kwapił z oddaniem dzieci pod opiekę miejskich panien. Komendantka rozesłała więc dziewczęta po wsi, by pozyskały wieśniaków dla tej sprawy. Chodziły po dwie, po trzy, nigdy w pojedynkę. Jakimś trafem

Sylwia zaszła raz sama do białej chaty nad rzeką, gdzie kwitło kilkanaście wysokich słoneczników. Gospodyni i jej syn, rosły mężczyzna o ciemnej, kędzierzawej czuprynie i niebieskich oczach, tak wymownie przedstawili pannie swój punkt widzenia na problem ukraiński, że przyznała im słusność, nasłuchiwała się-o Szewczence i pochwaliła program spółdzielców. Co więcej, zawsze zbuntowana przeciwko własnemu środowisku, jeła demonstrować solidarność z mieszkańcami wioski. Chodziła stale w pięknie wyszywanej koszuli, a przy ognisku poprosiła młodego gospodarza o zaśpiewanie ukraińskiej pieśni. Nie zważając na sprzeciw komendantki, zaśpiewał dźwięcznym barytonem nie jedną, lecz kilka dumek, ku nieopisanemu, choć skrytemu zachwytowi wszystkich dziewcząt. Przychodził odtąd prawie na każde ognisko i zawsze siadał obok Sylwii. Spotkali się też kiedyś w południe nad rzeką i umówili wieczorem w lesie. Z tej lipcowej nocy Sylwia zapamiętała tkliwie nuconą piosenkę, miękkość mchu i ogromne szczęście spełnienia. Między koronami drzew prze-błyskiwały gwiazdy. Wierzyła słowom miłości szeptanym w obcej mowie. Nie lękała się niczego; i teraz, po tylu latach, pamięta jeszcze to poczucie bezpieczeństwa.

7*

99

Następnego dnia odesłano ją do rodziców. Trzeba było nie lada zabiegów z ich strony, żeby sprawę w szkole zatuszować, żeby dać Sylwii szansę zdania matury. Pozostała więc w klasie, lecz traktowano ją jak parszywą owcę: nauczycielki odnosiły się do niej surowo, koleżanki stroniły od niej na przerwach, ksiądz prefekt nie zaszczycał jej spojrzeniem. Komendantka Straży Przedniej urobiła jej opinię komunistki, nieledwie a-gentki obecnego wywiadu. Około Bożego Narodzenia przyszedł na adres szkoły list do Sylwii pisany ołówkiem na czterech stronach podaniowego papieru. Pokazano go jej z daleka, jako dowód przestępstwa, nie pozwalając zapoznać się z jego treścią. Wychowawczynie trzymała go z obrzydzeniem w dwóch palcach, Sylwia zaś tak zatęskniła za tamtym mężczyzną i za lasem nad rzeką, że omal nie uciekła z domu. Zacięła się w milczeniu, lecz musiała -wysłuchać wielu nie kończących się tyrad; każde słowo raniło ją i obrażało. Maturę jednak zdała i zapisała się na uniwersytet.

W czasie starań o przyjęcie na studia poznała kilku młodych ludzi. Jeden z nich nie dostał się na medycynę, gdyż senat uniwersytecki przyjął wobec Żydów zasadę numeras nullus. Drugi znajomy wstąpił wprawdzie na prawo, lecz nie miał pieniędzy na zapłacenie chesnego i Sylwia pożyczyła

mu w tajemnicy swoje oszczędności. Co więcej, postanowiła pójść z nim na pierwszy bal chemików,' wydany w salach hotelu Bazar. Ponieważ młodzieniec nie miał stosownego stroju, Sylwia pożyczyła mu frak swojego ojca, który na ten bal się nie wybierał. Jakież było jej zdumienie, gdy wróciwszy o trzeciej nad ranem usłyszała, że właśnie chciał po nią pójść do Bazaru, lecz stwierdził brak fraka i niezbędnych do niego akcesoriów, toteż nie posiadał się z oburzenia i obmyślał jak najostrzejsze sankcje wobec córki. W parę dni później, po herbacie, przy której przedstawiła mu obu

100

znajomych, stwierdził ponuro, że samochcąc zawiązuje sobie życie, bo z takimi ludźmi nie może pokazać się w towarzystwie i za żadnego z nich nie wyjdzie przecież za mąż.

Sylwia nie myślała jeszcze o małżeństwie, kiedy wojna rzuciła ją za granicę, a w systemie wartości dokonał się całkowity przewrót.

Wprawdzie wśród ludzi z jej środowiska nadal obowiązywały dawne konwencje, lecz ona sama znalazła się poza nim i przeżyła pierwsze przykre doświadczenia. Oto przyjaciel rodziców, mający się nią opiekować, przy pierwszej okazji zaczął dobierać się do niej i całować oślinionymi wargami. Oto profesor chemii, człowiek stary i powszechnie szanowany za dobroć i osiągnięcia naukowe, zaproponował biednej studentce pracę w laboratorium; zachodził tam cichaczem po południu, przekręcał klucz w drzwiach, nastawiał wentylator, by zagłuszyć to, co dzieje się w pracowni, a potem zbliżał się do Sylwii z obleśną miną i niecierpliwymi dłońmi. Oto policjant, który w majowy wieczór rzuca na ławkę w parku oślepiającą wiązkę światła i szantażuje młodą parę spisaniem protokołu o gorszącym zachowaniu się w miejscu publicznym, o ile nie zapłacą mu okupu. Nie ma żadnego znaczenia, że brak podstaw do takich zarzutów. Policjant cynicznie proponuje, że wytłumaczą się na posterunku, i raz po raz nazywa Sylwię kurwą. Oto dworzec zbombardowany podczas nalotu. Noc, zimno, nie wiadomo kiedy odejdzie stąd jakikolwiek pociąg. Sylwia zmęczona podróżą, zziębnięta i nie wyspana idzie za kolejarzem, który zaofiarował jej nocleg w budce dróżnika. Idą długo po torach zdłuż wyrw, skreconych szyn i rozbitych wagonów. /reszcie dochodzą, otwierają drzwi. W mroku rozja-nionym tylko blaskiem ognia tłącego się w żelaznym iecyku widać stół, krzesło, wyrko pod ścianą. Kolejarz iada na nim obok Sylwii, dopomina się o nagrodę w na-

101

turze. Nie ucieka się do przemocy, nie brutalizuje, przysuwa tylko bliżej nie ogoloną gębę, cuchnie czosnkiem i potem, użala się nad swoim pieskim życiem, molestuje... Oto maleńki pokój, w którym Sylwia mieszka z mężem i jego bratem. Łóżka zestawione blisko; kiedy światło gaśnie, nadchodzi pora pieszczot, słycać oddech tamtego, na pewno nie śpi, wsłuchuje się w skrzywienie sprężyn, szelest koca. Sylwia zaciska zęby, boi się poruszyć, nade wszystko jednak lęka się zajścia w ciążę i ponownego zabiegu bez znieczulenia, powrotu do domu tramwajem i oczekiwania, czy aby nie nastąpią komplikacje, bo przecież nie stosuje się jeszcze sulfamidów i antybiotyków.

Dość, dość tych wspomnień! Trzeba wziąć pastylkę, albo nawet dwie, trzeba zasnąć mocno, żeby jutro z uśmiechem powitać profesora i — jak to on powiedział? — nie obawiać się być sobą.

Dzień piąty

Nazajutrz profesor znów odnosił się do Sylwii jak człowiek światowy, w miarę uprzejmy, w miarę wygadany, umiejętnie skrywający uczucia, co budziło w niej pewną irytację, a nawet wrażenie zawodu, spodziewała się bowiem większej tkliwości z jego strony, a po źle przespanej nocy była szczególnie drażliwa. Toteż jadąc w górę Oltu wołała myśleć nie o swoim towarzyszku, lecz o Geo Bogzie, którego poznała w grudniu 1954 roku, kiedy jako jeden z pierwszych po wojnie pisarzy rumuńskich przyjechał do Polski na zaproszenie Związku Literatów. Zdziwiło ją wówczas, że ten wysoki, barczysty mężczyzna, wyglądający jak uosobienie zdrowia i tężyzny fizycznej, obawiał się przeciągów i w ciągu je-jednego przedstawienia kilkakrotnie zmieniał miejsce w teatrze, byle uniknąć najłżejszego podmuchu powietrza. Później dowiedziała się o jego dolegliwościach reumatycznych i na ich karb złożyła tę przesadną wrażliwość. Bogza. wywarł wówczas na niej szczególne wrażenie, bo wyłamywał się z ogólnie przyjętych schematów i lubił piękne gesty. W hołdzie autorce Medalionów złożył na jej ośnieżonym grobie gałązkę białego bzu. Wymknął się z MSZ-owskiego pensjonatu w Zakopanem, aby pójść na pasterkę do starego kościółka i późną nocą pojechać saniami na Cyrhlę. Odmówił zwie-

103.

dzenia kopalni Wujek i autem z Komitetu Wojewódzkiego wybrał się do Częstochowy, chcąc koniecznie zobaczyć Jasną Górę. Jak na złość mgła skryła ją przed jego wzrokiem, czym się zresztą zbytnio nie zmartwił. „To może i lepiej — powiedział do Sylwii. — Zachowam w pamięci obraz namalowany przez Sienkiewicza. Literatura powinna ludziom narzucać

własne widzenie świata."

Należał do tych pisarzy, którzy urabiają wyobraźnię czytelników. Jego przedwojenne reportaże z garbarni, z pól naftowych i Bukaresztu stworzyły niezapomnianą wizję rzeczywistości tragicznej. Księga Oltu była już czymś więcej niż reportażem. Zawarł w niej Bogza całą historiozofię, charakterystykę mieszkańców, przedziwny czar przyrody i nieuchwytną melancholię, która niebieskawą mgiełką unosi się nad Oltem. Każdy przybysz musi patrzeć jego oczyma na tę krainę, podobnie jak w Siedmiogrodzie widzi wszystko przez pryzmat powieści Rebreanu, Mołdawię zaś ogląda z okien Zajazdu Anusi, w którym mistrz Sadoveanu zdaje się po dziś dzień gawędzić przy kominku.

Jechali w milczeniu, radzi z jesiennej pogody i przejrzystości powietrza. Sylwia syciła oczy rudziejącą zielenią drzew i połyskiem skał zwięzających łożysko rzeki między masywem Cozii a Narutem. Szosa wykuta w zboczu biegła wysoko nad Oltem, pieniając się na skalistych porohach. Profesor zwolnił nieco przy cerkiewce Cornet, niegdyś otoczonej zabudowaniami klasztornymi, które uległy zniszczeniu podczas budowy linii kolejowej. Samotna świątynka wydawała się śmiesznie mała. Na ścianach jej między rzędami cegieł i kamieni połyskiwały barwne ceramiczne krążki. Na tle świerków wyglądała niemal jak dziecinna zabawka.

Spoza kolejnego zakrętu szosy wyłoniła się tablica z napisem: „Ciineni”.
Tutaj przed pierwszą wojną świa-

204

ową kończył się obszar Rumunii. Za chatynkami pokrytymi gontem, za drewnianą dzwonnica cerkwi w niewielkiej, przycupniętej u stóp gór osadzie — zaczynał się Siedmiogród. Opodał, po żwirowym peronie dworca spacerował Tytus Herdelea, bohater sławnej powieści Rebreanu, żegnając się z ziemią rodzinną przed wyjazdem do Bukaresztu, gdzie spodziewał się zrobić karierę.

Komora celna mieściła się wówczas w Riul Vadului, wciśnięta między zbocza wyniosłych gór. Później w tych budynkach urządzono szpital dla umysłowo chorych. „Przebywają tam ludzie prości — pisał w 1940 roku Geo Bogza. — Ludzie ze wsi albo z peryferii miejskich, skromne pochodzenie pogarsza jeszcze ich nieszczęsny los. Z ogolonymi głowami, w szarych uniformach stają w dwuszeregu, by odmówić chórem modlitwę — Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech — i dopiero potem dostają zupę z kotła. Wojskowy dryl wśród wariatów! Wszystko tutaj wydaje się bardziej tragiczne i groteskowe."

Ciekawe, pomyślała Sylwia, co zmieniło się tutaj przez lat trzydzieści?

Czy dotarły nowe leki, metody psychoterapii grupowej? Czy okoliczni mieszkańcy zmienili swój stosunek do tych nieszczęśników, żyjących pośród zwidów i urojów?

Wysoko ukazały się ruiny Czerwonej Wieży, od której wzięło nazwę przejście tym wąwozem. Ilekroć patrzy się na te resztki zamku, rzeczywiście jaskrawo czerwone, gdyż, jak mówi legenda, spryskała je obficie krew turecka, tylekroć przychodzą na myśl miłosne szaleństwa Marii Teresy, która przeżyła je tutaj, w krwawych murach starej warowni. Namiętności władców nie pozostają wszakże bez wpływu na losy poddanych, cesarscy faworyci zyskują władzę nad ich życiem i śmiercią. Obecność cesarzowej źle się zapisała w pamięci mieszkańców.

105

Niewesołe wspomnienia łączą się też ze wsią Boita, przez którą cofały się wojska rumuńskie w 1916 roku. Szef sztabu niemieckiej armii lądowej generał Falken-kayn przeszedł górami i wziął Rumunów w dwa ognie. Ukryte na lesistych zboczach armaty ziały ogniem na stłoczone szeregi piechoty, wozy, konie. Powstało straszliwe zamieszanie, kotłowano się na wąskiej szosie, spychano, tratowano się wzajemnie. Dzisiaj tamci, co polegli owej jesieni, śpią spokojnie w równych rzędach grobów na wojskowym cmentarzu, którego ciszę zakłócają śmiechy i pokrzykiwania dziewcząt, kąpiących się w letnie wieczory na pobliskiej płyciźnie Oltu. Szosa wspinała się coraz wyżej, ku przełęczy. Z prawej strony wyrastał najpierw szczyt Suru, później Ne-goiu, królujący nad rozległym pasmem wysokich Gór Fogaraskich. W kwadrans później zjeżdżali już na płaskowzgórzu. Sibiu leżało jakby w niecce otoczonej kręgiem odległych, niebieskawych wzniesień. Poranna mgła przyćmiła czerwien dachówek i jaskrawe barwy tynków, gotyckie wieże bladym różem kładły się na spłowiałe niebo. Łagodny koloryt, przypominający stare freski kościelne, rozległość tego widoku i nieopisany spokój jesiennego poranka napawały Sylwię dławiającym niemal zachwytem, który tak ją uszczęśliwiał, że czuła potrzebę wyrażenia swej wdzięczności towarzyszowi podróży. W obcej mowie trudno było jednak znaleźć właściwe słowa, nie nazbyt emfaticzne ani zobowiązujące. Milczała więc, trochę zasmucona tym zamknięciem się w sobie, lecz już po chwili rada, że nie wyrwała się z głupim, pensjonarskim okrzykiem podziwu.

Stłumienie uczuć okazało się trudniejsze niż poniechanie słów. Mężczyzna siedzący przy niej wydawał się tak miły i bliski, że zabolą ją myśl o rychłym rozstaniu. Kto wie, czy gdyby mieszkał w Polsce, gdyby mogła częściej go widywać, nie zrodziłaby się między nimi

prawdziwa tkliwość. Sylwia nawet w duchu nie ośmieliła się nazwać tego inaczej, chociaż dojmująco odczuwała brak miłości, cudownego nastroju zakochania i bardziej jeszcze — okazji do roztoczenia nad kimś serdecznej pieczy. Odkąd Asia przestała garnąć się pod matczyne skrzydła, Sylwia nie miała o kogo dbać, kim się zająć, a chociaż sprzyjało to skupieniu się w pracy, przecież stwarzało dokuczliwą pustkę. Zachwyty, jakiego teraz doznawała, w niepojęty sposób łączył się z tęsknotą za miłosnym uniesieniem i budził w sercu miły niepokój. Zatracały się proporcje rzeczywistości, wszystko stawało się możliwe, jak w marzeniu sennym, kiedy zaczynamy fruwać.

Mircza zdawał się nie domyślać niczego. Prowadził wóz spokojnie, bez zbytniego pośpiechu, ale też nie zwalniając poniżej siedemdziesiątki.

— Nie mamy, niestety, czasu na zwiedzanie miasta — stwierdził. —

Wpadniemy tylko do muzeum. Przedtem jednak chciałbym poprosić panią o pomoc w zakupach. Muszę zdobyć porządne, sportowe buty i wiatrówkę, mniej więcej na pani rozmiar. Zechce pani przymierzyć?

— Oczywiście! — uśmiechnęła się Sylwia, chociaż uznała ten pomysł za nader niestosowny. Jeśli nie rozporządza się czasem na zwiedzenie miasta, to po co robić sprawunki, które z większym powodzeniem można załatwić w Bukareszcie? Chyba że chce się sprawić niespodziankę jakiejś kobiecie. Ale komu? Żonie? Córce? Poczowała się odrobinę zazdrosna o to, że w jej obecności profesor wciąż pamięta o tej innej, bliskiej sobie istocie, jednocześnie jednak bawiła ją myśl o robieniu zakupów w towarzystwie mężczyzny, którego brano by zapewne za jej męża.

Sklep z obuwem mieścił się w starej barokowej kamieniczce i zdawał się należeć do dawno minionej epoki.

207

W przestronnym pomieszczeniu przebywało zaledwie kilka klientek, obsługiwanych z całym namaszczeniem przez personel sklepowy. Profesor poprosił siwego sprzedawcę o solidne półbuciki. Sylwia przymierzyła je siedząc na pluszowej kanapie i opierając nogę na specjalnym stołku. Stary subiekt przyklęknął na czerwonym dywanie, by jej zawiązać sznurowadła. Poczowała się tym zażenowana, gdyż odwykła od podobnych uprzejmości kupując w zatłoczonych magazynach, gdzie klientki wrywały sobie towar, a sprzedawczynie żądały złożenia kaucji przed podaniem całej pary do zmierzenia. Profesor wdał się z ekspedientem w dłuższą rozmowę na temat gatunku skóry i fasonu, przy czym Sylwia usłyszała, że ma ładne nogi, że znakomicie będzie wyglądała na niskich obcasach, że ten fason

obuwia nie wychodzi z mody, jest najwygodniejszy i najzdrowszy, słowem, że kupując te półbuciki robi doskonały interes. Nie próbowała wyjaśnić, iż nie są one przeznaczone dla niej.

Zakup wiatrówki nastęczył więcej trudności, gdyż profesor okazał się nader wybredny i prosił sprzedawczynię o pokazywanie coraz to innych fasonów i kolorów. Czyniła to z odętymi wargami, spoglądając na Sylwię wzrokiem bazyliuszka. Mircza udawał, że tego nie spostrzega, i dokładnie sprawdzał nie tylko linię kroju, lecz i wykończenie każdej wiatrówki. Ekspedientka traciła cierpliwość, coraz niechętniej podając towar. Wyglądała na zmęczoną, była blada, oczy miała podkrążone. Sylwia dawno by już zrezygnowała z poszukiwań i zdecydowała się na kupno byle czego. Wymagania profesora budziły w niej przekorne poczucie solidarności ze sprzedawczynią, kobiecej solidarności przeciwko egoizmowi mężczyzn, aczkolwiek jego grzeczny upór budził w niej pewien respekt i odrobinę zazdrości, sama bowiem nie umiała dbać o swoje interesy i zazwy-

108

czaj wracała do domu bardzo niezadowolona z zakupów. Pomyślała mimochodem, że dobrze byłoby mieć takiego towarzysza życia, opokę, na której buduje się codzienną egzystencję. „Stopień człowieczeństwa mężczyzny sprawdza się na płaszczyźnie jego stosunków z kobietą”. Czy Mircza potrafiłby stać się w życiu prawdziwym partnerem? A gdyby nawet, czy nie słuszniej pozostać zawsze wolną i niezaangażowaną? Samotność należy zachować nie jako luksus, lecz jako stan najkonieczniejszy. Umieć obronić siebie przed zakusami bliźnich, z których każdy pożera czas i absorbuje sobą. Wyłączyć się ze spraw niepotrzebnych, uchronić ducha przed zasadzkami nieustannych zajęć. Nie wolno być zabieganą wewnątrz siebie. Bierzmy przykład z profesora: nie śpieszy się, nie denerwuje, wie, czego chce, i przy tym obstaje. Zdecydował się wreszcie na wiatrówkę jasnoniebieską z białym, plastikowym suwakiem. Sprzedawczyni skwitowała jego wybór uśmiechem, życząc, by Sylwia nosiła ją zdrowo. Ta grzecznościowa formułka, powtarzana w Rumunii przy każdym zakupie odzieży, sprawiła Sylwii przykrość, bowiem wiatrówka, która naprawdę jej się podobała, przeznaczona była nie dla niej. Co prawda, Sylwia mogłaby kupić dla siebie podobną, lecz nie chciała tego robić teraz, chociaż czuła, że długo będzie żałować etracoinej okazji. Wierzyła święcie, iż wiatrówka jest jej po prostu niezbędna, w istocie wszakże szło o co innego: o to wspólne kupowanie, o troskliwość ze strony mężczyzny i uprzedzanie jej życzeń.

Była zawiedziona jak dziecko, które proszą, by wybrało zabawkę dla rówieśnika. Co gorsza, odniosła wrażenie, iż profesor domyśla się jej uczuć, i to do reszty popsuło jej humor.

— Zajdziemy teraz do muzeum — oznajmił zostawiając paczki w samochodzie. — Niech pani przyjrzy się temu pałacowi, w którym widać elementy baroku, ro-

109

koka i klasycyzmu. Bardzo austriacki, prawda? Mógłby z powodzeniem znajdować się w Wiedniu. Zbudowano go w osiemnastym wieku dla ulubieńca Marii Teresy, barona Brukenthala, gubernatora Siedmiogrodu. To Brukenthal zgromadził wspaniałą kolekcję obrazów, zwłaszcza flamandzkich i niemieckich, która zapoczątkowała zbiory tego muzeum. Urządzał w rokokowych komnatach koncerty muzyki symfonicznej i kameralnej, był bowiem wielkim miłośnikiem sztuki, co nie przeszkodziło mu z całym okrucieństwem stłumić chłopskiego powstania. W muzeum jest obecnie piękny dział archeologii, ciekawy zbiór etnograficzny... Ale ja chciałbym zwrócić uwagę pani tylko na dwa zjawiska. Chciałbym cofnąć się do źródeł czasu, jak Carpentier. Od tej austriackiej fasady aż do pierwotnych dackich sanktuariów...

Przeszli pośpiesznie obok prehistorycznych wykopalisk. Profesor zatrzymał się dopiero przy kilku pięknych, glinianych naczyniach.

— Niech pani zapamięta ich kształt i ornamenty. Mnie samego zdumiewa fakt, że powtarzają się one tak dokładnie po dwóch tysiącletniach we współczesnej ceramice z tych okolic. Proszę, niech pani porówna.

— I to właśnie chciał mi pan pokazać?

— Nie tylko. Przejdźmy teraz do sali, w której są malowidła na szkle.

— Ikony?

— Przeważnie. Ale i wizerunki zbójników.

— O! Jakby wprost z Zakopanego! W tamtejszym muzeum widziałam bardzo podobne.

— Po drugiej stronie tych samych Karpat. —• Nie całkiem tych samych.

— Przez całe wieki odbywały się na tych terenach migracje ludności. W obrębie monarchii austrowęgier-skiej były one szczególnie łatwe. Sztuka ludowa po-

110

twierdza wzajemne przenikanie się wpływów, tożsamość rozmaitych wątków... Z tego punktu widzenia wszelkie nacjonalizmy wydają się wręcz śmieszne. W pogranicznych osadach każdy Polak ma w sobie coś z Węgra lub Rumuna, zaś każdy Rumun ma naleciałości słowiańskie.

— Trochę pan przesadza.

— Tylko odrobinę. Nie muszę pani tłumaczyć, że rozważając rzecz ze stanowiska biologii, należy uznać te migracje za nader korzystne, co zresztą potwierdza doświadczenie. Mieszkańcy Podkarpacia wyróżniają się urodą, inteligencją, zdolnościami artystycznymi, fantazją. I wasi, i nasi górale różnią się też od ludzi z nizin.

— Może pod wpływem innych warunków życia, przyrody, klimatu...

— Trzeba to wszystko rozpatrywać łącznie, pani Sylwio. I poszukiwać wielkich syntez. Tylko wówczas etnologia spełni swe prawdziwe zadanie. Tymczasem jednak chodźmy na obiad. Mamy jeszcze szmat drogi do Alby Julii. Bardzo lubię to miasto. Skupiają się w nim najważniejsze elementy dziejów tej krainy. Można jak po schodach zstępować do źródeł czasu. To miasto powinno zainteresować i panią, bo pełno w nim śladów polskości, bardzo nawet dramatycznych.

Z rosnącym zapalem mówił o tym przy obiedzie i później, podczas jazdy, nie zważając na wymowne milczenie Sylwii, w której nasilała się przekora. Nigdy nie uważała historii za prawdziwą naukę, jako że nikt nie zdoła ogarnąć całej tej płataniny faktów, niedokładnie sprawdzonych, czasem mylnie podanych, często umyślnie przekreślonych, zawsze stanowiących jedynie materiał do ryzykownych hipotez i koncepcji. To, co znajdowała w traktatach i podręcznikach, wydawało się jej najwyżej szkieletem rzeczywistości, bladym cieniem prawdziwego, zawilego życia. Ilekroć próbowała wgryźć się w jakikolwiek historyczny problem, traciła głowę

111

z nadmiaru informacji, zawodziła ją pamięć i wyobraźnia, czuła się bezsilna wobec niebotycznej piramidy źródeł, przekazów, interpretacji. Teraz jednak historia odpychała ją dlatego, że sprowadzała rozmowę z profesorem na płaszczyznę nieoso-bistą, zwiększała dystans. Sylwia wolałaby już z dwojga złego milczenie, pozwalające jej na snucie miłych myśli. Gadulstwo Mirczy zaczynało ją drażnić. Miała mu za złe, że popisuje się swą wiedzą, że przesadnie dba o swą powierzchowność, skoro włożył na tę wycieczkę szare, flanelowe spodnie i błękitny sweter z jagnięcej wełny, zamiast po staremu nosić swoje śmieszne pumpki i kraciastą koszulę. Elegancja i nadmiar dobrych manier także stanowiły przeszkodę w serdecznym, dobrym porozumieniu, chociaż Sylwia mogła je uznać za chęć pozyskania jej względów. Niezadowolenie z siebie i z profesora przyprawiło ją o tępy ból głowy.

Mircza mówił teraz o wykopaliskach archeologicznych.

— Tuż za rogatkami Alby Julii znaleźliśmy w 1959 roku ślady wielkiej i potężnej warowni z okresu żelaza. W następnym roku na wzniesieniu Piatra Craivii, o dziesięć kilometrów za miastem, natrafiliśmy na pozostałości osady dackiej Apoulon, opisaną już przez Ptolemeusza. Doceniając znaczenie strategiczne tego miejsca, Rzymianie założyli tutaj obóz wojskowy. Obok niego powstało miasto Apulum, będące w drugim wieku polityczną i administracyjną stolicą Dacji rzymskiej. W dziewiątym i dziesiątym wieku nazywano je Biało-grodem. Ludność tego miasta mężnie odpierała napaści Węgrów, którzy je wreszcie zdobyli. W dwunastym wieku mieściła się tutaj siedziba biskupstwa rzymskokatolickiego...

Sylwia puszczała mimo uszu wywody profesora. Jechali teraz wśród winnic i pól kukurydzy, na których

222

pracowali mężczyźni i kobiety w jednakowych, wielkich kapeluszach słomianych. Na szosie spotykało się wyplatane półkoszki, zaprężone w konie lub woły, oraz stada bawolic kroczących z zabawną powagą.

Nieliczne osiedla składały się z domostw otoczonych wysokim murem.

— Czy wiadomo pani — spytał profesor — że matką króla Węgier, Jana Zapolyi, była Piastówna, Jadwiga cieszyńska? Natomiast jego siostra, piękna Barbara, poślubiła króla Zygmunta, zwanego później Starym. Podobno bardzo się kochali. Niestety, - Barbara zmarła w połogu po trzech latach małżeńskiego pożycia, Zygmunt zaś pojął za żonę sławną Bonę Sforza. Z kolei córka ich, Izabela, została w 1539 roku żoną Jana Zapolyi, który zmarł na dwa tygodnie przed przyjściem na świat syna, Jana Zygmunta. W jego to imieniu rządy objęła Izabela Jagiellonka, której doradcą stał się kardynał Marti-nuzzi. Powinna pani była o nim słyszeć, bo znaczną część życia spędził w Polsce.

Sylwia uśmiechnęła się bez słowa, rozbawiona tym, że profesor uważał znajomość historii za niezbędną, niezależnie od zawodu i zainteresowań rozmówcy. Było jednak coś wzruszającego w tych opowiadaniach, przypominających rodzinne plotki.

— Martinuzzi, syn Chorwata i Włoszki, urodził się w niedostępnych górach, ale jako ośmioletni chłopak musiał opuścić strony rodzinne. Przebywał pewien czas na dworze księżny Jadwigi cieszyńskiej. Później wstąpił do klasztoru Paulinów w Częstochowie i zastał jego przeorem. Kiedy król Jan Zapolya schronił się na wygnaniu w Tarnowie, przypomniał sobie o towarzyszu dziecięcych zabaw i wezwał go do siebie. Przeor wspomógł go pożyczką w kwocie dziesięciu tysięcy dukatów, za co

Zapolya odwdzieczył mu się po powrocie na Węgry. Martinuzzi stał się jego doradcą, powiernikiem

» — Trwaj, chwilo!

223

i przyjacielem. Jemu też powierzył Zapolya opiekę nad Izabelą i imającym się narodzić dzieckiem.

— Ile lat miała wówczas Jagiellonka?

— Dwadzieścia. Lecz niechaj pani nie przypuszcza, że będzie teraz mowa o romansach. Córka Bony przede wszystkim chciała rządzić.

— Martinuzzi także.

— On jednak miał wyższe cele i rozleglej sze horyzonty, ją ponosiła tylko nieokiełznana ambicja. Martinuzzi pragnął zjednoczyć Węgry. W tym celu szukał porozumienia to z Habsburgami, to z sułtanem. Izabela podejrzewała, iż działa na jej zgubę i pragnie sam objąć władzę. Kiedy Ferdynand przysłał wojska do Siedmiogrodu, musiała w imieniu syna zrzec się korony węgierskiej, w zamian za co dostała księstwo raciborskie i opolskie. Pełna gniewu i żalu wyruszyła na Śląsk.

— Martinuzzi jednak pozostał w Albie Julii?

— Owszem, ale miał się rychło przekonać, że nie można ufać Habsburgom. Wprawdzie osiągnął cel, bowiem na czas pewien ziemie węgierskie zjednoczyły się pod berłem Ferdynanda, lecz nie było ich komu bronić przed napaścią Turków. Siedmiotysięczna armia o-kupacyjna generała Castaldo nie mogła się mierzyć z potęgą turecką. Martinuzzi na czele węgierskich wojsk sam podjął walkę z napastnikiem, po czym zaczął z nim pertraktacje. Dowiedziawszy się o nich, Castaldo poinformował Ferdynanda, że kardynał wykorzystał interwencję austriacką jedynie po to, by oddalić Izabelę i jej syna, później zaś objąć władzę w Siedmiogrodzie. Naślano -morderców na kardynała. Jeden ze zbirów obciął mu uszy i zawiózł je Ferdynandowi. Zwłoki Martinuzziego przez siedemdziesiąt dni leżały nie pogrzebane na miejscu zbrodni. Papież zrazu rzucił klątwę na sprawców mordu, później jednak, zwiedziony fałszywą relacją, wstrzymał postępowanie przeciwko zabójcom.

114

Zwłoki Martinuzziego spoczęły w białogrodzkiej katedrze.

Sympatia, z jaką profesor mówił o Martinuzzim, dała Sylwii wiele do myślenia. Zdawać by się mogło, że kardynał walczący o zjednoczenie Węgier, może nawet wbrew interesom Rumunów zamieszkujących tę połąć kraju, nie zasłużył w ich oczach na uznanie, tym bardziej iż nie wiadomo, w jakiej mierze służył ogólnej sprawie, w jakiej zaś kierowała

nim żądza władzy. Na pewno prowadził politykę wykrętną i kłamliwą, próbując wyciągnąć korzyść z habsbursko-tureckiej rywalizacji. Czyżby więc Mircza podziwiał w nim jedynie zręczność, siłę charakteru i nieugiętą wolę zwycięstwa? Czyżby i on był pod urokiem tego silnego człowieka?

O Izabeli wszakże wyrażał się z przekąsem, odmawiając jej talentów i koncepcji politycznych, może dlatego, że była kobietą, co gorsza, uwikłaną w sieć interesów dynastycznych. Myślała kategoriami Jagiellonów i Za-polyów, kwestie narodowe miały dla niej znikome znaczenie. Pół-Polka, pół-Włoszka, jakież mogła mieć poczucie więzi z ludem, którym chciała władać i który wówczas dopiero sam zaczynał przejawiać świadomość narodową? Sylwia odruchowo stawiała w obronie tej kobiety, powodowana raczej przekorą niż solidarnością płci. Długie wywody profesora budziły w niej i sprzeciw, i znudzenie. Wyobraziła sobie, jak uciążliwa byłaby dla niej jego obecność, gdyby wypadło im dłużej współżyć ze sobą.

Mimo upływu lat miała jeszcze w pamięci te długie, niepotrzebne rozmowy, jakie niegdyś prowadziła z mężem podczas kolacji, te utracone godziny, które można było wykorzystać na lekturę lub rozmyślenia o sprawach bardziej ją zajmujących. Przypomniała też sobie, z jakim wysiłkiem zmuszała się do wysłuchiwania codziennych opowiadań Asi o tym, co zdarzyło się w szko-

225

le. Zapewne, szczęśliwe współzycie składa się zawsze z obopólnych ustępstw i wyrzeczeń, Sylwia wszakże czuła się zazwyczaj stroną wykorzystywaną, zbyt łatwo rezygnującą z własnych przywilejów dla dobra lub kaprysów drugiej osoby, toteż samotność uważała za jedyną dla siebie szansę ocalenia.

— Jesienią 1556 roku Izabela powróciła do Siedmiogrodu, żeby wskrzesić królestwo węgierskie pod berłem Zapolyów — ciągnął niestrudzenie profesor. — Zdobyła władzę, jakiej od czasów Macieja Korwina nie miał żaden król węgierski. Ale sprawowanie tej władzy było niezmiernie trudne. W Siedmiogrodzie mieszkali różne nacje, Rumuni, Węgrzy, Sasi i Szeklerzy. Wyznawano różne religie. Magnaci sprzeciwiali się umocnieniu rządów królewskich. Miasta broniły zawzięcie swoich przywilejów. Szeklerscy kmiecie walczyli o swe swobody i majątki. Mnożyły się spiski, zdrady, intrygi. Królowa nie gardziła żadną bronią w rozgrywkach z przeciwnikami, ba! inspirowała nawet skrytobójstwa i mordy. Za jej namową pewien magnat węgierski zaprosił do siebie

podejrzanego o spiskowanie przyjaciela i kazał go porąbać na ćwierci. O dziwo, sejm nie potępił zabójcy, Izabela wzięła na siebie odpowiedzialność za to morderstwo.

— Nie zazdroszczę jej losu!

— Był wyjątkowo ciężki. Nie mogła liczyć na pomoc brata, króla Zygmunta Augusta. Nie dowierzała Habsburgom, drżała przed Turkami, obawiała się własnych poddanych. Zmarła w czterdziestym roku życia. Zobacz pani jej grobowiec w katedrze.

— Wszystkie pańskie opowieści kończą się tym refrenem. Mam wrażenie, że jedziemy na Święto Zmarłych.

— Podróż do źródeł czasu musi odbywać się wśród grobów.

116

— Niewesoła trasa.

— Pomyślałem też o rozrywkach. Ponieważ muszę załatwić pewne sprawy w muzeum, dam pani młodego i przystojnego przewodnika po Albie Julii. To najinteligentniejszy z moich asystentów. Prowadzi badania archeologiczne w pobliżu miasta, jest wszakże z zamiłowania historykiem i ma znakomitą pamięć. Uprzedziłem go telefonicznie, żeby oczekiwał nas w hotelu. Pokaże pani katedrę i zabytki.

— Wolałabym je oglądać w pana towarzystwie.

— Nie jestem tego wcale pewien. Zresztą spotkamy się wieczorem.

— W restauracji?

— W takiej starej, austriackiej restauracji z pluszowymi kotarami, gdzie grywają wiedeńskie walce i tanga sprzed lat czterdziestu.

— Myśli pan, że to będzie zabawne?

— Wszystko zależy od pani nastroju. Jeśli da się pani ponieść przekorze, zepsuje pani cały wieczór.

Zamilkła jak skarcona uczennica. Mircza z uśmiechem dotknął jej policzka.

— Proszę się nie dąsać, Sylwio. Proszę mnie trochę lubić.

Cofnęła się z niechęcią. Drażniło ją coraz bardziej zachowanie profesora.

— Większość konfliktów między ludźmi wynika po prostu z tego, że przeświadczeni o słuszności własnego postępowania i stylu życia, ciskamy gromy na tych, którzy postępują inaczej. Im drobniejsze, mniej znaczące bywają przyczyny zatargów, tym gwałtowniej ludzie reagują. Byłem niedawno świadkiem takiej sceny w pociągu: obca kobieta zwróciła się do innej podróżnej z wyrzutem: „Jak pani może dopuścić, żeby dziecko jadło lewą ręką? Trzeba je było karać, kiedy było małe!

117

Nauczyliby się jeść jak wszyscy! To wstyd być mańkutem!"

— Dlaczego?

— Właśnie, dlaczego? Argument, że wszyscy postępują inaczej, brzmi druzgoczaco, nie dopuszcza wątpliwości, czy aby ci wszyscy mają rację. A gdyby ją nawet mieli, czy i wówczas nie należałoby się zdobyć na więcej wyrozumiałości dla bliźnich? Nie może być dobrego współżycia bez wzajemnej tolerancji.

— Dziękuję za pouczenie.

Mircza westchnął. W milczeniu dojechali do hotelu. Młody, szczupły brunet w okularach czekał już, skracając sobie czas lekturą. Zerwał się na widok profesora i podszedł do niego drobnym kroczeniem. Mircza przedstawił go Sylwia:

— Pan Aurel Petrescu, nadzieja rumuńskiej archeologii. Cudowna pamięć, dociekliwość, erudycja...

— Zbyt pan dla mnie łaskaw, mistrzu.

Sylwia omal nie parsknęła śmiechem, słysząc tę wymianę pochlebstw i grzeczności. Mistrzu! Że też można jeszcze tak się zwracać do kogokolwiek!

Profesor poprosił Sylwię o paszport i wręczył go recepcjonistce. Z kluczem w ręku powrócił do swej towarzyszki.

— Wystarczy pani pół godziny, żeby się odświeżyć? Aurel poczeka ma panią w hallu.

— Świetnie to pan zorganizował — stwierdziła z przekąsem. — ■ Zejdę za pół godziny.

— Proszę pamiętać, że spotkamy się tutaj o ósmej, żeby pójść na kolację.

— I posłuchać wiedeńskich walców.

— Tak, droga pani.

Skłonił się z zabawną powagą i wskazał pokojówce torbę Sylwii.

Dziewczyna zaprowadziła cudzoziemkę na pierwsze piętro. Otworzyła drzwi, podniosła żaluzje w o-

228

knach, sprawdziła, czy ręczniki wiszą w łazience. Sylwia odprawiła ją niecierpliwie. Chciała bodaj na chwilę znaleźć się w samotności.

Ciekawe, pomyślała, czy ci dwaj panowie podziela się teraz uwagami na mój temat. Zdaje się, że to Choro-mański pisał, iż mężczyźni lubują się w kompromitowaniu kobiet. Mężczyzna może uchodzić za dżentelmena, ^ecz nie przegapi żadnej sposobności, żeby zaślinionymi ustami obgadać swoją znajomą, swoją ewentualną damę serca, lub też, tak samo zaśliniony, wysłuchać zwierzeń kolegi aa podobny temat. Rozmowę taką

wzbogacają szczególnie łechcącej natury. „Jest to dość brudny fakt, ale brud ma w ogóle to do siebie, że jakoś rozkurcza ludzką naturę. Człowiek w brudzie czuje się jak u siebie w domu. Brud poniekąd przynosi odprężenie. Prawdopodobnie natury moralnej.”

Spostrzegła czerwone róże w porcelanowym wazonie, stojącym na nocnej szafce. Nie potrzebowała czytać przyczepionego do nich bileciku, żeby odgadnąć, kto je tutaj kazał postawić. Zawstydzila się własnych myśli, zrzuciła sukienkę i weszła pod natrysk. Rozkoszna świeżość wody, zapach mydła, połyskliwa biel glazury, dotyk miękkiego ręcznika, wszystko to razem przywróciło jej dobre samopoczucie. Przyłapała się na tym, że nuci piosenkę z lat studenckich. Wkładała właśnie lekki szlafrok, kiedy zastukano do drzwi. Pokojówka przyniosła sok grejpfrutowy z lodem. — Coś wspaniałego! — wykrzyknęła Sylwia. — ■ Tego mi tylko brakowało do szczęścia!

Pokojówka zmierzyła ją chłodnym wzrokiem i uśmiechnęła się powściągliwie. Była dorodna, pulchna, jasnowłosa i rumiana.

Sylwia odwróciła się ku oknu. Posłyszała za sobą ciche zamknięcie drzwi.

129
Wyglupiłam się, pomyślała. Mniejsza o to! Mam co najmniej kwadrans do spotkania z tym nudziarzem.

Wyciągnęła się na łóżku. Powróciła myślą do rozmowy z profesorem. Od wieków przecież ludzie zadają sobie pytanie, jak wyjść poza własne odczucia, jak osiągnąć porozumienie z innymi, jak dostosować się do otoczenia. Poczucie odrębności budzi w człowieku grozę, którą tylko silny związek z grupą pozwala przetrwać. Jeśli jest się takim samym jak inni, jeśli podziela się powszechne wzruszenia i poglądy, jeśli w stroju i upodobaniach człowiek nie różni się od grupy, na której mu zależy — ■ wówczas unika przerażającego zagubienia. Tym wytłumaczyć można hołdowanie modzie, przyjmowanie określonego typu muzyki, rozrywki, zachowania. Wszelako jedność osiągnięta przez dostosowanie się nie wszystkim wystarcza. Stadny konformizm często ponosi klęskę. Jedynie samotność z wyboru nigdy nie zawodzi.

Ostatnie zdanie powiedziała głośno, jakby je chciała sobie wmówić, gdyż nie była dziś w pełni przekonana o jego słuszności. Ubrała się i lekkim krokiem zbiegła do hallu. Pan Aurel Petrescu wstał z fotela, poprawił okulary. Stwierdziła mimochodem, że mógłby być jej synem, i tym bardziej starała się prowadzić rozmowę po koleżeńsku, aby nie odczuł zbyt różnicy wieku. Po kilku zdaniach zorientowała się jednak, że młody naukowiec widzi w niej jedynie czcigodną znajomą profesora i

pragnie jak najlepiej wywiązać się z obowiązków, przy czym wiek i wygląd Sylwii były mu całkiem obojętne.

— Pani przyjechała z Polski? — zapytał. — Na pewno widziała pani to największe odkrycie, jakim szczycą się polscy archeologowie?

— Freski z Faras?

— Ależ nie! Mam na myśli Świętowita z wyspy Wo-

120
lin. Posążek bóstwa pochodzący z dziewiątego wieku. Znalezienie go potwierdza wcześniejsze hipotezy o wierzeniach religijnych Słowian. Sylwia zerknęła na swego towarzysza. Szczupły, trochę zasuszony mimo młodego wieku, śmiertelnie poważny i zasadniczy, zmierzał prostą drogą do uniwersyteckiej kariery, odrzucając z pogardą wszystko, co nie było do niej przydatne. Na pewno nie rozpraszał się na zajęcia nie mające związku z przedmiotem jego studiów. Nigdy nie zarwał nocy, aby skończyć czytanie powieści, nie zaniechał obowiązków dla romantycznej eskapady. Wyglądał na sumiennego, wręcz wzorowego pracownika, miał wszystkie zalety, które Sylwia ceniła u swoich podwładnych, teraz jednak wydawał jej się największym w świecie nudziarzem i budził nieuzasadnioną niechęć.

— Pójdziemy najpierw do twierdzy — oznajmił z powagą. — W osiemnastym wieku Austriacy otoczyli stare miasto systemem fortyfikacji, tak że i katedra, i pałace magnackie znalazły się w obrębie murów. Nad bramą wiodącą do cytadeli od strony miasta znajduje się "zdebka, w której więziono przywódców powstania chłopskiego, Horię, Closzkę i Criszana.

— Zdaje mi się, że oświecony absolutyzm habsburki sroższy był dla mieszkańców Siedmiogrodu niż okupacja turecka.

— W każdym razie kiedy cesarzewicz Józef, syn Mali Teresy, odbywał podróż po tych ziemiach, pragnąc

oznać życie swych poddanych, poprzedzał go wysłannik woru wiedeńskiego i pilnował, aby usunięto z drogi włoki powieszonych, wbitych na pal i łamanych kołem udzi. Cesarzowa chciała oszczędzić następcy tronu krutnej prawdy o losie uciskanych chłopów.

— Mimo to Horia dotarł przed oblicze Józefa.

— Nawet czterokrotnie! Przemierzał pieszo wielki

121

szmat drogi, aby poprosić „dobrego cesarza" o przywrócenie góralom tych przywilejów, którymi, w przeciwieństwie do reszty chłopstwa, cieszyli się przez długie lata, zanim nałożono -na nich pańszczyznę. Prośby jego zresztą były skromne. Po czwartej wyprawie do Wiednia Baria oświadczył

góralom, że z upoważnienia cesarza ma ich poprowadzić przeciwko węgierskiej szlachcie i pomścić na niej krzywdy. Na dowód prawdziwości swych słów pokazywał ułomek złota, otrzymany rzekomo od cesarza. Pozyskał zaufanie współbraci. Przy boku jego stanęli dwaj inni chłopci, Closzka i Criszan — ten ostatni obdarzony niezwykłym talentem organizacyjnym i wojskowym. Na wielkim wiecu w Mesteacan powzięto ostateczną decyzję. Przeszło sześciuset chłopów ruszyło w kierunku Alby Julii, po drodze przyłączali się do nich inni.

— Wówczas gubernator Siedmiogrodu, baron Bru-kenthal, wydał rozkaz uśmierzenia buntu.

— Tak, ale dowódca wojsk austriackich, generał Preis, miał z gubernatorem jakieś porachunki, chciał go zdyskredytować w oczach dworu wiedeńskiego. Może też było mu na rękę, żeby powstańcy zalali sadła za skórę węgierskim magnatom. Dopiero gdy szlachta zaczęła organizować samoobronę, wojska austriackie ruszyły do natarcia. Złe uzbrojeni chłopci po kilku potyczkach musieli zrezygnować z walki. Przywódcy powstania schronili się w górach. Za głowę Horii wyznaczono nagrodę, rychło też znalazł się Judasz, żądny trzystu dukatów. Przywódcy chłopcy trafili do więzienia. Criszan powiesił się w celi, Horię i Closzkę łamano kołem na oczach tłumu spędzonego siłą w dniu 28 lutego 1785 roku. Jednakże w parę miesięcy później cesarz zniósł pańszczyznę. Widzi pani ten obelisk opodal bramy? Zbudowano go w roku 1937 dla uczczenia uczestników chłopskiego powstania.

122

Sylwia spojrzała z grzeczności; pomnik mniej ją interesował niż barokowe detale ozdobnej bramy, kwiaty i tarcze herbowe, które tej austriackiej cytadeli miały nadać pozór budowli dworskiej, zapewniającej spokojne i szczęśliwe życie jej mieszkańcom. W architekturze wszakże nie intencja się liczy, lecz piękno formy, choćby nawet kłamliwe, przesłaniające tragiczną rzeczywistość. W obrębie murów fortecznych wznosiły się pałace i kościoły, rosły drzewa, z których wiele pamiętać mogło jeszcze panowanie Zapolyów.

— Dwóje książęcy w Albie Julii przypominał miasta włoskie — objaśniał pan Petrescu. — Izabela otaczała się Włochami. Z nich rekrutowali się muzycy, architekci, dowódcy gwardii pałacowej, dworacy. Wywołało to sprzeciw posłów siedmogrodzkich i przyczyniło się do spisków niezadowolonej szlachty. Znacomity dziej opis Andrzej Veress uważał, że „la vita di questa e vero romanzo, intrecciato di episodi, di aventure, di scene drammatiche e di figure allegoriche”. Współczesny Izabeli

Wenecjanin Daniel Barbaro napisał dramat o-snuty na jej losach.

— Nie sądzi pan — przerwała Sylwia — że nad córkami Bony Sforzy zaciążyło jakieś fatum? Katarzyna, wydana za męża do Szwecji, spędziła kilka lat w więzieniu i zaznała wielu krzywd. Anna, poślubiona Batoremu, dożyła wprawdzie sędziwego wieku, lecz trudno w jej położeniu nazwać tę długowieczność darem losu.

— Fatum? — powtórzył młody naukowiec z odrobiną ironii. — Raczej prawidłowość historyczna. Małżeństwa z wyrachowania, walka o władzę, przywiązanie do dóbr materialnych... W tym nie ma miejsca na szczęście osobiste, a chociażby tylko na spokój. Doświadczył tego również syn Jagiellonki, Jan Zygmunt Zapolya. Świetnie wychowany, przesiąknięty kulturą włoską, lepiej znał się na sztuce niż na a-ządzeniu krajem, biegłej

123
władał językiem włoskim niż węgierskim czy rumuńskim. Byłby zapewne szczęśliwym książęciem, gdyby nie musiał stale drzeć o zachowanie władzy. I on najchętniej otaczał się Włochami. Nad jego zdrowiem czuwał Blandrata, późniejszy lekarz króla Stefana Batorego.

— Ten arianin, przyjaciel Grzegorza Pawła z Brzezina?

— Ten sam. Za jego to sprawą sejm siedmiogrodzki uznał w 1568 roku arianizm za czwarte — obok katolicyzmu, luteranizmu i kalwinizmu — równouprawnione wyznanie w księstwie. Blandrata również przyczynił się do elekcji Stefana Batorego, gdyż rozwinął wśród arian polskich propagandę przedwyborczą. Od 1585 roku znowu przebywał w Siedmiogrodzie, tym razem na dworze bratanka króla Stefana, młodego Zygmunta Batorego. Kola Włocha była jednak coraz trudniejsza, gdyż książę, gorliwy katolik, patrzył niechętnym okiem na ariańskiego działacza. Zginął on, jak się zdaje, z rąk krewnego, który nie mógł doczekać się spadku.

— Czy nikt w tym mieście nie umarł własną śmiercią?

— W szesnastym wieku niewielu wybitnych ludzi dożyło tu spokojnie końca swoich dni. Wojny, spiski, intrygi przecinały często nić żywota. Bogobojny wychowanek jezuitów, książę Zygmunt Batory nie wahał się zgładzić własnych stryjów pod pozorem, że spiskowali przeciwko niemu. Pomimo to papież udzielił mu poparcia, dwór austriacki dał mu za żonę Marię Krystynę, siostrę królowej polskiej Anny, cesarz Rudolf wspomagał go pieniędzmi, król Filip II przesłał mu Order Złotego Runa.

— I po cóż to wszystko?

— ■ Spodziewano się, że młodziutki książę, tak jak niegdyś Władysław Warneńczyk, poprowadzi krucjatę

przeciw Turkom. Ale Zygmunt nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Zabrakło mu zdolności wojskowych i odwagi. Okazał się psychopata, zbrodźcą seksualnym i okrutnikiem. Jego dworzanie zanotowali, że przypatrywał się z lubością egzekucjom. Nie oszczędził najbliższego doradcy, kanclerza Josiki. Zwycięstwa nad Turkami odnosił w tym czasie Michał Waleczny.

— Za pieniądze cesarza Rudolfa.

— Bez pieniędzy nie można prowadzić wojny. Michał jednak był znakomitym wodzem i nieustraszonym człowiekiem. Kiedy Zygmunt Batory, obawiając się natarcia tureckiego, scedował Siedmiogród na kardynała Andrzeja, Michał pokonał jego wojska pod Sibiu, odbył uroczysty wjazd do Alby Julii, po czym zjednoczył trzy księstwa rumuńskie: Siedmiogród, Mołdawię i Wołoszczyznę.

— Zapłacił za to głową.

— Ale wytyczył drogę przyszłym pokoleniom. W 1918 roku właśnie tutaj zebrało się sto tysięcy Siedmiogrodzian, domagających się przyłączenia tych ziem do Rumunii.

Powiedział to podniosłym tonem, jak na oficjalnej akademii, zauważywszy jednak ironiczny błysk w oczach Sylwii, czym prędzej zmienił temat.

- Niechaj pani przyjrzy się tej katedrze pod wezwaniem Świętego Michała. Prawda, że przypomina do złudzenia gotyckie katedry francuskie? Zbudowali ją trzynastym wieku cystersi na miejscu wcześniejszej bazyliki romańskiej, zburzonej podczas najazdu Tatarów. Obok znajduje się kaplica Lazo, najpiękniejszy

Siedmiogrodzie zabytek wczesnego renesansu. Natomiast część katedralnej absydy i krypty nosi wyraźne cechy stylu romańskiego.

- Schodząc do podziemi katedry znaleźlibyśmy się zatem w dwunastym stuleciu?

— Gdyby pani zechciała jutro zwiedzić teren naszych prac badawczych, ujrzałaby pani znacznie wcześniejsze pokłady historii.

— Niech mi pan powie — Sylwia zatrzymała się raptownie — czy naprawdę zajmuje pana to grzebanie w ziemi?

Aurel Petrescu zbaraniał na takie dictum. Zdjął okulary i przecierając je w zakłopotaniu wymamrotał:

— Nie rozumiem, o co pani chodzi. Proszę jeszcze raz sformułować pytanie.

Zmierzyła go drwiącym wzrokiem i machnęła ręką.

— Nieważne! Wejdźmy do katedry.

Zrobiła kilka szybkich kroków i nagle zaczepiła butem o wyrwę w chodniku. Kiedy szarpnęła nogą, u-rwany obcas na dobre ugrzązł w szczelinie. Schyliła się, żeby go podnieść. Prostując grzbiet dostrzegła przerażoną minę asystenta. Wybuchnęła śmiechem, co zmieszało go jeszcze bardziej.

— Przykro mi, lecz dziś nic już nie będzie z naszego zwiedzania — stwierdziła nie bez satysfakcji. — Muszę poszukać szewca. Gdzie tu jest najbliższy warsztat?

Aurel Petrescu stał osłupiały. Dopiero gdy ponowiła pytanie, skupił myśli i omijając wzrokiem miejsce fatalnego zdarzenia powiedział cicho:

— Zdaje się, że koło rynku. Zaprowadzę panią. Kuśtykała, jakby miała jedną nogę krótszą, i niosąc

w ręku nieszczęsny obcas zaśmiewała się w duchu z młodego naukowca, bardzo skonfundowanego z tej przyczyny, że musi towarzyszyć osobie tak ośmieszanej przez przypadek. Pech chciał, iż korzystając z sobotniego popołudnia ludzie wyroili się już na małomiejskie korso i spacerowali powoli, obserwując się bacznie nawzajem. Znajomi Aurela witali go szyderyczym uśmiechem i bez żenady oglądali się za Sylwią, radzi, że dostarczyła im tematu do żartów. Po każdym ukłonie pan Petrescu ma-
226

łał, kurczył się w sobie i ocierał czoło chusteczką złożoną jak naleśnik.

— Pozwoli pan, że wezmę pana pod rękę? — spytała Sylwia. — Bardzo mi niewygodnie iść bez obcasa.

Usłużnie podał jej ramię, lecz poczerwieniał i szedł jak na ścięcie. Sylwia umyślnie zwolniła kroku. Dobrnęli w końcu do warsztatu, który mieścił się w malutkiej, mrocznej klitce na uliczce przylegającej do rynku. Stary szewc, bladej i jakby opuchnięty, właśnie zamierzał zamknąć warsztat. Niechętnie uległ prośbie Sylwii, która odwołała się do świętych uczuć gościnności, przedstawiając się jako cudzoziemka, skazana przez niegodziwy przypadek na chodzenie boso do poniedziałku, jeśli szewc nie wybawi jej z kłopotu. Stary wreszcie się zgodził. Usiadła przy nim na krzeselku, czekając na reperację buta. Pan Petrescu znowu znalazł się w krępującym położeniu, toteż z uczuciem ulgi pożegnał Sylwią, gdy stwierdziła, że cudownie wypełnił swe zadanie i może spokojnie wrócić do domu, zostawiając ją samą w pobliżu hotelu, do którego na pewno trafi bez jego pomocy.

W ciszy, jaka nastąpiła po odejściu młodego naukowca, tykał głośno

drewniany zegar z kukułką. Szewc pochylił się nad niskim stoliczkiem, szukając w blaszanym pudełku stosownego ćwieka. Spod srebrzystego puchu prześwitywała mu łysa, woskowożółta czaszka, dziwnie masywna w porównaniu z wątym, przygarbionym tułowiem. Rysy twarzy miał igrube, nieforemne, nos zniekształcony brodawkową nartfślą, jedynie oczy zachowały błękitny, młodzieńczy blask, nie pozbawiony złośliwości. ----Od dawna mieszka pan w tym mieście? — zagadnęła Sylwia.

— Od urodzenia.

- I zawsze pan pracował w tym samym fachu?

127

i

— Od czternastego roku życia w tym samym miejscu, na tym samym stołku.

— Także podczas wojny?

— Tak.

To straszne, pomyślała Sylwia, spędzić całe życie w ciemnej klitce, w zaduchu skór i kleju, wśród zabłoconych podeszew i zakurzonych cholewek, latając i żelując, szyjąc i naprawiając te wszystkie rozklapane buciory, przepocone pantofle, wykoślawione kozaczki, rozlatujące się sandały. Nieszczęsne przedmioty jego usilnych zabiegów o przedłużenie istnienia stały w kilku rzędach na półce pod ciemną ścianą; wyglądały tak nędznie, że wyrzucenie ich na śmietnik wydawałoby się aktem litości, gdyby nie pewność, że muszą jeszcze długo służyć właścicielom. Na tle tej starzyzny szewc urastał, stawał się sojusznikiem i dobroczyńcą, praca jego zyskiwała uznanie zarówno w oczach klientów, jak i w jego osobistym mniemaniu, czuł się nie mniej potrzebny i ważny niż pan Aurel Petrescu na terenie wykopalisk. Cóż z tego, że zapewne nie miał pojęcia o losach Izabeli Jagiellonki oraz Zygmunta Batorego? Nawet współczesne mu zmiany rządów nie znajdowały przecież odbicia w jego bytowaniu. Sięgnął po wiszącą nad nim lampę z zielonym blaszanym abażurem i ściągnął ją niżej, tak że rzucała krąg mdłego światła na jego żylaste, przeżarte brudem dłonie. Trzymał w ustach ćwieki, które po kolei wbijał w obcas pantofla. Jeszcze parę uderzeń młotkiem, kilka muśnięć ścierką, żeby przywrócić pełnię blasku bucikowi.

— Gotowe.

— Ile jestem panu winna?

Wymienił śmiesznie małą kwotę. Sylwia dała mu dwa-kroć więcej, lecz mimo to była zażenowana, że tak tanio kupiła kwadrans czyjegoś życia po fajrancie.

■— Będę panu wdzięczna do grobowej deski.

— To krótko, jeśli moją śmierć miała pani na myśli. Bo ja już długo nie pociągnę.

— Ależ dlaczego?

— Nikt w mojej rodzinie długowieczny nie był.

— Teraz inne czasy...

— Trudniejsze. Człowiek prędzej się zużywa. I powiem pani prawdę: straciłem smak do życia. Nic mnie już nie bawi, niczego mi się nie chce, nikogo nie kocham jak w młodości. Sam sobie stałem się niemiły. Pora iść do trumny.

— Żartuje pan chyba.

—• Bynajmniej. Po siedemdziesiątce każdy dzień darowany. Ja mam siedemdziesiąt dwa.

— Nie wygląda pan na tyle. Machnął niechętnie dłonią.

— Starzy ludzie wyglądają po prostu staro. Kto by tam dochodził, ile mają lat. Swoje przeżyłem, swoją porcję chleba zjadłem. No to i czas zbierać się z tego świata.

— Odwiedzę pana, kiedy przyjadę następnym razem. ■—■ Jeśli pani przyjedzie...

Wyszła nierada z siebie, zawstydzona drobnymi kłamstewkami, dyktowanymi nie przez dobroć, lecz przez konwenanse, które zabraniają mówienia o rychłej śmierci. Nie mogła wyobrazić sobie, co myśli człowiek u schyłku życia. Czy jeszcze układa jakieś plany, czy zdaje sobie sprawę z tego, że gaśnie z każdym dniem? Jak można znieść świadomość tego nie buntując się i nie złorzecząc! Ale komu? Jeśli wierzy się w Boga, wyroki Jego trzeba znieść w pokorze. A jeśli się nie wierzy, złorzeczenie byłoby śmieszne.

Wśród niskich domów, na zakurzonych uliczkach panowało sobotnie ożywienie. Mężczyźni sączyli piwo w brudnych knajpkach, kobiety pośpiesznie robiły zaku-

9 — Trwaj, chwilo!

py w jarzyniarniach i sklepach z nabiałem. Zapachy świeżego chleba, wędnącej pietruszki i estragonu, piwa i kiszonych ogórków mieszały się ze smakowitą wonią czosnkowanych kiełbasek, które pieczono na rusztach pod gołym niebem. Przybywało spacerujących, zwłaszcza młodzieży, spore grupki wystawały przed kioskiem z lodami, tłoczno było w kafejkach i cukierniach, przed wejściem do kina. Z aparatów radiowych,

stojących na kontuarach w różnych lokalikach, rozbrzmiewały te same piosenki, jak w jednym dużym mieszkaniu. Miasteczko wydawało się dzięki temu jeszcze mniejsze, wszystko tu było w zasięgu ręki, natomiast świat zewnętrzny pozostał za siedmioma górami, tracił realność z nadejściem nocy.

W hotelu powitał Sylwię charakterystyczny zapach środków owadobójczych, przenikający obicia mebli, pluszowe story, dywany. Róże w jej pokoju przywiedły, ale pachniały przejmująco. Nie zapalając światła wyciągnęła się w półmroku, rada, że może trochę odpocząć przed kolacją. Senną ciszę zakłócał z rzadka turkot wozów, przyjemny przez to, że nasilał się i cichł powoli, przedłużając trwanie każdej chwili spokojnego szczęścia, jakiego doznawała w tym obcym miejscu, gdzie nic przykrego nie-mogło jej dosięgnąć. Czy takie momenty nie liczą się w życiu najbardziej? Z wielkich romansów, z szalonych uniesień pozostają wspomnienia porannego czytania gazet w pustej zakopiańskiej cukierni, przesiąkniętej zapachem tytoniu i świeżo zaparzonej kawy, albo picia kiepskiego piwa na peronie przed rozstaniem z kochankiem, który jeszcze się waha, czy nie machnąć ręką na wszystko i nie zostać do następnego dnia. Wspomnienia pełne słodyczy, gdyż tylko w nich przetrwało poczucie zbliżenia i kumplostwa, które niegdyś wydawało się rękojmią trwałości uczuć.

Szczęście Sylwii byłoby teraz zupełne, gdyby mogła

130

jeszcze podzielić się z kimś myślami, opowiedzieć o swych wrażeniach. Wówczas i katedra z piaskowca, i zabawna mina młodego archeologa, i rozmowa z szewcem w mrocznym warsztacie, i sobotni ruch na ulicach — wszystko nabrałoby nowego znaczenia. Życzliwy słuchacz bardziej był jej potrzebny niż kochanek, *ami-tie amoureuse* wydawała się cenniejsza niż wielka namiętność.

Stwierdziwszy to pomyślała tkliwie o profesorze, który do roli powiernika nadawał się wybornie, i zaczęła ubierać się do wyjścia. Kiedy pięć po ósmej zeszła do hallu, Mircza już czekał na nią w ciemnym garniturze, z białym goździkiem w butonierce. Staromodność jego stroju i zachowania tym razem jej nie rozśmieszyła, przeciwnie, wydała się stosowna do miejsca i nastroju, gdyż, jak się okazało, w starej restauracji większość gości również celebrowała uroczyste sobotni wieczór. Na estradzie pod baldachimem z czerwonego pluszu czarno ubrani muzykanci grali potpourri z Barona cygańskiego.

Siwy kelner z należyтым skupieniem przyjął zamówienie i kolacja zaczęła

się w przyjemnej atmosferze. Po kilku kieliszkach wina rozmowa zesłała na tematy bardziej osobiste, przerywane uwagami o ludziach, którzy siedzieli przy sąsiednich stolikach. Byli to przeważnie miejscowi notable z żonami i dorosłymi dziećmi. Wymieniano żarty i ukłony ze znajomymi, panie popisywały się toaletami, krytycznie oceniając stroje swych rywalek, młode panny rzucały porozumiewawcze spojrzenia chłopcom, którzy udawali, że są zajęci rozmową. Kiedy orkiestra zagrała tango, do tańca ruszyli głównie przedstawiciele starszego pokolenia. Sylwia po raz pierwszy od bardzo dawna znalazła się na parkiecie w objęciach partnera. Melodię pamiętała z lat chyba wojennych, w każdym razie dość odległych, i to ją odmładzało we własnych oczach. Tańczyła z ogromną przy-

131
jemnością, zwłaszcza że profesor umiejętnie prowadził ją wśród tłumu, a rzut oka do wielkiego lustra potwierdził, że prezentowali się obydwójce nie najgorzej. Niegdyś Sylwia przepadała za tańcem, okres wojny nie sprzyjał wszakże zabawom, a po wyzwoleniu trzeba było myśleć o poważniejszych sprawach. Brała więc teraz odwet za całe to poważne życie, za wyrzekanie się rozrywek w imię pracy, nauki, macierzyństwa. Ogarnęła ją niefrasobliwość i pustota wręcz zdumiewająca, niestosowna pewno w jej wieku, na jej stanowisku, ale tak rozkoszna, że Sylwia po prostu promieniała. . Mircza mówił jej komplementy, ścisnął wymownie i czule całował jej dłoń, dziękując za taniec. Nieco zażenowana wróciła do stolika. Szukała na gwałt tematu rozmowy, który byłby i w miarę osobisty, i pozwolił jednocześnie zwiększyć nieco dystans .między nią a profesorem.

— Wie pan, co mi przypomina dzisiejszy wieczór? Przeżycie, o którym nie mówiłam dotąd nikomu, gdyż wspomnienie to jest trochę krępujące. Otóż jesienią trzydziestego dziewiątego roku, kiedy podjęłam już studia na uniwersytecie bukareszteńskim, zaproszono mnie na kolację do nocnego lokalu. Nie orientowałam się wówczas, że był to właściwie kabaret z dansingiem, a zresztą gdyby mnie o tym uprzedzono, też bym pewno poszła, bo pociągało mnie wszystko, co nowe i zakazane. Wbrew przeświadczeniu, że klęska narodowa narzuca coś na kształt żałoby, tańczyłam zapamiętałe i wraz z innymi śpiewałam na parkiecie modne wówczas tango J'attendrai... Oprócz mnie znajdowało się tam wielu Polaków, przeważnie oficerów, którzy uciekli z obozów wojskowych, na co władze patrzyły przez palce. Znałam nawet pewnego pułkownika, prowadzącego akcję przerwania Polaków do Konstancy, gdzie wsiadali na statek mający przewieźć ich do Marsylii, aby wstąpić do formujących

się tam nowych oddziałów. Niepewność lo-

232

su wyzwalała potrzebę odprężenia i zabawy. Około drugiej w nocy zaczęły się występy artystyczne na niewielkiej scenie. Między innymi popisował się zespół ni to cygański, ni to ukraiński, prezentujący rosyjskie romanse z towarzyszeniem bałałajek. Otrzymał huczne brawa, nic bowiem tak nie wzrusza podchmielonych panów, jak piosenki Weretyńskiego. I wtedy, w oparach alkoholu, dla publiczności, wśród której było kilku oficerów w niemieckich mundurach, ci pseudo-Cyganie zagrali na bałałajkach Jeszcze Polska nie zginęła. Polacy zerwali się jak jeden mąż i stanęli na baczność. Niemcy nie zareagowali. Wszystko zakończyło się szalonymi toastami, zapewniano, że zwycięstwo należy do nas.

— Musiało to się pani wydać tragikomiczne.

— Byłam głęboko wzburzona. Podobnie jak w parę lat później, w czterdziestym drugim czy trzecim roku, kiedy pewna rumuńska malarka z arystokratycznej rodziny zaprosiła mnie do swego domu pod pretekstem, że jest spokrewniona z moim ojcem. Chodziło jej wówczas ni mniej, ni więcej tylko o to, abym sprowadziła z Polski szczegółowe dane o tych parantelach, zamierzała bowiem namalować fresk przedstawiający dzieje swego rodu.

— Jakbym czytał powieść George'a Calinescu...

— Ta pani, bardzo zresztą czarująca, bardzo wykształcona, nie dawała wiary temu, co opowiadałam o hitlerowskiej okupacji, uważała, że mam chorą wyobraźnię. Maluteńkie kanapki stawały mi w gardle, nie mogłam przełknąć kawy. Niemożność porozumienia zawsze mnie przeraża.

— Nie wyniosła pani miłszych wspomnień z tego okresu?

— Ależ "tak, oczywiście! Sama nie wiem, dlaczego panu o tym mówię.

— Zatańczymy?

133

— Chętnie.

Tym razem był to walc angielski, powolny i sentymentalny, pozwalający partnerom na czułe zbliżenia i nieśmiałe pieszczoty. Przyćmiono światło, puszczono czerwone smugi reflektorów, ktoś z boku rzucił kilka krążków serpentyn, które omotały tancerzy, posypały się confetti, zawirowało w oczach. Nagle, poprzez tę różnobarwną zamieć Sylwia dostrzegła w mroku znajomą twarz. Profesor wykonał kilka obrotów i posuwicie przemknął na drugą stronę parkietu. Poddawała mu się miękko, podniecona winem, tańcem, bliskością męskiego ciała.

— Szczęśliwa? — szepnął jej do ucha.

— Prawie.

Poszukała wzrokiem człowieka, który siedział przy stole między dwiema kobietami, jedną w średnim wieku, drugą całkiem młodą i bardzo przystojną. Nie kwapił się do tańca. Był tęgi, brzuchaty, szyja nikła mu pod fałdami podbródków, włosy ocalałe na skroniach zaczesywał na czubek głowy, żeby pożyczką zasłonić spoconą łysinę.

„Ależ to George! — pomyślała Sylwia ze zgrozą. — Co życie z niego zrobiło!”

Taniec się skończył, wrócili do stolika, kelner przyniósł wonną kawę, profesor mówił o czymś z ożywieniem i można by zapomnieć o nieoczekiwanym spotkaniu, gdyby nie to, że stara, gruba Cyganicha w kilku fałdzistych spódnicach podeszła z koszykiem kwiatów i położyła przed Sylwią bukietek czerwonych georginii.

— Od gaszka — powiedziała obleśnie, chowając za siebie ukrytego w dłoni papierosa. — Pani przeczyta.

Podą jej wydartą z notesu kartkę i czekała ni to na odpowiedź, ni to na napiwek.

Profesor wsunął jej w garść kilka lei.

134

— Dzięki wielmożnemu! — zaśmiała się ochryple. — Zdrowia życzę, szczęścia i powodzenia w miłości!

Sylwia przeczytała słowa nabazgrane pośpiesznie ołówkiem: „Muszę z tobą pomówić. Zostaw wiadomość u szatniarza.”

Podarła papier na strzępy i wrzuciła je do popielniczki.

— Czy mam gratulować podboju? — zażartował profesor.

— Skądże znowu!

— A więc być zazdrosnym o grzechy młodości?

— Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

— On revient toujours a ses premiers amours.

— Dajmy pokój przysłowiom.

— Zatańczymy?

Nim doszli do parkietu, muzykanci przestali grać i ostentacyjnie odłożyli instrumenty.

— To fatalne! — westchnął Mircza. — Po przerwie grają zwykle same szybkie tańce. Nie wiem, czy pani je lubi. Takie różne wariactwa, dobre do solowych popisów.

— Zobaczmy, jak je będą tańczyć młodzi — powiedziała bez entuzjazmu. Miły nastrój prysnął. Zmęczenie dawało się we znaki, konwersacja z profesorem zaczynała ją nużyć. Nie mogła zapomnieć o

George'u. A więc tutaj wylądował, tutaj wiedzie przykładowy żywot prowincjonalnego eskulapa u boku żony i córki na wydaniu? Nie była ciekawa jego losów, ale miała ochotę powspominać sobie trochę przy nim i pochłubić się, że młodziej wygląda. Nie odstręczał jej wcale jego zmieniony wygląd, przeciwnie, dawał poczucie przewagi, budził nawet pewną tkliwość. Odżyło w niej wspomnienie letniej nocy, spędzonej na imieninach u przyjaciół, kiedy wymknęła się z George'em do kuchni, zatarasowała drzwi, a później, na podłodze, w pośpiechu i oba-

135
wie, że może ktoś nadejść, przygarnęła go do siebie. Niepomna teraz na lata rozłąki ani prawa, jakie miała do niego inna kobieta, Sylwia zapragnęła znów mieć go blisko, przywrzeć do niego w ciemności hotelowego pokoju, bez żadnego skrępowania, wedle dawnych zwyczajów i nawyków.

Przeprosiwszy profesora poszła do szatni, w której chuderlawy, nie ogolony człowieczek siedział za barierką przy pudle z papierosami. Otaksował wzrokiem wygląd Sylwii, jej strój, wiek, zachowanie, — Ma pan kopertę? —• spytała wyjmując z torebki bilet wizytowy. — Albo kawałek papieru? —■ Nie mam.

Zawahała się. Lęk przed komentarzami wziął górę nad pragnieniem, które uznała za szalone. Wyznaczyła więc George'owi spotkanie nazajutrz o ósmej rano w katedrze. Nic lepszego nie przyszło jej do głowy. W hotelu — wykluczone. Kawiarnie będą o tej porze zamknięte. O dziewiątej mieli jechać dalej. A zatem w katedrze, przy grobowcu Izabeli Jagiellonki. Nieco zmieszana wróciła do stolika nie mogąc wyzbyć się uczucia, że profesor domyśla się czegoś albo coś podejrzewa. Podwoiła starania, żeby okazać się czarującą, dzięki czemu Mircza długo rozmawiał z nią przed drzwiami jej pokoju i wreszcie zaproponował, aby wstąpiła do niego na koniak. Dziwnym trafem mieszkał vis a vis, po drugiej stronie korytarza. Roześmiała się i wymówiła zmęczeniem, a później trochę było jej żal, że nie skorzystała z okazji, kiedy oboje skłonni byli wyzbyć się zahamowań. Najgłupsze wydawało jej się to, że na taką decyzję wpłynęło spotkanie z George'em, który nic a nic jej nie obchodził. Spotkanie z nim popsuło nastrój i odwróciło uwagę od nowych przeżyć, ba! nadawało im niemal grzeszny charakter, jakby Sylwia, która zdradziła go tyle razy, miała nadal

136
wobec niego obowiązek wierności. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że z drugiego końca sali obserwował ją przez cały wieczór.

Ostatni raz widziała George'a wówczas, gdy latem, zaraz po egzaminach pojechała do niego na wieś. Pociąg z Bukaresztu przystanął na chwilę gdzieś wśród zielonych pól kukurydzy. George niespokojnie rozglądał się po peronie, jakby nie dowierzał, że Sylwia naprawdę zjawi się w tym pustkowiu. Sam zmienił się nie do poznania w ciągu półrocznej rozłąki. Poszarzał, wypłowił, schłopiał w tym swoim szpitaliku. Sylwia powitała go z nieco wymuszoną serdecznością, niemal jak obcego człowieka, mimo że pisywali do siebie dość często i można było mniemać, iż nie utracili przyjaznego kontaktu. George nie pocałował jej na powitanie, zapewne skrepowany obecnością zawiadowcy, który przypatrywał się Sylwii z bezceremonialną ciekawością.

— Narzeczona? — spytał.

— Tak jakby — odparł George i wzięwszy jej walizkę ruszył do wozu czekającego na podjeździe. Pomógł jej wsiąść, sam ulokował się na wiązce słomy, przykrytej kilimkiem.

Gniada klacz pomału ciągnęła wóz po gliniastej drodze na wysokim brzegu Seretu. Woźnica szedł obok, raz po ', raz trzaskając z biczem. George milczał. Sylwia spodziewała się gorętszego przyjęcia, (niecierpliwiała ją powolność jazdy. Nagle George zaczął mówić, jakby się w nim otwarły jakieś upusty gadulstwa, monotownie, wciąż na temat pracy i szpitala. W ostatnich dniach każdego miesiąca musiał wyruszać na objazd wsi należących do jego rejonu. Najdalej położone znajdowały się o dziesięć, piętnaście kilometrów od szpitala. W pogodne, letnie dni można było od biedy iść tam pieszo i jeszcze zdążyć przed nocą do domu. Gorzej zimą albo w wiosenne słoty, kiedy i w szpitalu przybywało chorych. Trudno prze-

237

cięż zostawić ich na łasce jedynej pielęgniarki, która też ma roboty po łokcie. Ale władze powiatowe żądają przede wszystkim, sprawozdań z inspekcji, sprawozdań szczegółowych i wyczerpujących. Co miesiąc trzeba było stwierdzić, czy ilość wychodków nie uległa zmianie, czy stan studni przypadkiem się nie pogorszył, czy należyta czystość panuje w masarni i piekarni, zamkniętych na głucho, odkąd ich właściciele Żydów wywieziono stąd w niewiadomym kierunku. Należało również wymienić sumiennie przyczyny wszystkich zgonów zanotowanych w urzędzie gminnym oraz liczbę urodzin, z podaniem odsetka porodów patologicznych, wymagających pomocy lekarza specjalisty, który tu nigdy nie zaglądał, jak również porodów normalnych, odbieranych przez położne, których tutaj też nie było.

Podczas objazdu, a raczej obchodu owych kilkunastu wiosek, należących do szpitalnego rejonu, George musiał udzielać porad lekarskich, i to warunkach zgoła niesprzyjających, w ciasnocie, brudzie i pośpiechu, w wiecznym lęku o pacjentów pozostawionych w szpitalu. Gdybyż mógł bodaj sprawdzić, czy zalecenia jego zostały wykonane, czy leki wykupiono w odległej aptece, a przestrogi potraktowano poważnie; miał niestety świadomość tego, że gdy wyjdzie z chaty, pacjenci znowu wrócą pod opiekę znachorek, znanych już i wypróbowanych w potrzebie. Chorych było mnóstwo. I to nie tylko na malarię, pe-lagrę czy syfilis, które zżerały człowieka powoli, acz bezapelacyjnie. Pojawił się ostatnio dur brzuszny i czerwonka o przebiegu tak dramatycznym, że ludzie często marli nie doczekawszy się lekarza. Nie zawsze go nawet powiadamiano o chorobie w obawie, by nie zabrał kogo do szpitala lub nie nakazał dezynfekcji w chałupie.

Ze wzgórza ujrzeni budynki szpitalne. Za nimi widać było miścinę niegdyś ludną i bogatą, teraz już całkiem

138

opustoszałą. Została wprawdzie cerkiew i karczma, przetrwała apteka, gdzie zachodząc od podwórza można było to i owo kupić u aptekarzowej, której męża powołano do wojska, urzędował sędzia i dwóch adwokatów podejmowało się obrony w każdej sprawie, ale z dawnego życia nie pozostało nawet śladu. W czwartki i w niedziele — dni bezpłatnych porad — przychodziło po stu chorych do ambulatorium. Rozsiadali się na schodkach i ganku, prawie każdy prosił o chininę dla dzieci i krewnych, którzy pozostali w domu.

Wózek szybko potoczył się z góry. Nad doliną niebo spopielalo, wychłódło, oddaliło się od ziemi.

— No i dojechaliśmy! — George zeskoczył zręcznie na ziemię. — Ciotko Niko, proszę wziąć pakunki.

Stara, gruba kobieta wytoczyła się z kuchni przed dom.

— Pan doktor? Nareszcie! Gości mamy.

— Masz ci los!

— Przyjechał pretor, pop z żoną i aptekarzową. Niespodziankę chcieli zrobić na powitanie panienki. Orkiestrę sprowadzili, łon zarznął już kurczaki.

Z głębi parterowego domu słyhać było cygańską kapelę i wesołe przyśpiewki. George pilnował wyładowania worków.

— Cukru kupiłem w mieście i ryżu na kleik. I białej mąki. Niechaj łon to zanieś do pokoju koło mojej sypialni. Klucz dorobiono?

— Nie... Musieliby cały zamek wyjmować. Ale można na kłódkę zamknąć. Wbije się dwa gwoździe...

— To niech łon zaraz je wbije.

— Kiedy po lód poszedł...

— Mówiłem, żeby nie brać lodu, bo zabraknie dla chorych!

i

— Jakże wino bez lodu? Tacy goście... — stara wzruszyła ramionami. — Co by sobie o nas pomyśleli!

239

— Żeby mi to było po raz ostatni! — George podniósł głos. — Bo was stąd wszystkich przepędzę.

Ciotka Nika przybrała minę uciśnionej niewinności.

— Przecież ja chciałam jak najlepiej... Na powitanie panienki. A kłódkę sama zawieszę, już lecę po młotek.

Tymczasem goście wyszli przed dom. Orkiestra nagle ucichła. Pani aptekarzowa nadstawiła Sylwii policzek do pocałowania. Żona popa witała ją szybkimi, cichymi słówkami, pretor nie rozstawał się ze szklanką wina.

— Bawcie się, moi drodzy! — zachęcał George. — Za chwilę przyjdę do was, zajrzę tylko do szpitala.

— Niech pan najpierw zobaczy orkiestrę! — nalegał pretor. — Z Doliny Niedźwiedziej własną bryczką przywiozłem tych Cyganów, żeby ich pannie Sylwii zaprezentować — pociągnął ją do pokoju przystrojonego gałęziami olszyny, w którym siedzieli muzykanci. Przez otwarte drzwi widać było stół nakryty do kolacji.

— No, hultaje! — krzyknął pretor. — Grać mi zaraz! Panienska z Bukaresztu przyjechała.

Cyganie zagrali marsza. Pretor napełnił szklanki.

— Zdrowie pięknej narzeczonej!

Wszyscy wypili do dna. Pretor ujął Sylwię ra obie ręce i nagle głos mu się załamał:

— Ze mną to się pani nawet nie przywitała.

— Jak to? — obruszyła się zdziwiona.

Pretor, przedrzeźniając aptekarzowa, nadstawił policzek do pocałunku. Przyjęto ten żart gromkim śmiechem. Ciotka Nika śmiała się tak, że jej obwisłe piersi klaskały o brzuch. Miała na sobie tylko lekką, przejrzystą koszulę i perkalową spódnicę, widać za gorąco jej było przy płycie kuchennej. Lubiła gotować, byle nie musiała oszczędzać, i wymagała uznania dla swych talentów kulinarnych. Pretor nalał jej wina.

— Za zdrowie panny Sylwii!

t

Ciotka Nika otarła usta wierzchem dłoni, uśmiechając się dobrodusznie.

— Właściwie to pić nie powinnam. Ale takie zdrowie!

George ledwo się wyrwał do szpitala. Pokrzykiwali za nim, żeby czym prędzej wracał.

— Kurczaki na wiór wyschną! — utyskiwała gospodyni.

Przy kolacji pretor zabawiał całe towarzystwo, podniesionym głosem opowiadał coraz sprośniej sze kawały.

— Niech pan więcej nie pije — poprosiła Sylwia. Roześmiał się i nagle spoważniał.

— Przecież nie jestem pijany.

— Mało panu brakuje. Pochylił ku niej pobladłą, spotniałą twarz.

— W soboty najgorzej. Cały tydzień jeżdżę po wsiach, piszę raporty, przyglądam się biedzie, głupocie i złej woli. Cóż ja jeden mogę zmienić w tym układzie? A zmienić by trzeba, bo dzieją się tu rzeczy horrendalne!

Spojrzał na popa, siedzącego po drugiej stronie stołu, na aptekarzowa, która piła niewiele i przypatrywała się pretorowi z drwiną w szarych, chłodnych oczach. Powiedział cicho:

— Pani to wszystko wie lepiej niż ktokolwiek. Pani jest jedynym człowiekiem, z którym mógłbym...

Nie dokończył zdania, rozejrzał się dokoła z wyraźnym obrzydzeniem, wychylił szklanekę wina i zaśpiewał na cały głos:

Nie płacz, miła, tak żałośnie, Raz rozdarte się nie zrośnie! Tiraj, tiraj, hopaj, hopaj!

Pop zakrył uszy białymi dłońmi. Uśmiechał się przy tym wcale nie zgorszony. W ustach okolonych czarną,

kędzierzawą brodą połyskiwały mocne zęby. Krępowała go jedynie obecność żony, z którą, jak pisał George, związał się w nadziei, że bogaty teść dopomoże mu w zrobieniu kariery duchownej. Była brzydka, sentymentalna i łatwo zachodziła w ciążę. Prawdziwa to klęska dla człowieka, który marzył o tym, by zamieszkać w mieście powiatowym, wieść życie wygodne i nie mieć materialnych kłopotów. Pierwszy poród żony pochłoniął lwią część oszczędności. A trudno skąpić na miejską akuszerkę i leki, skoro się chce zyskać przychylność teścia. Stary jednak kiesy nie rozwiązał, nie wstawił się nawet u archimandryty w sprawie przeniesienia zięcia do miasta, chociaż była po temu sposobność. Teraz obejdzie się bez położnej i bez zastrzyków z wątroby. Popadia szepnęła do

męża:

— Powinieneś zabronić śpiewania sprośnych piosenek.

— Ależ, moja droga, nie mogę robić uwag pretorowi!

— A ja nie mogę tego słuchać! — poderwała się z krzesła. — W moim stanie obrażać Boga nie wolno.

Aptekarzowa zatrzymała ją przy stole.

— Panie pretorze — powiedziała słodko. — Prosimy o piosenkę stosowną dla kobiecych uszu.

Pretor zanucił, Cyganie podchwycili melodię. Żona popa słuchała z przymkniętymi oczami, ściskając pod stołem rękę męża. Wspominała pewno tę wiosnę, kiedy starał się o nią i przyjeżdżał do jej rodziców. Był bardzo schludny, zawsze wygolony, mała bródka pachniała ko-łońską wodą. Szli zbierać maliny — i wszystko było jak w tej piosence. Kiedy ją wreszcie pocałował pośród krzaków malin, gotowa była mu się oddać zaraz, na ziemi wygrzanej słońcem. Rozsądek jego ocalił ją od hańby. Zresztą ślub ich odbył się w trzy tygodnie później. Ojciec oszukał ją nie dając całej obiecanej wyprawy. Nie oddał skrzyni z bielizną, która jej się należała po zmar-

142

łej ciotce, ani kolczyków z brylantami. Mąż okazał się dobrym człowiekiem, zbyt jednak powściągliwym w pieśczętach. Uważała to wszakże za delikatność z jego strony, była bowiem w błogosławionym stanie. Nadal dziwiła ją jego schludność. Pochodził z biednej, chłopskiej rodziny, gdzie nie marnowano pieniędzy na mydło. Dbał o to, by nie poplamieć sutanny, koszulę zmieniał raz na trzy dni, jak dziedzic, w domu nie znosił kurzu ani much. Starannie przygotowywał kazania, zresztą nie wiadomo po co, bo chłopci niewiele pojmą, a państwo z dworu nigdy na kazaniach nie zostają. Gniewało ją, że mąż myśli o przeniesieniu się do miasta. Lubiła gospodarstwo, chętnie chodziła boso koło domu, chociaż pop na to nie pozwalał. Źle się czuła w miejskich sukniach, uciskał ją pasek od podwiązek. Zresztą o czymże mogłaby mówić z miejskimi paniami, skoro nie chodziła do szkoły, tyle że ojciec nauczył ją czytać i pisać. Choćby i tutaj — siedzi jak trusia, żeby z jakim głupstwem nie wyrwać się wobec tej panny.

— A może by tak potaćzyć? — zaproponowała aptekarzowa.

Ciotka Nika szybko sprzątnęła ze stołu. Pretor porwał w tany inicjatorkę zabawy. Patrzył namolnie w jej chłodne, wesołe oczy. Miała prześliczną cerę, białą i różaną, wąskie wargi, drobne, ostre zęby. Kiedy się śmiała, drżała jej pełna, krągła szyja z wysoko zawieszonym krzyżykiem.

— Taka pani wierząca?

— Dlaczego?

Spojrzał wymownie na (krzyżyk).

— Ach, to mąż przysłał mi z Odessy. Na szczęście.

— Nie nudzi się pani sama, bez męża?

— Choćby się i nudziło, cóż z tego?

— Niech pani poszuka zastępcy.

— Głupstwa pan plecie! — roześmiała się odrzucając

143

głowę do tyłu. Walc ją zmęczył, oddychała szybko. Pretor odprowadził ją do krzesła.

— Niech pan zatańczy z żoną popa — szepnęła. — Za bardzo się przygląda mężowi.

Pop tańczył z Sylwią. Prowadził ją ostrożnie, obracał jak figurę drewnianą, usztywniał samym dotknięciem. Miała wrażenie, że marzy o tym, by rzucić parafię, wyjechać w świat, do Bukaresztu, na uniwersytet, ach, Boże drogi!

Aptekarzowa nie patrzyła na tańczących. Siedząc między pretorem a lekarzem zdawała się myśleć o jutrzejszej pracy. George wypisywał nieskomplikowane recepty, które umiała jako tako wykonać. Mąż ją niejednego nauczył. Pomagała mu przez kilka lat w aptece, tak jak zresztą pomagała mu we wszystkim. Doskonale im się wiodło w Siedmiogrodzie aż do chwili, kiedy po dyktacie wiedeńskim trzeba go było opuścić. Jako uchodźcy przybyli tutaj, by zająć pożydowski warsztat pracy. Meble, obrazy, dywany, wszystko zostało w Siedmiogrodzie. I dom schludny, wygodny, kulturalni znajomi, swojski, węgierski język. Aptekarzowa nie skarżyła się nigdy. Po prostu trzeba pracować i znowu się odzyska dobrobyt; trzeba czekać, aż wróci mąż, najwierniejszy towarzysz, jedyny człowiek, z którym można pozwolić sobie na szczerłość. Była mu wierna, jemu i jego aptece. Przez cały dzień sprzedawała maści i proszki, nie tylko dla zarobku, ale także po to, żeby ludzie nie przywykli kupować w innej aptece, w odległym mieście. Wieczorami dopiero wychodziła na spacer, zawsze w towarzystwie starej służącej, aby żadne złe pomówienie nie mogło jej dosięgnąć. Utrzymywała dom we wzorowej czystości, co tydzień trzepała chodniki, aby zawsze być gotową na przyjazd męża.

Pokoiki za apteką były małe i ciemne, podwórko ciasne, bez drzew i kwiatów. Biegały po nim czarne prosiaki, kury i tłuste gęsi.

x\pte-
144

karzowa kochała kwiaty i przestrzeń. Mimo to całymi dniami

przesiadwała w półmroku, czekając na klientów. Brakowało jej czasu na czytanie, w gazetach szukała tylko wojennych komunikatów, bo to dotyczyło jej męża. Czasem grywała wieczorem na pianinie. Uważała się za Rumunkę, ale była raczej Węgierką z domieszką krwi saskiej, podobnie jak jej mąż. Lubiała rozmawiać po węgiersku ze starą służącą, strzegła się jednak, żeby kto nie podsłuchał ich rozmowy: to mogłoby zaszkodzić, ludzie znad Seretu nie lubili Węgrów. Czekwała cierpliwie na zakończenie wojny, na stabilizację. I tylko niekiedy wzdychała w duchu, że oto młodość mija...

Pretor tańczył z Sylwią. Wpijał palce w jej plecy, nachylał się nad jej twarzą, nie dbając o to, że George śledzi ich spod oka. Zapytał przyciszonym głosem:

- Czemu pani zależy na tym, żebym nie pił?
 - Budzi pan sympatię. Sądzę, że mógłby pan wiele zdziałać.
 - Przy pani pomocy?
 - Wie pan chyba, że jestem...
 - Jest pani urocza. O niczym innym nie chcę pamiętać!
 - Pomówimy o tym w biały dzień.
 - Dlaczego nie teraz?
 - Bo to są sprawy poważne.
 - Gdyby pani wiedziała, jaki jestem w tej chwili poważny! I całkiem trzeźwy. Mogę mówić o wszystkim bez skrepowania. Jutro będę się pani obawiał.
 - Mnie?
 - Po co pani tu przyjechała? Przecież nie zostanie pani z George'em, a on stąd nie wyjedzie. To ja raczej mógłbym uciec stąd w pani towarzystwie...
 - Bzdury!
 - Możliwe. Mało znałem takich kobiet jak pani. Na uniwerku nie było czasu na miłość. Pracowałem pod-
- 10 — Trwaj, chwilol

145

czas studiów, i to ciężko. Dlatego wybrałem prawo, choć miałem ochotę iść na politechnikę. Gdybym miał choć trochę forsy, dostałbym się na aplikację adwokacką. Zawsze to lepiej niż być urzędnikiem. I to w dodatku jakim? Pretorem! Prawda?

- Nieprawda! Nie ma większych krętaczy niż adwokaci.
- Przecież nie zostanie pani w tej dziurze. Ni to miasto, ni to wieś. Co innego Bukareszt, a choćby tylko Jassy! Tam jest życie! A ja tutaj będę

sobie jeździł od wioski do wioski, wydawał drobne zarządzenia, sprawdzał ich wykonanie. I po co, dla kogo? Czy dla moich chłopów? Gdzie tam, im to niepotrzebne! Dla tych facetów ze stolicy, którzy nie wiedzą nawet, jak wygląda wesz, droga rozmiękla na wiosnę i sóltyś analfabeta.

Zatrzymał się przy stole, nalał sobie wina, lecz nie pił.

— Pani się dziwi, że lubię wino? To jedyna przyjemność i ucieczka. Bo inie zostało mi nic innego. Kobieta, którą mógłbym kochać, nie wyżyje z mojej pensji, nawet ze mną tutaj nie zamieszka. Książek, ba! nawet gazet — nie ma. Z kim tu rozmawiać? Z popem? Czy też z jednym z adwokatów? O drożyznie, wojnie, spro-śnościach? Przyjeżdżam do domu — zimno, brudno, dziewczyna, która miała mi prowadzić gospodarstwo, zwiąła z resztą mego przyodziewku. I po to kończyłem studia...

Wypił duszkiem wino, przegarnął palcami jasne włosy.

— Zatańczymy?

— Teraz moja kolej — wtrącił George.

Cyganie grali melodyjne, łzawe tango. Przez otwarte na oścież okno wpadał zapach akacji. Ciotka Nika zgasiała filującą lampę naftową.

Tańczono w półmroku, pop z aptekarzową, George z Sylwią. Żona popa siedziała przy oknie. Ona też pierwsza spostrzegła, że wóz jakiś

146

zatrzymał się przed gankiem. Ciotka Nika nie chciała wpuścić przybysza do pokoju. Dopiero po dłuższej rozmowie wywołała George'a na korytarz.

— Przyjechali po pana doktora. Dziecko chore.

— Gdzie, w której wiosce?

— Nie tak daleko — wtrącił chłop. — Za dwie godziny dojedziemy.

Dziecko bardzo słabuje. Sześć lat ma. Synek. Odrę przeszedł, widać mu na płuca padła, bo nie może dychać.

— Zaraz z wami pojedę. Wrócił do gości.

— Wzywają mnie do chorego. Muszę was pożegnać.

— Dokąd? — zapytał pretor.

— Do Węgrów — wtrąciła ciotka Nika.

— To nie pański rejon.

— Zastępuję również tamtego lekarza.

— Absurd! Ile można pracować! Niech pan nie zostawia narzeczonej.

— Pojadę z George'em — powiedziała Sylwia.

— Bzdura! -- pretor chwycił ją za obie ręce. — Będziemy się dalej bawić!

Hej, chłopcy, zagrajcie coś wesołego!

Sylwia daremnie próbowała wyzwolić się z uścisku.

— Niech ją pan puści — mruknął George. — Nie mam czasu do

stracenia.

Pretor nie panował już nad sobą. Nie tylko nie rozluźnił chwytu, lecz ujawszy obie ręce Sylwii jedną dłonią, drugą przyciągnął ku sobie jej głowę i szukał ust. Wyrwała mu się wreszcie i uderzyła go w twarz. Pretor jakby przebudzony nie rozumiał, co się dzieje. Żona popa zaśmiała się cichutko, złośliwie. Sylwia wybiegła na dwór, zegnała się pośpiesznie z aptekarzową. Pop narzucił okrycie na ramiona żony i ruszył do domu. Pretor nalał sobie jeszcze jedną szklanekę i wypił samotnie. W ciemnościach, na chwiejnych nogach wyszedł przed

»• ;

147

dom. Sylwia siedziała już na wozie obok George'a. Chłop zaciął konia batem. Pojechali.

Zaczynało świtać, gdy dotarli do wsi. Psy szczekały ze wszystkich stron. Dymy z kominów leciały prosto w niebo, na pogodę. Obfita rosa leżała na trawie. Sylwia w jednej chwili przemoczyła nogi.

Od progu izby ogarnęło ją niebywale gorąco.

— Napaliłam w piecu — wyjaśniła gospodyni. — Myślałam, że dziecku ulży, jak się wygrzeje.

Stała zwrócona twarzą do bielonego, chlebowego pieca, w którym jeszcze żarzyły się węgle. Czerwony poblask otaczał jej postać. Chustka zsunęła się na plecy, włosy miała splecione w gruby warkocz. Ręce jej drżały, nie mogła zapalić naftowej lampy: to skręcała knot zupełnie, to wydłużała go tak, że coś niepokojąco trzeszczało wewnątrz szkła. Wreszcie mąż ją wyręczył i zawiesił lampkę na gwoździu nad drzwiami.

Dopiero teraz Sylwia dojrzała dziecko siedzące wśród pierzyn i poduszek na drewnianym łóżku. Było rzeczą niezwykłą, że umieszczono je w paradnej izbie, na najlepszej pościeli. Malec oddychał bardzo szybko, wpatrzony szklanym wzrokiem w przeciwległą ścianę, zawieszoną świętymi obrazami oraz mnóstwem haftowanych ręczników. Nie odpowiadał ani na pytania lekarza, ani na prośby matki, która przemawiała do synka jakąś ptaszęcą mową. Byli do siebie niezwykle podobni: oczy niebieskie, drobne usta, jasne, gęste brwi, płowe włosy. Kobieta uknęła przy łóżku zupełnie bezradna, oczekująca ratunku od George'a, lecz nieufna, zamknięta w swojej rozpacz.

Lekarz zbadał dziecko, wydał polecenia. Na kupce zgarniętego żaru wyjąłowiono strzykawkę. Gospodyni zapytała z lękiem:

— Zastrzyk? Takiej kruszyncy?

— Niech się pani nie obawia. Sądzę, że go uratujemy.

— A gdyby go zostawić bez leczenia? — spytał gospodarz.

— Mogłoby zdarzyć się nieszczęście.

— Widzisz! A Kania mówił, że ziółka wystarczą. I byłby nam synuś przepadł jak Weronce albo Lipcom.

— To tutaj więcej dzieci chorowało? — zdziwił się George. — Felczer nie wspomniał mi o niczym.

— Wszystkie dzieci we wsi chorują. Niejednemu to się już nawet zmarło. Nieraz chcieli ludzie do szpitala jechać, ale Kania powiedział, że pan doktor nie przyjmie chorych z innego rejonu, więc sam leczył. Tylko że nie pomagało. Ja też bym nie jechał, ale moja kobieta strasznie molestowała; mówiła, że jak nie pojedę, to na piechotę polecą tyli świat drogi.

— Gdzie ten Kania mieszka? Zaprowadźcie mnie do niego.

Przeszli niemal całą wieś, spotkawszy zaledwie parę osób.

— Ciężko teraz — narzekał gospodarz. — Chłopi na wojnie, kobiety muszą robić i na swoim, i na pańskim. Dobrze jeszcze, póki zdrowie służy, ale jak teraz zła godzina przyszła na dzieci, to pożałuj się Boże. Zdrowe jakoś samo się opatrzy, kiedy matka w polu, ale choremu to nawet nie ma kto wody podać.

Kania mieszkał w ośrodku zdrowia. Niewielki, porządny budynek, ocieniony akacjami, ogrodzony był nowym płotem, ale bramka wyrwana z zawiasów leżała na trawie. Kury grzebały w kupie trocin i rozwłóczyły je po całym ogródku.

— Widać, że nasz doktor wyjechał. Inny tu był porządek za jego czasów.

Kania jeszcze spał, dopiero łomotanie do drzwi wyciągnęło go z łóżka.

Wychylił przez okno rozkudloną głowę.

— Czego tam? Pali się czy co?

— Przyjechał pan doktor z Oleszti. Kania przygładził ręką włosy.

— A... Dzień dobry. Już idę otworzyć.

Po chwili zjawił się w przybrudzonym fartuchu narzuconym na spodnie od pidżamy.

— Proszę do gabinetu, panie doktorze! Jeszcze dzisiaj nie zamiecione.

Pokój wyglądał tak, jakby w nim nie sprzątano od kilku miesięcy. Podłogę niegdyś zaciągniętą pyłochłodem pokrywały niedopałki papierosów, zużyte waciki, kłaki kurzu.

— Panie Kania — lekarz od razu ruszył do ataku. — Dlaczego nie poinformował mnie pan o epidemii, która się tutaj szerzy?

- Nie wiem o żadnej epidemii — felczer wydał wargi.
- Dzieci powszechnie chorują na odrę.
- Ach, odra! Naturalnie, dzieci muszą to przechoro-wać.
- Były i zgony. Kto wystawiał świadectwa?
- Nie chciałem trudzić pana doktora...
- A podpis — czyj?

Kania obciągnął fartuch na biodrach.

- Jaki podpis?
- Na świadectwach zejścia.
- Oni tam w gminie na to nie patrzą.
- Dobrze, pójdę do gminy. A dlaczego tu takie brudy?
- Mówiłem, że dziś jeszcze nie sprzątaane...
- Proszę o książkę apteczną.
- Jaką książkę?
- Rejestr wydawanych darmo leków. Kania przełknął ślinę.
- Tego się nie prowadzi.
- Dlaczego?

150

- Dotychczas wszyscy mieli do mnie zaufanie. Jak jest chinina, to ją rozdaję.
- Bezpłatnie czy za pieniądze? Kania zerknął na gospodarza.
- Przeważnie darmo.
- A gdzie są pieniądze za resztę?
- Rozeszły się na potrzeby ©środka. Sprzątaanie, naprawy...
- Proszę o rachunki.
- Ludzie niepiśmienni, nie wystawiają.
- Ale pan za to biegły w piśmie. Podyktuję panu protokół dzisiejszej inspekcji.

Nie protestował, podpisał we wskazanym miejscu i odprowadził George'a aż do płotu.

- Oto pańskie naprawy — lekarz wskazał wyrwaną z zawiasów bramkę.
- Właśnie miałem zamiar — mamrotał jeszcze Kania, lecz nikt go już nie słuchał.
- Pójdziemy teraz do sołtysa — postanowił George. Droga spadała stromo w dół, ku rzece. W kępie olch stały obszerne, dostatnie zabudowania. Stado kaczek wykołysało się z podwórka. Przed domem bawiły się małe dzieci. Gospodyni wyjrzała na drogę.
- Dzień dobry, jest sołtys? Proszę powiedzieć, że doktor z Oleszti

przyjechał.

Ale sołtys sam już wyszedł na spotkanie.

— Podobno dzieci u was we wsi chorują?

— Zaczęło się to z miesiąc temu. Zachorowała dziewczynka w sąsiedztwie. Z nosa ciekło, wysypka czerwona, powiedzieli, że pewno odra. Każde dziecko musi to przechorować, im wcześniej, tym lepiej. I te kobiety, które chciały, żeby dzieci przechorowały, zanim będzie robota w polu, przyprowadziły je do tej małej. Ona wyzdrowiała po tygodniu. Ale tamte, Boże zmiłuj się,

251

prawie wszystkie zmarły. Sześcioro. Widać im się rzuciło na płuca, bo wszystkie dychać nie mogły. A teraz nie ma gospodarki, gdzie by dzieci nie chorowały. A tu kukurydza czeka, jeśli jej teraz nie obrobić, zmarnieje. Dziedzic też przynagła -do buraków, do słonecznika. Wie pan doktor, jak tu u nas jest.

— Czemu nie daliście mi znać?

— Kania mówił, że to nie pański rejon, że pan doktor bez pieniędzy nie przyjedzie. U. nas wielka bieda w tym roku. Są rodziny, co tylko zieleniną żyją i resztką mamałygi.

— Mielicie obowiązek powiadomić mnie o tym.

— Ludzie nie chcieli...

— Dlaczego?

— Bali się, że weźmie pan dzieci do szpitala.

— Takie to straszne?

— Zawsze nie to, co w domu. U siebie nawet umierać łatwiej.

— Ile dzieci zmarło?

— Czternaścioro chyba... Jeśli nie więcej. Niech pan doktor poczeka, zaraz rejestr przyniosę.

— Nie wiem, Sylwio, czy dobrze zrobiłem biorąc cię tutaj ze sobą, tak prosto z drogi, jeszcze w sukience z Bukaresztu — powiedział George. — Sama widzisz, jak to będzie, jeśli się pobierzemy. Nie na wiele przyda ci się twoja chemia. Będiesz musiała przyuczyć się innej pracy...

Pielęgniarstwo nie jest zresztą trudne. Trzeba tylko mieć powołanie...

Uśmiechnęła się do niego wówczas, jakby mu przyznawała słusność, ale gdy w południe dojechali do szpitala i George poszedł m obchód pacjentów, wzięła walizkę i bez słowa wyjaśnienia, cichaczem wymknęła się z domu, żeby zdążyć na pociąg odjeżdżający przed wieczorem do Bukaresztu.

Dzień szósty

Czy tylko brak społecznego powołania sprawił, że nie pozostała w Oleszti jako żona wiejskiego lekarza? — zastanawiała się Sylwia nad ranem, patrząc na różowiejące wieże katedry cysterskiej. — Czy też nie kochała George'a na tyle, by u jego boku podjąć życie pełne wyrzeczeń? Czy może przeważało w niej poczucie obcości wobec otoczenia? Świadomość, że imać można działać w tak niesprzyjających warunkach? Obawa przed daremnością ofiary? Wygodnictwo? Małoduszność? Ego-*izm?

Jeśli nie znajduje się archimedesowego punktu oparcia w miłości lub w potrzebie poświęcenia się dla bliźnich, niepodobna rozpocząć pracy tam, gdzie trzeba uczyć ludzi wszystkiego, począwszy od zasad higieny aż po nakazy moralności, gdzie nie można polegać na nikim ani wierzyć, że cokolwiek zostanie zrobione, jak należy. Nie starczy człowiekowi cierpliwości na borykanie się z oporem materii, z brudem, z niechlujstwem, z wadliwym działaniem najprostszych urządzeń, z niesolidnością pracowników, niepunktualnością podwładnych, wymigiwaniem się od roboty, z oszukiwaniem w żywe oczy.

Któż może żądać, by w imię mglistych ideałów wyrze-

153

kać się własnej drogi życiowej, własnego zawodu? Nawet George nie wymagał od niej tego wówczas, zwłaszcza że nie z pobudek ideowych podjął pracę na wsi. Spodziewał się mimo wszystko, iż w ciągu kilku lat zdoła tyle zarobić, żeby z niewielkim kapitałem przenieść się do miasta i podjąć tam prywatną praktykę. Ta jego postawa, uczciwa przecież i rozsądna, odstręczała Sylwię najbardziej. W młodzięcym porywie prędzej by przyjęła rolę siłaczki niż żony dorabiającej się powoli majątku. Tak czy owak, mówienie dziś o swoich osiągnięciach człowiekowi, który zapewne poprzestał na małym, byłoby niestosowne i żenujące dla nich obojga. Czy należało odnawiać tę znajomość, skoro wyjeżdżając z Oleszti nie miała mu już nic do powiedzenia?

Zdawała sobie teraz jasno sprawę, że wyznaczając mu spotkanie w katedrze, pragnęła się odegrać po latach za ledwo wyczuwalne poczucie wyższości, z jakim niegdyś George traktował cudzoziemkę bez rodzinnego zaplecza, bez stosunków, bez majątku. Kochał ją wprawdzie, lecz sam wzruszał ǲę swą bezinteresownością i walcząc z oporami rodziny, która była przeciwna temu małżeństwu, rósł we własnym mniemaniu. Gdyby z czasem to kochanie osłabło, miałby pewno pretensje, że „wziął żonę w jednej koszuli”. Wprawdzie kariera zawodowa mogła umocnić jej pozycję, ale w tym celu Sylwia musiałaby wrócić do Bukaresztu, jemu natomiast potrzebna była żona tam, na wsi. Nawet to, że współżyła z nim bez ślubu,

obracało się przeciwko niej. Znajomi mówili o tym z przekąsem, George trochę się tego wstydził i czym prędzej chciał zalegalizować sytuację, która byłaby nie do pomyślenia, gdyby w grę wchodziła dziewczyna z jego środowiska. Miał nieco żalu do Sylwii, że mu uległa, i zarazem pragnął „wynagrodzić jej krzyw-

154

dę", zwłaszcza iż wydawała mu się istotą słabszą, zdaną na jego wielkoduszność.

Skoro jednak Sylwia powściągnęła w sobie chęć odwetu, po cóż miała spotykać się z George'em? Nakazy dobrego wychowania, czy raczej współzycia z ludźmi, były w niej tak silne, że niedotrzymanie słowa, narażenie kogokolwiek na daremny wysiłek wydawały się jej czymś odpychającym, nie licowały z jej godnością. Byłoby jej niewymownie przykro pomyśleć, że George niepotrzebnie wyczekuje tam w kościelnej nawie, raz po raz zerkając na zegarek.

Cesała się przed lustrem, kiedy zapukano do drzwi. Zamiast pokojówki, która miała przynieść kawę, zjawił się niespodziewanie Mircza, znowu w welwetowych spodniach i kraciastej koszuli.

— Chciałbym, żeby pani odpowiednio ubrała się na dzisiejszą wycieczkę — powiedział kładąc na krześle błękitną wiatrówkę i kupione poprzedniego dnia buty. — Wejdziemy powyżej tysiąca metrów.

— Czyżby pan nabył to dla mnie? — spytała trochę zmieszana.

— Oczywiście.

— Bardzo mnie to wzrusza, lecz nie wiem doprawdy...

— Nie mówmy o tym. Między nami takie rzeczy nie powinny grać roli. Zejdźmy już na śniadanie. Pogoda cudowna. Pojedziemy w góry Orastie, tam gdzie istniał niegdyś zespół dackich twierdz i osiedli.

— Tylko że... Chciałabym przedtem...

— Naturalnie, proszę się przebrać. Poczekam na korytarzu.

— Zaraz będę gotowa.

Co nią kierowało w tej chwili: rozsądek, tchórzostwo czy sympatia dla profesora? Nie umiała zdobyć się na odpowiedź. Szybko zmieniła buty i włożyła wiatrówkę, tę upragnioną wiatrówkę, której posiadanie wydawało

155

jej się wczoraj tak konieczne. Przejrzała się w lustrze, zadowolona z wyglądu. Gdyby włożyła okulary, dostrzegłaby brzydką sieć zmarszczek i pigmentację skóry. Świadomie jednak oceniała się nieuzbrojonym okiem. Mircza przecież także używał okularów przy czytaniu. • Siedząc przy stole usłyszała osiem uderzeń zegara i przez chwilę miała do siebie pretensję,

lecz ciepłe spojrzenie profesora stłumiło przykre uczucie. Przypadek przecież zdecydował za nią. Przypadek i może jednak — chęć odwetu.
— Zależy mi na pośpiechu — powiedział Mircza — bo w drodze powrotnej chciałbym pokazać pani Sibiu. Są tam naprawdę urocze zakątki.
— Możemy jechać choćby Zapłacę tylko rachunek...
— Wszystko załatwione.

Mimo że zawsze lubiła płacić za siebie, postępowanie Mirczy nie było jej przykre. Płacenie rachunków stanowiło niejako dowód jego opiekuńczości.

W chwilę później doszła do głosu nieufność. Bo właściwie czym można było wytłumaczyć, że profesor nie szczędzi dla niej czasu i pieniędzy? Czego spodziewa się w zamian? Sylwia bała się jak ognia fałszywych sytuacji, zobowiązań podjętych lekkomyślnie, przymusu wdzięczności. Nie potrafiła korzystać z tego, co dawali jej ludzie choćby w najlepszej myśli, jeśli z góry nie przewidziała, czym się im zrewanżuje. Ta ze wszech miar, zdawałoby się, bezinteresowna postawa prowadziła w rezultacie do nieustannego wyceniania usług i sentymentów, do prowadzenia bilansu kosztów moralnych obu stron, a więc odbierała spontaniczność wszelkim poczynaniom i wykluczała odruchy serca. Co gorsza, rodziła podejrzliwość i zatruwała najbardziej beztroskie chwile, podobnie jak drażliwość sumienia, która

156

każe, człowiekowi doszukiwać się grzechu albo złej intencji w każdym swoim postępku.

Tak właśnie było tego ranka, kiedy Sylwia zamiast cieszyć się podróżą i poddawać urokom krajobrazu, rozważała motywy, jakie mogły kierować postępowaniem Mirczy i wpłynąć na jego stosunek do niej. Dopiero gdy wjechali w szeroką dolinę Apa Gradishti, nużące rozważania ustąpiły miejsca zainteresowaniu dla śladów odległej cywilizacji. W Costeszti bowiem, tam właśnie, gdzie dolina zwęża się nagle, ściśnięta przez wysokie wzgórza, znajdowała się warownia, broniąca drogi do stolicy Daków. Wyżej, na wzniesieniu Blidaru pozostały szczątki dwóch bliźniaczych twierdz o sześciu potężnych wieżach. Z wysokości ponad siedmiuset metrów widać było miasteczko Orastie na północy i Gradisztea Muncelului na południu. Zielona dolina rzeki Maruszy leżała u podnóża gór.

— Tutaj, na Dealul Gradishti wznosiła się starożytna Sarmizegetusa, najświetniejsza osada Daków — objaśniał profesor. — Broniła jej warownia o potężnych murach, zajmująca powierzchnię około trzech

hektarów. W odróżnieniu od innych twierdz, które górowały nad okolicą, ta ukryta była wśród lasów i skał, chociaż zbudowano ją na wysokości tysiąca dwustu metrów. Należała do systemu obronnego złożonego z kilkudziesięciu warowni, rozmieszczanych na wzniesieniach o większym znaczeniu strategicznym. Sygnalizacja świetlna pozwalała na porozumienie między nimi, na szybkie przekazywanie wiadomości w odległe strony kraju. Ludność cywilna mieszkała na zewnątrz murów obronnych. Odkopano ciekawy system wodociągów, zaspokajający nie tylko potrzeby higieny, lecz przede wszystkim — obronności. Jeszcze bardziej godny podziwu jest olbrzymi zbiornik wodny w warowni na Blidaru: dno i ściany tego zbiornika pokrywała warstwa cementu, sklepienie

III

Wykonano z bloków kamiennych. Dakowie posiadli w wysokim stopniu sztukę budowania. Nie po to jednak przywiozłem panią tutaj, by rozwozić się nad konstrukcją warowni. Chodźmy do sanktuariów, które stanowią ciągle nie rozwiązana zagadkę.

Ruszyli szeroką drogą, wyłożoną płytami wapiennymi, których nie zdołało zniszczyć dwadzieścia wieków. Po chwili znaleźli się na brukowanym placu opodal akweduktu dostarczającego wodę z pobliskiego źródła. Dwie jego odnogi prowadzą do przepaści. Zapewne spełniały one niegdyś rolę obrzędową. Tutaj właśnie, wśród odwiecznej puszczy bukowej przetrwały szczątki sanktuariów zbudowanych na dwóch tarasach. Sylwia miała wrażenie, że ogląda ciąg dalszy filmowych Wspomnień z przyszłości. Tak jak i tam, wydawało się niepojęte, by przed dwoma tysiącami lat można było zbudować te drogi, mury, sanktuaria bez pomocy maszyn, zwieźć takie masy kamienia, wygładzić kamienne bloki.

— Na dolnym tarasie znajduje się najstarsze sanktuarium odkryte w Sarmizegetusie — podjął Mircza. — Z dawnej budowli zachowały się cztery rzędy okrągłych podstaw kamiennych o średnicy około półtorametrowej. Sanktuarium zbudowano zapewne w czasie Burebisty. Widziane z dołu, wyglądało tak, jakby było przyczepione do urwistego zbocza, na którym formowano tarasy. Wzdłuż muru prowadziły schody z wapienia na platformę wykładaną kamiennymi płytami. Terakotowy akwedukt dostarczał źródlaną wodę. We wschodniej części tarasu znajdują się dwa inne, prostokątne sanktuaria. Najciekawsze jednak są dwie okrągłe świątynie. Większa z nich składa się z wewnętrznego pierścienia bloków andezytowych, przylegających ściśle do siebie, i z kręgu słupów, ustawionych w szczególny sposób: po sześciu cieńszych i wyższych

następuje siódmy, grub-
758

szy i niższy. Taki model architektoniczny powtarza się, trzydzieści razy.

— Czy to miało jakieś znaczenie w obrzędach religijnych?

— Uczeni przypuszczają, że sanktuarium służyło do badań i obliczeń astronomicznych, bo na drewnianych słupach wewnątrz kamiennego kręgu, obłożonych wypolerowanymi starannie płytkami z terakoty, zachowały się rysunki, które kojarzą się z układaniem kalendarza. Co dziwniejsze, ani jedno z tutejszych sanktuariów nie miało dachu. To także przemawia za tym, że służyły raczej do obserwacji nieba. Niech pani spojrzy w tamtą stronę: za rowem znajduje się układ płyt andezytowych w kształcie promieni rozchodzących się od okrągłej płyty.

— Kamienne słońce.

— Był to zapewne ołtarz ofiarny. Pod nim znajdowała się kamienna misa, połączona z rurą odpływową.

— Może spływała tędy krew ofiar?

— Raczej woda, używana podczas uroczystości przez kapłanów. Ze wzmianek przekazanych nam przez Strabona i Józefa Flawiusza wiemy, że kapłani daccy żyli wstrzeźliwie, zajmując się astronomią i doskonaląc sztukę budownictwa. O wierzeniach Daków pisał Herodot. Podobno uważali się za nieśmiertelnych, mniemając, że opuściwszy ziemski padół idą wprost do boga Zalmoksis. Co pięć lat wysyłali do niego posła, żeby mu przekazał ich prośby. Wybierali w tym celu szlachetnego męża, chwyтали go za ręce i nogi, podrzucali w górę tak; by spadł na ostrza ustawionych sztorcem dzid, i cieszyli się, jeśli zaraz wyzionął ducha, gdyż oznaczało to, że spełnił chlubnie swe zadanie i że bóg okaże się łaskawy.

— Widocznie Zalmoksis był okrutnym bogiem.

— Herodot, powołując się na opowieści rodaków mie-

159

szkających nad Pontem, wysuwał przypuszczenie, że Zalmoksis był niegdyś niewolnikiem Pitagorasa, został przez niego wyzwolony i z okazałym majątkiem wrócił do ojczyzny. Dzięki wiedzy zdobytej u Hellenów zyskał wielki autorytet wśród swoich ziomków. Nauczał, że będą żyć wiecznie, jeżeli zachowają jego przykazania. Zbudował sobie podziemne mieszkanie w górach i przebywał w nim przez czas dłuższy. Kiedy oplakiwali go jako zmarłego, ukazał się ponownie ich oczom, oni zaś uwierzyli jego słowom.

- Jeszcze jedna wersja prastarego mitu.
- Trudno znieść myśl, że wraz ze śmiercią kończy się dla nas wszystko. I niewielu znam ludzi, którzy mogliby z ręką na sercu oświadczyć, że nie wierzą w życie pozagrobowe. Przynajmniej w jakąś jego formę. Jedni będą pani mówić o zachowaniu energii, inni o niedostępnym naszym zmysłom zjawisku przetrwania fal psychicznych...
- A pan? Wierzy pan w te bzdury?
- Tyle jest spraw nie wyjaśnionych...
- Ale to nie powód, żeby rezygnować z racjonalnego stosunku do świata.
- Racjonalizm nie wystarcza. Minie przynajmniej. Wydaje mi się równie naiwny, jak osiemnastowieczne przekonanie o szlachetności dzikusa. Gdybym nawet przyjął, że wszystko na tym świecie jest funkcją materii, to i tak żal by mi było odwiecznych mitów i wierzeń. Bardziej interesuje mnie zagadnienie, po co ludzie budowali te sanktuaria, niż jak zdołali tego dokonać.
- Mówił pan przecież, że potrzebne im były do prowadzenia badań astronomicznych.
- To tylko jedna z hipotez, nie wykluczająca innych interpretacji. Zresztą astronomia w owych czasach ściśle łączyła się z magią i religią, a więc i te budowle

160

wznoszono ku chwale bogów. Niech pani na chwilę zapomni o swych racjonalistycznych przekonaniach, podda się urokowi tej puszczy, zachwyci się widokiem, jaki rozpościera się w dole, niechaj pani bez uprzedzenia wejrzy w głąb siebie...

— Po co?

— Żeby uwolnić się od konwenansów, od utartych schematów, od bezkrytycznie przyjętych pewników, w imię których postępuje pani wbrew porzywom serca i wbrew naturalnym popędom.

— Taki był cel tej podróży do źródeł czasu?

Mircza nie odpowiedział. Siedząc na skalnym bloku, rysował coś patykiem na wilgotnej ziemi.

Sylwia odeszła nieco dalej, zdziwiona, że profesor nie podąży za nią, i rada jednocześnie z tej chwili samotności. Od rana nie mogła wyzbyć się niepokoju wynikłego z ambiwalencji pragnień, ze zmienności uczuć wobec Mirczy, który na przemian drażnił ją i nudził, pociągał i odpychał, wzruszał i śmieszył. Jego filozofowanie wydawało się prymitywne, lecz zawierało przecież ziarno prawdy. Na pewno też Sylwia byłaby szczęśliwsza, gdyby umiała kierować swym losem nie oglądając się na

rozmaite względy, które okazywały się nieważne po pewnym czasie. Co jednak ma w życiu znaczenie trwałe, nieprzemijające? Na czym należy budować egzystencję? Sądziła dotąd, że na pracy, na poznawaniu głębszym tej dziedziny wiedzy, z którą złączyła swe nadzieje. Teraz wszakże straciła pewność, że wybrała słuszną drogę, przeciwnie, czuła jakby żal, że wyrzekła się czegoś, co mogło jej dać nieporównanie więcej szczęścia. Idąc w słońcu przez polanę otoczoną potężnymi bukami, deptając płową, suchą trawę, oddalała się nieskończenie od pracowni chemicznej, od szklanych retort i metalowych przyrządów, powracała do początków istnienia,

11 — Trwaj, chwilo I

161

·
w którym liczyły się prymitywne zjawiska i proste uczucia.

Co dziwniejsze, nie tylko przestała się śpieszyć, lecz zatraciła poczucie czasu. Nie umiała określić, jak długo przyglądała się kępie szafirowych, dorodnych goryczek, ile minut przeleżała z zamkniętymi oczami na wygrzonym kamieniu, póki grzbiet jej nie rozboleł, póki nie pomyślała, że trzeba wracać do Mirczy, który pozostał przy sanktuarium Daków.

Mała jaszczurka przystanęła na krawędzi głazu, śledząc Sylwię wypukłym okiem. Czmychnęła przy pierwszym jej ruchu, skryła się w szczelinie, lecz przecież była w pobliżu, jak wiele istnień, których człowiek nie dostrzega w swoim zaślepieniu. Wśród igliwia przemykały rude mrówki, po skrawku nagiej ziemi pełzały czerwone owady, coś szeleściło w trawie, coś trzepotało w krzakach, las pełen był ptaków, obecność ludzi zakłócała tylko przyrodzony porządek rzeczy.

Czy Sylwia mogłaby tu zamieszkać, jak dawni pustelnicy, oddając się pobożnym rozmyślaniom w chwilach wolnych od koniecznych starań o utrzymanie życia? Czy nieodłącznym warunkiem kontemplacji eą uczucia religijne? Czy możliwy jest powrót do natury po doświadczeniach naszej cywilizacji? A jeśli tak, to w imię czego?

— W imię czego? — powtórzyła półgłosem, odnosząc to pytanie do całej swojej działalności, do nieustannych wysiłków o pierwsze miejsce w wybranej dziedzinie wiedzy, o prymat w instytucie, o poczesną pozycję w gronie specjalistów.

Z daleka zobaczyła Mircze zwróconego twarzą w jej stronę i skinęła mu przyjaźnie dłonią. Wstał z uśmie[^]em, jakby długo czekał na tę chwilę i wiele sobie po niej obiecywał. Oczy mu promieniały, tkliwość wygła-

162

działa rysy. Należało podbiec ku niemu, zarzucić mu ręce na szyję, pocałować w usta, przyłgnąć do niego całym ciałem. Sylwia jednak zwolniła kroku i, opanowując wzrusze-• nie, zapytała rzeczowo:

— Czy nie sądzi pan, że najwyższy czas wracać?

w

Dzień siódmy

Czyni wypełnić pół dnia samotności, kiedy nie ma się chęci na spacer ani na rozmowę z obcymi ludźmi, kiedy niepokój wkradł się w myśli, zamęt wtargnął w uładzo-ne pojęcia? Najlepiej wyciągnąć się na leżaku i z werandy patrzeć na płynące wartko fale Oltu, lecz i to nie przynosi ukojenia, przeciwnie nawet, Sylwia musi myśleć, że przypadkowy urlop wkrótce dobiegnie końca i trzeba będzie wrócić do codziennych utarczek z dyrekcją, do rywalizacji z kolegami, którzy per fas et nefas usiłują wyjechać na ten sam kongres w Ratyzbonie, do powściągnięcia samowoli młodych, którym się zdaje, że na jej miejscu dokazaliby Bóg wie czego, nie rozumiejąc, że to właśnie ona mości im wygodną drogę do zawodowych osiągnięć, że zdobywa dla nich nową aparaturę za ciężkie dewizy, wyklóca się o zagraniczne stypendia, własnym przemysłem sprowadza fachowe pisma i książki, zabiega o publikacje pierwszych prac naukowych, obmyślonych najczęściej przez nią samą i podsuniętych im jak ziarno do dziobania. Oczywiście, nie robi tego bezinteresownie, wie przecież, że w pojedynkę trudno rozgryźć większy problem, że tylko zgrany zespół ma szansę; i oni o tym wiedzą, zapominając wszakże o jednym: że członków zespołu można bez trudu wymienić,

164

kierownika natomiast niełatwo jest znaleźć, bo na jego doświadczenie składają się długie lata pracy. Nie, oni o tym nie zapominają, oni temu przeczą, zarzucając kierownictwu rutyniarstwo i konformizm, jakby w nauce można było cokolwiek osiągnąć li tylko lotnością umysłu. Nie mówią o tym otwarcie, lękają się dyskusji, dbają o swą karierę i premie. Sylwia domyśla się jednak z ich uśmieszków i zdań urwanych na jej widok, że po cichu, za plecami odmawiają jej wszelkich zasług, pomniejszają jej osiągnięcia. Co nie przeszkadza, by przynosili jej na imieniny kwiaty i czekoladki, oczekując zapewne, że zaprosi ich do siebie na małą bibkę. Nie zrobiła tego nigdy. Przez całe lata dom był dla niej miejscem ucieczki przed stresami świata zewnętrznego. Wiedziona instynktem samoobrony, nie pozwalała nikomu wejść do swej kryjówki. Nie do zniesienia wydawała się jej nawet obecność męża, narażała ją

bowiem na drobne, nieuniknione spięcia i przykrości. Jedynie współzycie z córką układało się przyjemnie dopóty, dopóki Asia nie zaczęła wnosić poważniejszych problemów i kłopotów, na które wypadało znaleźć radę. Osiągnąwszy w pewnym okresie niemal zupełną autonomię Sylwia bolała nad swą izolacją, zdając sobie sprawę, że poszukiwanie sensu życia nie może zostać uwieńczone powodzeniem, o ile człowiek nie odnajdzie, wspólnego języka z innym człowiekiem. Uratowała ją przyjaźń z Klarą. Śmierć przyjaciółki przyplącała Sylwia długą chorobą. Przez kilka miesięcy skurcze naczyń wieńcowych budziły ją co noc. Najmniejszy wysiłek powodował bolesne kołatanie serca. Postarzała o kilka lat. Przestała dbać o swój wygląd, porzuciła gimnastykę i sporty. Znajomi szepotali między sobą, że się skończyła. Trzeba było długiej kuracji, by wydzwignęła się z tego stanu i wróciła do jakiejś takiej formy.

165

I oto teraz, przeglądając przywiezione z Polski miesięczniki literackie, znalazła w jednym z nich obszernie fragmenty dziennika Klary. Wprawdzie wiedziała o jego istnieniu, nie przypuszczała jednak, że tak rychło ukaże się on w druku. Zachłannej lekturze towarzyszyło uczucie skrepowania, jakby dopuszczała się niedyskrecji wobec zmarłej, -mimo że Klara na pewno liczyła się z publikacją tych zapisków. Inaczej wszakże czyta je obcy człowiek, a inaczej ktoś, kto nie tylko rozszyfrowuje inicjały, lecz przypomina sobie sytuacje i wydarzenia, w jakich uczestniczyły te osoby. Nasuwało się też nieodparcie pytanie, w jakim stopniu poddano tekst zabiegom redakcyjnym, czym kierowano się w doborze fragmentów, co i dlaczego opuszczono. Jedno nie ulegało wątpliwości: wydrukowany tekst nie odpowiadał wyobrażeniom Sylwii o zmarłej przyjaciółce. Zarówno zakres poruszanych spraw, jak i rozważania o nich nie wyczerpywały intelektualnych możliwości Klary, tak zawsze błyskotliwej i prawdziwie mądrej. Czyżby, powodowana dyskrecją, unikała zbyt dosadnych określeń i ostrego portretowania znajomych, pomijała w ogóle problemy drażliwe? Tekst krył niedomówienia, irytował powściągliwością. Najbardziej wszakże dotknęło Sylwię stwierdzenie, że Klara wspominała o niej rzadko, niejako mimochodem. Czy podobna, by nie wiedziała o jej wielkim przywiązaniu, by nie odwzajemniała uczuć najgłębszej przyjaźni? Dlaczego więc nie dała temu wyrazu, skoro pisała o rozmaitych paniusiach, nie zasługujących wcale na uwagę? Czyżby to porozumienie, tak ważne dla Sylwii, istniało jedynie w jej wyobraźni? Rozczarowanie, które przed pół rokiem, ba! przed wyjazdem z Warszawy przeżyłaby jako tragedię życiową, teraz ledwo ją zasmuciło. Klara znalazła

się poza obrębem jej intymnego świata. Można było myśleć o niej jak o każdej innej osobie, krytycznie i z dystansem,

166

Zresztą sama unikała zbytnej wylewności. Krytycy zarzucali jej chłód i olimpijską powściągliwość wobec postaci, które powołała do życia. Jak ognia bała się czułościowości zarówno w życiu, jak i w sztuce.

Powtarzała Sylwii, że literatura musi być okrutna, że artysta musi rozdrapywać rany, korzystając z całej swojej wiedzy o świecie. („Pisarz — twierdziła — nie nadaje się na przyjaciela, bo prędzej czy później zedrze skórę z najbliższej sobie istoty i wypcha ją słowami.”) Owładnięty myślą o swym dziele, nie ma czasu na kontakty z przyjaciółmi, każde spotkanie rozprasza go i denerwuje, bo pozbawia go tej części energii, która należy się twórczości. Jeśli mówi o swym zamyśle, traci rozpęd, rzecz opowiedziana nigdy nie zagra pełnią barw na kartach książki, rozplynie się w słowach. Krytyka skończonego dzieła budzi w artyście gniew i rozżalenie lub zniechęca go do dalszej pracy. Pochwała wydaje mu się nieszczerą, wręcz podejrzaną, bądź też niewystarczającą czy niestosowną. Nie ma takiego określenia podanego w najlepszej intencji, które by nie mogło dotknąć lub urazić pisarza. Któż zareczy, że i Sylwia nie popełniła jakiejś gafy, nie zraniła ambicji skrywanej pod pozorami autoironii? Albo nie dość okazała podziwu i uwielbienia, traktując Klarę jak równorzędną partnerkę, co mogło jej wydawać się po prostu śmieszne? Wysokie mniemanie o sobie jest nieodzownym warunkiem twórczości; skromność, pokora i wątpienie we własne siły każą człowiekowi siedzieć cicho i podziwiać dzieła innych. Zarozumiałość bywa darem bogów.

Starła się przez chwilę przypomnieć sobie pokój Klary i ją samą na biedermeierowskiej kanapie przy stolyczku z owocami, lecz obraz ten nie wzbudził w niej dawnego wzruszenia i zaraz ustąpił innym, zapamiętanym w ostatnich dniach. Wszystkie kojarzyły jej się z jakimś gestem czy powiedzeniem Mirczy, który niczym jeszcze

167

Sylwii nie uraził, przeciwnie, łagodził jej lęki i niepokoje. Widziała przed sobą jego smagłą twarz, śmiejące się oczy, kształtne dłonie, śmieszne welwetowe pumpki, w których wyglądał jak zapalany działacz PTTK z lat międzywojennych, wytyczający szlaki na użytek młodzieży. Oczy jego młodniały przy muzyce i wpatrywały się uporczywie w partnerkę, jakby chciały wymóc na niej to, czego nie wyraziły słowa, lecz Sylwia zdawała się nie domyślać niczego i pragnęła jedynie, by ta chwila trwała jak najdłużej.

Zabuczał parowóz pociągu pośpiesznego, który w południe przyjeżdżał do Calimaneszti. Echo rozległo się w dolinie. Sylwia spojrzawszy na zegarek uznała, że czas przygotować się do wyjścia. Włożyła buty kupione w Sibi i wiatrówkę wybraną przez profesora, nie mogąc jeszcze oswoić się z myślą, że ktoś zadbał o jej wygodę i zatroszczył się, by ładnie wyglądała. Bardzo rzadko dostawała prezenty, chyba od Asi, a i to raczej przy uroczystych okazjach. Klara podarowała jej raz perfumy o gorzkim, zmysłowym zapachu. Sylwia nigdzie później nie mogła takich znaleźć, mimo że pytała o nie w najlepszych londyńskich magazynach. Widocznie wyszły z mody, przestano je produkować. Nie należy przywiązywać się nawet do perfum.

Przed pierwszą zjawił się profesor w pumpkach i kraciastej koszuli.

Dźwigał plecak wyładowany tak, jakby wybierał się na tydzień w góry.

— Powiedziałem w administracji, że porywam panią do siebie —

oznajmił. — Jeśli przyjdzie wiadomość z Bukaresztu, dadzą nam znać.

— Telefonicznie?

— Skądże! Nie mam tam telefonu ani elektryczności. Będzie pani skazana tylko na światło świec.

— Więc jak nas zawiadomią?

— Przyślą chłopca.

168

Mówił pan, że to godzina drogi. Dla nas. Chłopak przybiegnie w pół godziny. - Obawiam się, że pobyt w pańskim domu wywoła tutaj komentarze.

— Wywołałby, oczywiście, gdyby pani nie była cudzoziemką. Goście zagraniczni są na innych prawach.

— Zwłaszcza dolarowi.

— Albo zaproszeni przez ministerstwo. To prawie na jedno wychodzi.

Czy pani gotowa? Obiad zjemy na górze. Ślicznie pani wygląda w tej wiatrówce.

— Już ją zdążyłam polubić.

Zdziwiła się tym słowem; nie zdobyłaby się na nie wobec nikogo innego, sądząc, że nie wypada okazywać zbyt wielkiej radości z otrzymanych prezentów. Ale z Mircza wszystko układało się naturalnie, po prostu.

— Trochę chłodno dzisiaj — powiedział, gdy wyszli na dwór. —

Wieczorem zapalimy w kominku.

Przeprawiwszy się na drugi brzeg Oltu, ruszyli ścieżką przez las bukowy najpierw łagodnymi zakosami, później stromo wzdłuż łożyska potoku.

Droga stawała się coraz węższa i bardziej kamienista. Profesor szedł

wolno, dużymi krokami, jakby nie czując ciężaru plecaka. Idąca przodem Sylwia przystawała raz po raz, żeby zaczerpnąć tchu. Pachniały przejmująco nawilgłe, buczynowe liście.

Wyszli na słoneczną polankę; mnóstwo zimowitów kwitło liliowo wśród niskiej, płowej trawy. Nieco wyżej pojawiły się w bukowym lesie jodły i świerki. Bór ciemniał, posepniał, gdzieś wyłaniały się szare skałki przyprószone żółtawym porostem.

— Już niedaleko — pocieszał Mircza. — Jeszcze tylko jedno podejście, co prawda trochę strome. Przez wia-trołom. Przed kilku laty wichur powalił las na całym zboczu. Dotąd nie zdołano usunąć szkód.

Wśród połamanych drzew i rozszczepionych pni,

169

wśród wykrotów i wydartych z gliny korzeni szli ostro pod górę, omijając wątle jarzębiny i brzoźki-samosiejki. Profesor schylił się, by podnieść jedną tylko, niezwykle dorodną poziomkę.

— Niech pani zje — powiedział. — Ale przedtem proszę wypowiedzieć w myśli życzenie. Na pewno się spełni. No, o czym pani pomyślała?

— Tego nie wolno powiedzieć.

— Nawet mnie?

— Zwłaszcza panu.

— Widzi pani ten rząd świerków? Za nimi jest moja posiadłość.

Ogrodzona żerdkami, raczej symbolicznie, bo teraz tutaj nikt bydła nie pasie. Proszę poczekać, otworzę bramkę.

— Jak do zaczarowanego ogrodu.

— Pamięta pani tę książkę? Bardzo mi się kiedyś podobała.

Za płotem rósł na stoku zdziczały, śliwkowy sad. W górze, pomiędzy gęstych krzaków wyłaniał się dom drewniany na kamiennej podmurówce, zwrócony frontem ku południowi. Zbocze góry osłaniało go od tyłu, modrzewie strzegły ścian szczytowych. Z prawej strony, na niewielkim tarasie ocienionym dziką wiśnią przycupnęły budynki gospodarskie: szopa, obórka, składzik. Przed nimi pień do rąbania drewna i studnia z kołowrotem.

— Dawniej mieliśmy tutaj krowę i osiołka — powiedział profesor. — Teraz nie ma ich komu doglądać, zresztą ja tu przyjeżdżam na krótko. Dom niszczeje... Naprawiam go, jak mogę, ale dom nie zamieszkały skazany jest na zagładę.

Po kilku kamiennych schodkach weszli na taras, stamtąd na werandę. Profesor rzucił plecak na ławę i sięgnął do kieszeni po klucze. Drzwi wejściowe zamknięte były na potężną kłódkę. Zachrobotał zamek,

stuknęła żelaz-

170

na sztaba, zaskrzypiały drzwi do sieni. Sylwia patrzyła l z góry na korony drzew. Zdawało jej się, że dom, jak arka, płynie po oceanie żółknących liści.

— Sam pan tutaj gospodarzy?

— Teraz będzie nas dwoje. Niech się pani rozgości, zaraz przygotuję obiad.

— Może pomóc?

— Dzisiaj nie. Jutro pani obejmie swoje obowiązki.

Weszła przez mroczną sień do izby, pachnącej dymem i żywicą. W kącie znajdował się wielki, bielony kominek. Ściany jednak nie były otynkowane, grube

: bierwiona poczerniały od starości. W głębi stał drewnia-! ny, bogato rzeźbiony kredens pełen glinianych talerzy i dzbanków. Sosnowy stół z krzesłami oraz dwa tapcza-I niki przykryte kilimkiem dopełniały umeblowania. Na belce u sufitu widniał napis: „Nic nad Boga”. Między dwoma oknami, pod haftowanym ręcznikiem wisiał portret mężczyzny w sutannie. Gęsta broda osłaniała mu pół twarzy, czarne oczy patrzyły surowo, bez uśmiechu.

— Kto to taki? — spytała Sylwia, gdy profesor jął - nakrywać do stołu.

— Ojciec. Był kapłanem, odprawiał nabożeństwa w cerkiewce, którą pani jutro pokażę. Latem przychodzili juhasi wypasający owce na hali, zimą drwale.. Teraz cerkiew zamknięta, bo i komu miałyby służyć? Rodzice moi spędzili tutaj niemal całe życie. Odchowali pięcioro dzieci. Gdy tylko któreś z nas podrosło, wysyłali do krewnych, do szkoły. Wracaliśmy tu później na wakacje, ale coraz rzadziej... Niech pani siądzie tutaj, na miejscu mojej matki. Dostanie pani mamałygę z serem, białe wino i winogrona. Wieczorem urządzimy sobie wy-stawniejszą ucztę.

— Czy nie powinien tu ktoś mieszkać na stałe? Przecież to piękny dom.

— Miałyby dużą wartość, gdyby znajdował się w Cali-

171

maneszti. Ale tutaj? Do zakładów pracy daleko, na miejscu w żaden sposób zarobić nie można.

— Chyba że się pisze dzieła naukowe.

— Trudno pisać bez pomocy książek, z dala od biblioteki. Można tu najwyżej odpoczywać. I to w samotności. Bo znajomi narzekają na prymityw. Brak światła, wody bieżącej, łazienki...

— Mnie się tu podoba.

— Pani jest inna... Właśnie dlatego... Za spełnienie pani marzeń!
— Nie marzę o niczym.
— Nawet o tym, żeby raz jeszcze przeżyć miłość? Pokręciła głową, patrząc na wino w smukłym, szklanym kieliszku. Mircza przykrył dłonią jej rękę.
— Naprawdę?
— Nie należy stawiać takich pytań. Wypijmy za pamięć pańskich rodziców, którzy ten dom zbudowali.
— Z jakim trudem, Sylwio, z jakim wysiłkiem! Kiedy ojciec mój przybył tu po otrzymaniu święceń, mieszkali najpierw w chacie składającej się tylko z jednej izby. Matce łatwiej było z tym się pogodzić, była góralką z biednej, wysoko położonej wioski. Ojciec jednak w seminarium przywykł do pewnych wygod... Pracowali oboje w gospodarstwie, ciułali grosz do grosza, trochę ludzie pomogli, tak że po kilku latach wzniesli najpierw tę część domu, później tamtą, wreszcie izby na pięterku. To dla dzieci, żeby miały gdzie mieszkać podczas wakacji. Bo pieców na górze nie ma.
— Dawno pan stracił rodziców?
— Ojciec zmarł w czasie wojny, i to głupio, na tyfus plamisty. Wezwano go do chorego, który przyjechał z frontu na urlop. No i zaraził się. Wie pani, jaka tu dawniej była bieda, jakie potworne warunki...
Sylwia pamiętała olteńczyków z nosidłami na ramionach; przemierzali ulice Bukaresztu dźwigając kosze

172

i

pełne jarzyn i owoców, głośno zachwalając towar. Widywała ich czasem w letnie noce, jak spali na chodniku z głową na zawiniątku, które kryło cały ich dobytek. Jesienią powracali tutaj, w rodzinne strony.

— Nie byłem nawet na jego pogrzebie, przeżywałem w tym czasie ewakuację Keroza. Słyszała pani o tym? Tłukli w nas pociskami z morza i z powietrza, Niemcy zabrali nam okręty, nie było jak się wycofać, bo drogę lądową odcięto. Przepłynąłem wtedy łodzią rybacką, nie przeznaczoną do takich rejsów... O śmierci ojca dowiedziałem się już po powrocie. Matka nie chciała zamieszkać z żadnym z nas. Nie chciała opuścić domu. To był dorobek całego ich życia. Nie mogła sobie wyobrazić, że dla nas nie przedstawia on właściwie wartości. Zresztą nie umiałyby żyć w mieście.

— Ma pan tutaj fotografię matki?

— Tylko tę jedną, z wesela mojej siostry. Proszę, niech pani spojrzy. Młoda para siedzi pośrodku, rodzice po jej obu stronach. Z tyłu stoją dwie

młodsze siostry i my, bracia.

W banalnej grupie rodzinnej matka Mirczy wyróżniała się urodą i godnością. Siedziała obok zięcia wyprostowana, w ciemnej sukni, trzymając na kolanach książkę do nabożeństwa. Włosy miała rozdzielone pośrodku głowy, gładko zaczesane i upięte nad karkiem. Duże, migdałowe oczy patrzyły śmiało przed siebie.

— Jaka szczupła!

— Bo pracowała bez ustanku, od rana do późnej nocy, w domu i w gospodarstwie. Przędła wełnę, tkala kilimy, robiła na drutach, wyszywała do późnej starości. Ten ręcznik między oknami to też jej robota. Przy tym pilnie przestrzegała postów. Przez cały adwent i wielki post nie tknęła mięsa, jajek, mleka. Suszyła w środy i piątki. Aż dziw, jak smacznie umiała przyrządzać postne potrawy: cudowne zupy na ziołach, puree z fasoli utartej

273

z czosnkiem, kluski z orzechami. A jakie miała konfitury! Z zielonych śliwek, z orzechów w zielonych łupinach, z dzikich czereśni, z malin, ostreżyn i poziomek.

— Nie lękała się chyba nikogo prócz Boga.

— To prawda. Została sama tutaj aż do śmierci. Niech pani sobie wyobrazi, jak tu bywa zimą, kiedy spadną wielkie śniegi, albo wiosną, kiedy nadejdą roztopy. Trudno dostać się do miasteczka. Rzadko tam chodziła, chyba po sól, naftę czy zapałki. A i to ludzie jej zwykle przynosili. Bo widzi pani, wstyd powiedzieć, trudniła się po trosze znachorstwem. Zbierała i suszyła zioła. Na kaszel i na wątrobę, na serce i na wiosenną słabość, przede wszystkim jednak na wrzody, krosty, ropiejące rany od przebicia, rozcięcia czy stłuczenia. Może pani nie da wiary, lecz widziałem na własne oczy, jak szybko się goiły pod wpływem kąpieli w ziołach i okładów z liści, które wyciągają ropę i oczyszczają krew. Tutaj łatwo się zranić na wyrębie czy przy pasieniu owiec. Kto tam z juhasów czy drwali szukałby pomocy lekarza? Przychodzili do matki. Mówiła, że zioła od Boga dane, nie brała pieniędzy, najwyżej przyjmowała trochę bryndzy, wełny z ostatniej strzyży czy wędzonej koziny. Inni odpłacali się narąbaniem drewna albo naprawą dachu. Pieniądzy, któreśmy jej przysyłali, nie tknęła, przeznaczala je na pochówek. Kazała sobie zawczasu zrobić trumnę, postarała się o śmiertelny ubiór, przygotowała nawet talerze i łyżki na stypę. Umarła przed pięcioma laty w okolicznościach zdumiewających. Napisała do mnie, żebym przyjechał, bo chce, żebym zajął się jej pogrzebem. Myślałem, że jest ciężko chora, więc

wsiadłem do auta i przyjechałem tego samego dnia. Zjawiam się po południu i zastaję matczysko krzątające się w obejściu. Kazała mi sięść na werandzie i popatrzeć na sad, cały w kwiatkach. Dom był jak statek płynący po białej pianie. Matczysko wydoiło krowę, ugotowało mamałygę .174

i podało mi ze świeżym mlekiem. „Jedz — powiedziała. — Ostatni raz ci podaję.” Spytałem, co jej jest, czy nie wezwać lekarza. „Nie — odparła. — Tylko czas mój nadszedł. Sprowadź jutro popa z monasteru na górze.” Nagrzała sobie wody, wykapała się w balii, zmieniła obleczenie na łożku, wdziała nową koszulę z szydełkową koronką. Jak zwykle zmówiła pacierz klęcząc przed ikoną. Nazajutrz była bardzo słaba. Gasła w oczach. Chciałem iść po lekarza, nie pozwoliła. Pojednała się z Bogiem i zmarła w dwa dni później. Jeśli nie jest pani zbyt zmęczona, możemy odwiedzić ją na cmentarzu. Tam jest bardzo pięknie.

— Chodźmy zaraz. Zamknie pan drzwi?

— Dla spokoju sumienia. Bo wprawdzie kłódka potężna, lecz jeśli okiennice nie zawarte, każdy przez okno może wleźć do środka. Tylko że prawie nikt tu nie zagląda, odkąd dom stoi pusty. Widzi pani, tą ścieżką matka moja codziennie chodziła do cerkwi. Po śmierci ojca kapłan z monasteru na górze odprawiał tutaj nabożeństwa, zresztą coraz rzadziej, bo wiernych ubywało...

Sylwia wyobraziła sobie chudą, czarno ubraną kobietę, idącą tędy w deszcz, w zawieję. Czy naprawdę nie bała się samotności, chorób, złych ludzi, rozpaczliwych myśli? Skąd czerpała siły i odwagę? Z braku wyobraźni, z wiary, z przeświadczenia, że bez woli Stwórcy włos człowiekowi nie spadnie z głowy? A może na tym pustkowiu żyła spokojniej niż Sylwia w swoim warszawskim mieszkaniu z telefonem pod ręką i córką za ścianą? Może w kołowrocie codziennych zajęć tak dalece jednoczyła się ze światem, że nie odczuwała zagrożenia? Że przędac lub wyszywając osiągała podobny stan ducha, jak Bhagavan Sri Ramana Maharshi podczas wielogodzinnych medytacji? Cóż wiemy o duchowym życiu ludzi zaprzątniętych żmudną pracą, konieczną jedynie dla podtrzymania egzystencji, a więc nie-

175

efektowną, nie pozostawiającą trwałych śladów? Któż to wmówił ludziom, że mają upamiętnić swoje życie?

— Tą ścieżką szliśmy z trumną matki. Bo innej drogi na cmentarz nie ma. Tutaj, przez las — pół biedy. Ale dalej... Właśnie dochodzimy do wąwozu, w którym płynie potok. Teraz prawie wysechł po letnich upałach. Wiosną

jednak z gór spływają śniegi, woda rwie i huczy, pieni się i szaleje. Musieliśmy nieść tę trumnę po kładce.

Sylwia spojrzała z lękiem na wąską deskę, przerzuconą wysoko nad wąwozem. Wprawdzie opatrzona była poręczą z żerdzi, lecz mimo to próżnia otwierająca się pod nią przyprawić mogła o zawrót głowy. Zaciskając zęby Sylwia przeszła parę kroków po kładce. Kiedy jednak zerknęła w dół, chwycił ją taki strach, że zastygła w miejscu. Nogi jej drżały, pot wystąpił na czoło, serce podbiegło do gardła. Wstydziła się przyznać Mirczy, lecz czuła, że lada chwila runie na oślizłe głązy.

— Co pani jest, Sylwio? — spytał. — Niech pani poda mi rękę. Pójdę pierwszy.

Przesunął się zręcznie i przez mgnienie ciała ich otarły się o siebie, ręce splotły. Nagle strach pierzchnął, kładka wydała się szersza i prawie bezpieczna, nogi odzyskały sprawność.

Na brzegu Mircza otoczył Sylwię ramieniem, jakby ją chciał podtrzymać przy nowym podejściu, i ten gest opiekuńczy niezmiernie ją wzruszył.

— Czy mogę ci mówić po imieniu?

Przyzwoliła skinieniem głowy, wdzięczna, że o nic nie pyta, niczego nie komentuje. Dotyk jego ramienia przywracał jej błogie poczucie bezpieczeństwa.

Wyszli wreszcie ma trawiaste zbocze pomiędzy dwoma pasmami lasu, które schodziły się na szczycie, osłaniając drewnianą cerkiewkę, mniejszą niż najbiedniejsza chata. W świetle zachodzącego słońca belki i gonty przy-

176

brały ciepłobrazową barwę. Kilka deszczulek leżało na trawie. Mircza podniósł głowę, objął spojrzeniem szkody, jakie wiatr i deszcz porobiły w dachu. Czerwone grona jarzębin zaglądały do niskich okien.

Otworzył drzwi niezgrabnym kluczem kowalskiej roboty. Wnętrze pachniało kurzem i ziołami. Na ciosanych belkach zachowały się jeszcze malowidła świętych, pokawałkowane warkoczami słomy wetkniętej między bierwiona. Przed ołtarzem stały na wspornikach dwie ikony malowane na szkło. Jedna przedstawiała Madonnę Hodigitrię, druga Chrystusa Pantokratora. Z boku, na niewielkim obrazku Panna Maria, uciekająca z Dzieciątkiem do Egiptu.

W drewnianych, oblażonych z farby świecznikach skamieniały resztki wosku. Pajęczyny przesłoniły szyby okienne. Wyblakł do cna kilimek na podłodze. Mimo to trwał w tej świątyni nastrój dziwnie uroczysty.

— Kiedyś — szepnął z goryczą Mircza — ktoś tu wtargnie, żeby zabrać

stąd ikony i sprzedać je kolekcjonerom, którzy ozdobią nimi ściany między wersalką a telewizorem, chociaż dawno porzucili religię i przykazania wypisane przez Boga na kamiennych tablicach. Ci, którzy tutaj przychodzili się modlić, wierzyli raczej w tradycje przodków — marzenia nawiedzające ludzi w uroczystych godzinach nocy.

Za cerkiewką znajdował się niewielki cmentarz bez nagrobków i krzyży. Mogiły nikły wśród zeschniętych traw, malin i ostreżyn, wśród młodych drzew, które wtargnęły tutaj jako zapowiedź lasu. Dalej zbocze urywało się stromo i skaliście, jakby podcięte od dołu, zawieszane nad głęboką, lesistą doliną. Widnokraj zamykały półkoleście wyniosłe grzbiety gór.

— Tutaj, na samym skraju pochowaliśmy matkę obok grobu ojca. Lubiała tu przesiadywać, patrzeć na Iezer i Papuszę.

12 — Trwaj, chwilo!

177

— Posiedźmy chwilę. Wierzyć mi się nie chce, że znów widzę te góry, po których chodziłam w studenckich latach. Zrobiliśmy kilkudniową wycieczkę z Cim-pulungu. Nocowaliśmy przy ognisku albo w pasterskich szałasach.

— Wróciłaś więc jakby w rodzinne strony.

Nie zaprzeczyła, żeby mu nie sprawić przykrości, lecz mimo zachwyty dla rozległych przestrzeni, mimo wspomnień młodzieńczych czuła się tutaj obco, była tylko przybyszem z dalekiego kraju.

— Dla tutejszych ludzi każda piędź ziemi jest tutaj święta. Każde zbocze, każda dolina... Każda skała roz-prażona słońcem, uroczysta i wyniosła, przechowuje pamięć dawnych zdarzeń. Nawet pył pod stopami przyjmuje nasze kroki przyjaźnie, ponieważ są w nim prochy naszych przodków, i nasze bose stopy odczuwają ten miły dotyk, gdyż ziemia jest pełna życia naszych krewnych.

— Ładnie to ująłeś.

— Nie ja, Seattle. Wódz indiański. Wiele lat temu. Uderzyła mnie trafność jego słów. Groby przodków i krew przelana to najbardziej przekonujące argumenty we wszelkich roszczeniach terytorialnych, aczkolwiek powinno bardziej liczyć się to, co na tej ziemi zrobiono. Wzniesienie fabryk i miast, lotnisk i szos mniej przemawia do wyobraźni aniżeli mity etniczne. Kiedy król Karol II wybierał się do Warszawy, aby przywdziać mundur polskiego pułkownika, również powoływano się na związki krwi. Jedno z pism warszawskich ogłosiło artykuł pt. Węzłami przyjaźni i węzłami krwi król Rumunii związany z Polską. W artykule tym informowano czytelników, że Karol II jest potomkiem jedenastu królów

polских i że w wielu rodach arystokracji polskiej płynie ta sama krew, co .w jego żyłach. Jeden z ówczesnych historyków, Włodzimierz Dworzaczek,

278

opracował dokładnie tablice genealogiczne Karola II, które zostały uroczyście wręczone królowi.

— Nie na wiele mu się przydały, skoro przeszedł na stronę Niemiec.

— Raczej odsunął się na bok i wycofał przezornie z politycznej gry. Ale wracając do tematu, trzeba stwierdzić, że mit etniczny sięga w zamierzchłą przeszłość. Związki krwi z przeszłymi pokoleniami dają prawo do spadku. Trzeba tylko wybrać takich przodków, którzy zostawili godne dziedzictwo. Do tego zmierzały mity o trojańskim pochodzeniu Rzymian czyj o rzymskim pochodzeniu Litwinów. Do tego, jak twierdził wasz profesor Ossowski, zmierzał mit o izraelskim pochodzeniu Anglików. Mit ten, którego twórcą był podobno Milton, przetrwał do ostatnich czasów, na przekór oczywistej prawdzie historycznej. Czy wiesz, że w drugiej połowie ubiegłego stulecia zawiązało się w Anglii stowarzyszenie pod nazwą Anglo-Izrael-Iden-tity Society, które postawiło sobie za zadanie udowodnić żydowskie pochodzenie współczesnych Brytyjczyków? Nie tak dawno podobne próby czyniono w Ameryce: w 1925 roku niejaki McGuinnis, pastor, zwołał w Colorado zjazd Anglosasów, którzy wierzą, że są potomkami plemion izraelskich, w celu zawiązania odpowiedniej federacji. Współcześni Grecy pielęgnują wiarę, że są potomkami starożytnych Ateńczyków i Spar-tan, pomimo iż skład ludności Półwyspu Bałkańskiego uległ wielkim zmianom w ciągu dwóch ostatnich tysiącleci. Grekom, oczywiście, ułatwia tę wiarę ich język, ponieważ język uchodzi powszechnie za kryterium pochodzenia.

— Gdybyż można było udowodnić, że Dakowie mówili po rumuńsku...

— Tego udowodnić się nie da, ponieważ nie znali pisma i nie zostawili po sobie żadnych tekstów. W każ-

12»

179

dym razie dotąd nie udało nam się znaleźć. Jednakże w wielu nazwach miejscowości doszukiwano się dackiego źródłosłowu...

Kiedy tak z naukową powagą mówił o rzeczach, które uważała za bziaki lub urojenia, wydawał się jej trochę niepoważny. Czuła nad nim przewagę z tej racji, że jej praca polegała na ustalaniu zjawisk sprawdzalnych i wymiernych. Przyznawała mu jednak, iż w imię różnych pseudoprawd i urojeń podejmowano wojny i mordowano się ze świętym zapałem, czyli że

społeczne oddziaływanie mitów było większe niż korzyści z laboratoryjnych wynalazków uczonych. Racjonalizm nie lepiej uzbroił Sylwię przeciw trudnościom życia niż profesora jego mglisty światopogląd. Głupstwo rozum zjadło. Nie jest się pewnym nawet własnego krytycyzmu. Każde pobudzenie instynktowne w jakiś sposób wyłącza korę mózgową; wyższe ośrodki układu (nerwowego przestają działać i człowiek robi tysiąc głupstw, nazywając ten stan zakochaniem. Oparła głowę na ramieniu Mirczy. Objął jej plecy prawą ręką i przyglądał się długo jej dłoniom.

— Nie nosisz obrączki?

— Dawno już się rozwiodłam.

— Jeśli dwoje ludzi znających dobrze życie spotyka się w sprzyjających warunkach i stwierdza, że dobrali się jak w korcu maku...

— Takie spotkania nie mają przyszłości.

— „Obyś mi, chwilo piękna, nie minęła!” Pamiętasz ten okrzyk Fausta?

— Już parę razy powiedziałaś głośno coś, co sobie wcześniej pomyślałam.

— Potwierdza to uniwersalizm kultury śródziemnomorskiej. Te same lektury, skojarzenia, metafory... Chyba że wierzysz w pokrewieństwo dusz.
180

— Żartujesz! Zresztą jesteśmy całkiem różni.

— Pokrewieństwo nie wyklucza różnic.

— Co dziwniejsze, różnice te nie budzą we mnie sprzeciwu. Zdaje mi się, że cię rozumiem i akceptuję we wszystkim, nawet w tym, co wydaje mi się bardzo obce.

— To nam dobrze wróży, bo nic tak nie ciąży nad zażyłością dwojga ludzi, jak pozorne zwycięstwo tego, kto chce zyskać przewagę i dąży do zawładnięcia drugim. Każde musi zachować swoją autonomię. Jeśli w małżeństwie udało się jednemu z partnerów zyskać dominację nad drugą osobą, to wyrządza krzywdę i jej, i sobie. Zakłóca bowiem równowagę współżycia, równowagę między dawaniem i braniem, która jest konieczna w stosunkach między ludźmi. Czasem kochamy kogoś nie tylko pomimo jego wad, ale jakby ze względu na te wady, bo pomniejszają one w pewnej mierze jego życiowe szanse. Pragniemy osłonić go przed wszystkim, co zagraża mu z racji tej jego słabości. Czujemy się odpowiedzialni za jego poczynania, lecz nie powinniśmy niczego mu narzucać.

— W praktyce zawsze ktoś kogoś bierze za łeb i nie pozwala mu zipnąć.

— Nie zawsze.

Powiedział to takim tonem, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że

przecież można spróbować. Uśmiechnęła się do tej myśli, całkiem niedorzecznej, skoro za dzień lub dwa mieli się rozstać i nie ujrzeć więcej. Stwierdziła to jednak z pewnym żalem i była wdzięczna Mirczy za stwarzanie złudzeń. Niesłusznie chyba wybrała w życiu samotność. Dopiero w dojrzałych latach małżeństwo objawia swoje lepsze strony. Zmęczyła się samotną walką z przeciwnościami, chętnie rozłożyłaby ten ciężar na dwoje. Brakowało jej męskiej tkliwości,

181

zainteresowania, erotyki osłoniętej uczuciem, które pozwoliłoby przełamać opory i wstydlivość, zrodzoną ze świadomości przekwitania. Jesteśmy sobie potrzebni jak ziemi potrzebna woda, jeśli plon ma przynieść.

— przypomniła sobie słowa ulubionego wiersza.

Ach, czy to miłość?

Jej owoce przecież dawno dojrzały i mówimy o nich: daleko padły jabłka od jabłoni. A więc jałowe lata nas czekają — dwoje wygnańców z miłosnego raju? Tylko trud dzielić i codzienny chleb czy potrafimy, aby nie był gorzki? Spróbujmy jednak.

Po burzliwym dniu cieszy łagodny i spokojny zmierzch.

Podaj mi rękę. Nie jesteśmy sami. Jabłoń przekwitła, lecz pachnie jabłkami.*

Czy potrafiłaby obnażyć się przed Mircza i czy wytrzymałaby jego wzrok przy pełnym świetle?

— O czym myślisz, Sylwio?

— O sprawach tak banalnych, że aż wstyd o nich mówić.

— Wrażliwość na rzeczy zwykłe staje się coraz rzadsza. Z jednej strony film, prasa i literatura dostarczają nam coraz okrutniej szych wrażeń, z drugiej farmakologia stara się zniweczyć ból, ułatwić wysiłek, uchronić nas od zmartwień i rozdrażnienia. Obawiam się, że z czasem człowiek nie będzie mógł się cieszyć ani przejmować niczym, że w dużym stopniu straci zdolność spostrzegania i odczuwania. Słusznie napisał Lorenz, iż rzadko ra-

• Ludmiła Mariańska, *Małżeństwo* (z tomu pt. *Rzeki*, Czytelnik 1969).

182

dość przychodzi bez pracy i bólu. Kawa natychmiast gotowa do spożycia przypomina pośpieszny stosunek erotyczny: oszczędzamy wprawdzie czas, lecz tracimy coś więcej.

— A jednak przywykliśmy do naszej neski czy ma-rago.

— Zbyt łatwo przyzwyczajamy się do tego, co nas zuboża lub

poniejsza. Wyrzekamy się prawdziwie cennych wartości w imię mało ważnych celów. Gdybym ci zaproponował, żebyś po skończeniu rozmów w Bukareszcie wróciła tutaj na tydzień, stwierdziłabyś na pewno, że to niemożliwe.

— Oczywiście.

— I przytoczyłabyś pozornie słuszne argumenty. Pozornie tylko, bo cóż może być ważniejsze dla nas, jak przeżycie razem tego, co jest darem losu.

— Obowiązki.

— Świat się nie zawali, jeśli weźmiesz teraz należny ci urlop.

— Przyjechałam tutaj służbowo. Muszę wrócić w u-stalonym terminie.

— No to wróć, postaraj się o urlop i przyleć najbliższym samolotem jako zwykła turystka. Będę czekał i liczył dni do twego przyjazdu.

— Różne sprawy wymagają mojej obecności w Warszawie.

Przestał nalegać, przyjmując jej słowa za dobrą monetę. Nie była z tego rada, przeciwnie, ogarnęły ją wątpliwości, czy dobrze rozgrywa tę partię, może ostatnią w życiu, czuła jednak wdzięczność, że właśnie tego argumentu nie wysunął. Jakież właściwie sprawy zmuszały ją do spędzenia reszty lata w Warszawie? Gdyby nawet przyjąć, że dwutygodniowy urlop osłabi jej pozycję, zmniejszy szansę sukcesu, czy nie byłoby jednak warto machnąć na wszystko ręką i przyjechać tutaj?

183

Wyobraziła sobie te spacerunki, wycieczki, rozmowy, wspólne noce. Bardziej niż kiedykolwiek pragnęła zbliżenia z mężczyzną. Ciało poskramiane przez tyle czasu domagało się ponownie swoich praw. Powściągliwość Mirczy zaczynała ją irytować. Zapewne odepchnęłaby jego ręce, niechby jednak dotknął jej piersi, bioder, łona, dając przedsmak tego, co mogła przynieść wspólna noc, kiedy hamulce pryskają, pragnienie ogłusza i oślepia, nagość staje się konieczna.

Wracali w milczeniu tak wymownym, że przyśpieszenie kroku, zetknięcie rąk przy przejściu nad wąwozem, drgnienie suchych warg, kiedy dziękowała za pomoc, wszystko zdradzało jej myśli wyzwolone spod władzy rozsądku. W lesie zapadał już zmrok, raz po raz odzywały się urywane krzyki ptaków jakby czymś spłoszonych, potok huczał wśród ogromniejących, czarnych głazów, rzeźkość powietrza wprawiała w stan radosnego podniecenia, ciągnący od wody chłód przynaglał do szukania noclegu. Z wysoka ujrzeni dom na trawiastym tarasie, wtulony bezpiecznie między drzewa.

Kiedy Mircza mocował się z kłódką, Sylwia pomyślała, że oto za chwilę znajdą się w przyjaznym półmroku. Trzeba było jednak przynieść wody ze

studni, szczap z drewni, rozpalić ogień pod płytą kuchenną, przygotować kolację. Siedząc na werandzie, przyglądała się jego krzątaniu, zręcznym ruchom człowieka, który tutaj się wychował. Poszła za nim do kuchni. Różowy blask padał na popielnik. Skąpe światło świeczki wydobywało z ciemności półkę z naczyniami, szafkę topornej roboty, ławę pod oknem i stolik przykryty ceratą. Cień mężczyzny poruszał się chybotliwie na białej ścianie. Ciepło rozleniwiało.

Zjedli w kuchni, byle prędzej, po czym z butelką wina przeszli do izby i roznieciwszy ogień na kominku siedli przy nim blisko siebie. Dopiero teraz Sylwia po-

184

•czuła się zmęczona. Przyjemnie było myśleć, że nie trzeba śpieszyć się donikąd, że wieczorne godziny popłyną wolno w głębokiej ciszy uśpionego domu. Nad różowym żarem brzoźowych polan pełgał błękitny płomyk. Niekiedy kilka iskier z trzaskiem rozświetlało czeluść komina. O takiej chwili marzy się latami.

Profesor długim pogrzebaczem poprawił drwa na palenisku, odwracał tlejące główne. Nucił przy tym jakąś znaną melodyjkę, kojarzącą się Sylwii z latami studiów.

Nagle z sadu doleciał dziewczęcy śmiech. Mircza wyprostował się i czujnie nadśluchiwał. Cisza trwała jeszcze chwilę, później zmaćił ją tupot kroków na kamiennych schodkach. Zanim profesor zdołał wyjrzeć na dwór, drzwi wejściowe stuknęły z impetem o ścianę i do izby wtargnęła czwórka młodych, słabo widoczna w ciemności.

— Cześć, tato! — zawołała wysoka dziewczyna. — Zrobiłam ci niespodziankę! O, przepraszam, nie wiedziałam, że masz gościa!

— Nic nie szkodzi. Kto tu jest z tobą?

— Ionel, przecież go znasz — popchnęła ku ojcu jednego z mężczyzn. — A to Carmen, moja przyjaciółka, i jej narzeczony. Nik, postaw radio na stole. Tato, przedstaw nas tej pani.

— Pozwól: moja córka Florika.

— Miło mi poznać.

— Naprawdę? — zdziwiła się dziewczyna. — Przysięgłabym, że wpadliśmy nie w porę. Mieliśmy właściwie przyjechać jutro z rana, lecz zapewniłam ich, że i po ciemku trafię, więc Nik dał się ubłagać i przywiózł nas swoim wozem. Tato, masz coś do żarcia? Bo umieramy z głodu.

— Nie wzięliście nic ze sobą?

— Whisky i radio, żeby posłuchać transmisji meczu. Która to godzina?

Tak ciemno, że nic nie widzę. Ionel,

185

weź z półki lampę i zapal. Nik, nastaw radio. Więc jak tam z aprowizacją, tato?

— Coś się znajdzie. Chodźcie do kuchni, to wam pokażę.

Sylwia została sama przy kominku. Dom napełnił się gwarem, śmiechem, tupotem młodych nóg, pobrzękiwaniem wiader, z którymi ktoś biegł po wodę, łoskotem polan, spadających w kuchni na podłogę, brzękiem naczyń i talerzy.

— Gdzie tu można się umyć? — pytała słodkim głosem Carmen.

— Miednica stoi w kącie.

— Zaraz przyniosę ręcznik — ofiarował się Mircza przechodząc do sieni. Skrzypnęła szafa z bielizną.

— Co to za facetka, tato? — doleciał szept Floriki.

— Cudzoziemka.

— Przecież mówi po rumuńsku.

— Przyjechała z Polski na kilka dni.

— Czemuś nie uprzedził, że będziesz z nią tutaj gruchał?

— Wcale nie grucham. To uczona, laureatka nagrody państwowej w dziedzinie chemii.

— Maria Curie też miała dzieci.

— Floriko, postaraj się być uprzejma!

— Wiesz, że nie umiem. Takie podstarzałe Dulcyne-je okropnie mnie wkurzają. Daj już ten ręcznik! Moi drodzy — powiedziała głośno — weźcie to wszystko i chodźmy do jadalni. Nie zmieścimy się tutaj, przy tym stoliczku zastawionym brudnymi naczyniami. Tata zawsze każe mi sprzątać po sobie, a sam robi bałagan.

— Może byśmy jednak... — oponował Ionel.

— Wykluczone! Carmen, weź kieliszki. Dla staruszków także. Niech wypiją z nami, posłuchają radia. Widzisz przecie, że żyją tu po ciemku jak troglodyci.

Syczące światło gazowej lampy, jazgot radia, głośne

186

rozmowy młodych stworzyły atmosferę schroniska, w którym nikt nie wysiła się na grzeczność. Jedyne Mircza starał się o zachowanie protokołu i te jego starania wydały się Sylwii żalosne. Wskazał jej szarmancko miejsce przy stole, siadł obok i usiłował zabawiać ją żartami, chociaż widział, że go nie słucha, przyglądając się uważnie jego córce. Wyglądem przypominała trochę Asię, była jednak bardziej wyrazista i

agresywna. Ciemne, bujne włosy puszy ście okalały jej twarz i spadały na odsłonięty kark. Biała trykotowa bluzka z dużym dekoltem ciasno przylegała do piersi o dużych, ciemnych brodawkach. Przy śniadej cerze i silnych rumieńcach zęby wydawały się jeszcze bielsze i bardziej drapieżne. Ionel gapił się na nią z cielecym zachwytem, którego nie raczyła dostrzegać. Carmen, także ciemnowłosa, lecz brzydsza od niej, poruszała się ospale i pieściła jak dziecko. Kiedy Nik chciał napełnić winem jej kieliszek, przykryła go dłonią i powiedziała z zabawnym wyrzutem:

— Wiesz chyba, że ja piję tylko whisky.

— Bez lodu?

— Powinno być jeszcze trochę w termosie — stwierdziła Florika. — Zobacz, Ionel.

— Na szczęście jest.

— Pani woli wino? — zwróciła się do Sylwii.

— Tak.

— Przecież w Polsce pija się mocniejsze alkohole.

— Na ogół.

— A pani jest indywidualistką? Nie znosi pani tłumu? Ceni tylko to, co rzadkie, co wyjątkowe? Nie żadne tam bigbity ani poparty?

— Spędzam większość czasu w laboratorium.

— Poświęca się pani dla szczęścia ludzkości?

— Po prostu robię to, co lubię.

— Rozumiem. Aspiracje wyższego rzędu, rozległe ho-

187

ryzonty i uśmiech politowania dla takich jak my prymitywów.

— Pani jest na studiach?

— Tak się to mówi. Zapewniam jednak panią, że z prawdziwą nauką niewiele ma to wspólnego. Raczej ze szkółką dla maluczkich. Temaciki stąd dotąd. Wszystko przeżute na papkę. Żeby, broń Boże, nie zaległo nam się w głowach jakieś własne myślatko.

— Myślenie ma kolosalną przeszłość! — zaśmiał się Nik.

— Zawsze w grupie, zawsze w zespole, jednostka się nie liczy, nie powinna liczyć się w każdym razie. Odpowiedzialność zbiorowa.

Kolektyw, który wychowuje, trzyma za poły, żebyś, bracie, przypadkiem nie pofrunął w przestworza.

— Przestań, Floriko, ty naprawdę nie masz powodów do utyskiwań!

— Jasne, tatusiu. Mam anielskie życie i wspaniałego ojca. Pani poznała się na nim, prawda? Uczony o sławie europejskiej, w dodatku romantyk.

- Nie błaznuj!
- Tylko błaznowanie trzyma mnie przy życiu. Inaczej odkręciłabym gaz.
- Nie znoszę, gdy naśladujesz młodych gniewnych.
- Masz dla mnie lepsze wzory? Może Simone Weil?
- Po co szukać tak daleko?
- Z perspektywy sprawiedliwiej się ocenia. Czy chcesz, żebym była podobna do którejś z twoich znajomych?
- Chcę, żebyś nareszcie zmądrzała.
- Mądrość nie ma dziś wzięcia. Zostałabym starą panną.
- To ci nie grozi! — wtrącił Ionel ze śmiechem. — Ja pierwszy ożeniłbym się z tobą choćby zaraz.

188

- Dzięki za ofertę. Byłbyś cudownym mężem, gdyby rodzice do śmierci dawali ci na utrzymanie.
- Od jesieni zacznę zarabiać.
- Tyle co kot napłakał. Wiem, wiem, masz wspaniałe widoki na przyszłość jako geolog. Będziesz jeździł po całym kraju na próbne wiercenia. Raz na miesiąc wpadniesz do domu, żeby zrobić dziecko swej ślubnej małżonce, która będzie mieszkać na prowincji, opływając w dostatki na skalę powiatową. Urodzi ci czworo dzieci, roztyje się, zgłupieje, a wówczas ty poznasz gdzieś w terenie prześliczną nastolatkę.
- Czworo dzieci to program maksimum! — powiedział Nik dolewając do kieliszków.
- To program państwowotwórczy! W kraju, gdzie nie wolno używać środków antykoncepcyjnych, a skrobanki karze się więzieniem, kobieta staje się znowu niewolnicą. Po diabła kończyć studia? Wróćmy do haremu.
- Kobiety jakoś sobie jednak radzą.
- Z pomocą twego czcigodnego ojca.
- Nie mieszaj go w te sprawy!
- Podoba mi się, że jesteś lojalny. Gdyby ci zabrał wós, straciłbyś połowę powodzenia u dziewczyn.
- Dlaczego miałby mi go zabrać?
- Nigdy nie wiadomo, czego można się spodziewać po rodzicach. Mój tata, na przykład, zapewnił mnie, że wybiera się tutaj samotnie. Chciałam go odwiedzić i pożyczyć wóz, żeby pojechać nad morze.
- Z Saszą?
- Nie twój interes. Chciałam pojechać nad morze. Bo skoro ojciec miał siedzieć tutaj, w górach, samochód był mu chyba niepotrzebny. A tymczasem zastajemy pana profesora w towarzystwie polskiej uczonej, z

którą na pewno jeździł na wycieczki, żeby jej zademonstrować uroki naszego kraju.

— Floriko!

189

— Mówię szczerą prawdę. Czy podoba się pani moje imię?

— Bardzo.

— Takie zgrzebno-jsiermiężne? Wsiowo-pospolite?

— Któż pani zabrania zmienić je na codzienny użytek?

— Tata. Utrzymuje, że imię w magiczny sposób wpływa na człowieka, kształtując jego osobowość. Na przykład Carmen. Widzi pani, jaka jest namiętna? Ogień z niej bucha po prostu. Nik chodzi w azbestowym podkoszulku, żeby nie narazić się na poparzenie. Ja mogłabym być Samantą, Renatą, nawet Mariana. Ale Flori-ką...

— Babka cię tak ochrzciła.

— Opowiadał pani o niej? Boże, cóż to było za dzi-wadło! Sucha jak szczapa, z oczami jak spodki, w wiecznym ruchu, pewno miała nadczytność tarczycy, słodko uśmiechnięta, milcząca pogardliwie, uparta do niemożliwości, przekonana, że tylko ona poznała prawdziwy sens życia, polegający na postach, modlitwie i dobrych uczynkach. Mówię pani, okaz muzealny!

— Przestań! — Profesor wstał gwałtownie od stołu. — Miej tyle przyzwoitości, żeby przynajmniej tutaj...

— Tutaj czy gdzie indziej, co za różnica! — roześmiała się grubiańsko. — Nik, nalej mi jeszcze, wypijemy za spokój jej duszy!

— Za dużo pijesz — wtrącił Iomel. — Pleciesz głupstwa i będzie ci później wstyd.

— Moglibyśmy zatańczyć — Nik nastawił radio. — Taka dobra muzyka.

— To jest myśl! Odsuniemy tylko stół na bok. Pani też się trochę rozerwie. Za wieczną młodość, pani Sylwio!

— Ionel ma słuszość, nie powinnaś więcej pić.

290

— Tylko bez morałów, tato. Znasz tę piosenkę? Ścisź radio!

Stała pośrodku izby w długiej, kwiecistej spódnicy i opiętej trykotowej bluzce, ujęła się pod boki jak pijana Cyganka z przedmieścia i zaśpiewała niskim głosem:

Ponoć Pan Bóg spił się raz, no i wtedy stworzył nas. Hej, hej, pijcie wino, bo przy winie smutki giną!

— Nie mogę tego słuchać! — mruknął Mircza. — Ona po prostu sili się na wulgarność. Chodźmy stąd, Sylwio!

Florika zastąpiła im drogę i zbierając ręką fałdy szerokiej spódnicy, kołysała biodrami w takt piosenki.

— Brawo, jesteś cudowna! — Nik klaskał z całej siły, nie tyle zachwycony, ile zażenowany jej występem. Komplementy miały skłonić ją do spoczęcia na laurach. Wywinęła mu się jednak i ochryple wykrzykiwała dalej::

Aniołowie, co tu kryć, też lubili winko pić. Hej, hej, pijcie wino, bo przy winie smutki giną!

— Dość tego! — powiedział ostro Ionel. — Nie wygłupiaj się!

— Dlaczego? Dlaczego wszyscy się gorszycie, jakby was nigdy nie uczono, że Boga nie ma, a religia to opium dla ludu. Ja w ramach walki z mistycyzmem. Zasluguję na pochwałę. Na zamieszczenie zdjęcia w gazecie ściennej. Jako przykład elementu ideowo uświadomionego!

— Przestań — syknął profesor. — Wszystko ma swoje granice.

192

— Wszystko powinno znaleźć się we właściwej szufladce, prawda? Bo jak nie, to klops i obraza, prawda, ta-teńku?

— Chodźmy, zatańczymy! — Nik pociągnął ją ku sobie. — Ionel, pełnij obowiązki mężczyzny! Zatańcz z Carmena, bo uśnie nad kieliszkiem.

— Nie zatańczysz, tateńku? — spytała Florika przytulając się całym ciałem do partnera. — Skoro już mi popsuleś wakacje i złamałeś życie... , — Głupstwa pleciesz!

— ...To przynajmniej nie żałuj sobie! Spójrz, jaka ta pani smutna.

—• Floriko!

—■ Mogłam być teraz w Mangalii, tańczyć z Saszą i całować go, o tak!

— Uważaj! — krzyknęła histerycznie Carmen. — Bo ja... Jana to nie pozwolę!

— Co mi zrobisz? — zaśmiała się Florika i znów poszukała ust partnera, który wsunął rękę pod jej bluzkę.

— Widzisz, Ionel! Widzisz? Bezwstydni! A ty pozwalasz jej na wszystko! Lelum polelum! Daj jej w papę! No! i— krzyknęła Carmen.

Wyrywała się z jego objęć, gotowa do rękoczynów. Ionel trzymał ją mocno.

— Wyjdźmy! — Sylwia pociągnęła Mircze do sieni. —• Tak mi przykro, doprawdy! Nie mam po prostu słów.

— Żeby tylko nie doszło do bijatyki. Za dużo wypili.

— Teraz Florika nie będzie miała przed kim się popisywać.

Nasłuchiwali chwilę w ciemności pod zamkniętymi drzwiami. Muzyka

zagłuszała wszystko.

— Pewno myślisz, że ją fatalnie wychowałem. Ale to naprawdę nie jest zła dziewczyna. Dziś tylko jakoś tak...

192

Była zdenerwowana, wściekła, nerwy ją poniosły. Nie wiem, co ją napadło...

— Ale ja wiem.

— Bardzo cię przepraszam. •

— Nie rna o czym mówić.

— Zaprowadzę cię teraz na górę. Wezmę tylko świecę. Ostrożnie, tutaj są schody. Trochę wąskie, ale...

— Nie szkodzi.

— W tym pokoju sypiałem za iStudenckich czasów, kiedy przyjeżdżałem tutaj na wakacje. Trochę tu prymitywnie: łóżko drewniane, siennik wypchany słomą, miednica, woda w dzbanku.

— Dziękuję, nic więcej mi nie potrzeba.

— Nie zamknąć okna? Bo noc będzie chłodna, niebo takie wygwieżdzone. Może się zdarzyć nawet przymrozek.

— Zamknę,- jeśli mi będzie zimno.

— Zapowiada się piękna pogoda na jutro.

— Chyba tak.

— Pójdziemy na cały dzień w góry. Dobrze?

— Dobrze.

— Nie masz do mnie żalu, Sylwio?

— Wcale.

— Odpowiadasz tak jakoś lakonicznie...

— Jestem bardzo zmęczona.

— No to dobranoc...

— Dobranoc.

— Spij dobrze...

Wzięła świecę z jego rąk i postawiła na stolyczku. Mircza stał za jej plecami. Słyszała jego oddech, niemal bicie jego serca. Zacisnęła mocno powieki.

Stuknęły cicho zamykane drzwi, zaskrzypiały schody i oto Sylwia znalazła się sama przy mansardowym oknie, otwartym na rozgwieżdżoną noc.

Zdmuchnęła świecę, wyrzła w dół na nieruchome korony śliw i zdziwiła

13 —Trwaj, chwilo!

193

się ciszy zmaconej tylko szumem odległego potoku. Czyżby tam, w

jadalni, wyłączono radio i układano się już do snu?

Była zbyt zaskoczona niespodziewanym obrotem zdarzeń, by pozwolić sobie na żal czy oburzenie. Nade wszystko chciała odpocząć i przespać uczucie niesmaku, wywołane w równej mierze nierozsądnym zachowaniem się Floriki, jak i własną gotowością ma to, co się nie stało. Czuła przez skórę, że Mircza kocha córkę ponad wszystko i że poświęciłby dla niej bez namysłu każde inne uczucie, łudząc się, iż dzięki temu zachowa jej przywiązanie. Florika, zaborcza i samolubna jak większość młodych dziewczyn, świadomie wyzyskiwała swą przewagę, nie panowała i nie chciała panować nad zazdrością. Kto wie, czy Asia w podobnej sytuacji nie okazałaby się równie bezwzględna.

Chłodna woda niosła przedsmak spokoju i wytchnienia. Sylwia umyła się starannie, bez pośpiechu, rytuał codziennych czynności przywracał jej równowagę. Kiedy w nocnej koszuli, zarzuciwszy wiatrówkę na ramiona, podeszła do okna, stwierdziła, że niemal odechciało jej się spać. Miała dziwne uczucie, iż znajduje się znów w Cimpulungu ma obozie studenckim i za chwilę pójdzie na nocny spacer z mężczyzną, który nawet jej nie pocałował. Przy pełni księżyca bładzili wówczas po zamglonych nadrzecznych manowcach, oglądali krople rosy na ogromnych pajęczynach rozpiętych między gałęziami olszyn i patrzyli z góry na śpiące miasteczko. Nigdy chyba Sylwia nie widziała piękniejszej nocy. Wróciła dopiero o świcie, o czym jej współlokatorki nie omieszkały rozpowiedzieć wszystkim, a przede wszystkim Monice.

Była to dziewczyna miezbyt na pozór interesująca, lecz pogodna, schludna i taka jakaś apetyczna. Przygotowywała się właśnie do egzaminu z prawa rzymskiego,

294

które nudziło ją niewymownie. Wierzyła święcie, że po wojnie wyjdzie za mąż za swego narzeczonego z Katowic. Pisywała do niego długie, maiwme listy. W Cimpulungu jednak poznała pewnego lotnika, który lada dzień miał przez zieloną granicę podążyć do wojska. Spowiadała się ze swej rozterki właśnie Sylwii, lecz temperatura zwierzeń stawała się dziwnie gorąca. Były nierozłączne, łączyły na długie spacery po górach, zapominając często o posiłkach. Sylwia rewanżowała się zwierzeniami, wszakże te rozmowy rniej się liczyły niż wzajemna bliskość i ten rodzaj poufałości, któremu nic jeszcze nie można było zarzucić, a który już budził przejmujące dreszcze. Sylwia znała go z lat dziecińczych, kiedy podczas wakacji bawiła się z rówieśniczkami na strychu lub w gumnie. Pamiętała niemal niewinne pocałunki, obnażanie się w półmroku, czujne

ogłędziny i szeptem wymieniane spostrzeżenia. Ponieważ Monika zajęta była lotnikiem, Sylwia próbowała flirtować z towarzyszem nocnego spaceru. Napięcie erotyczne narastało, koledzy z ciekawością śledzili rozwój sytuacji, tym bardziej że kierownictwo obozu nader dbało o moralność polskiej młodzieży.

Pewnego dnia czwórka przyjaciół wymknęła się w góry, na Iezer i Papuszę, wbrew woli komendanta, prawie bez pieniędzy i bez należytego ekwipunku. Sypiali przy ognisku, żywili się gotowaną w kociołku kaszą i mama-łygą, wędrowali bezdrożami w cudownym poczuciu całkowitej swobody i bezkarności. Pogoda im sprzyjała: przez tydzień ani chmurka nie przesłoniła słońca. Kapali się o świcie w górskich stawach. Zachodzili do pasterskich szałasów, a wielkie, groźne owczarki nie czyniły im krzywdy. Świat otwierał się przed nimi na o-ścież. Nie przypuszczali wówczas, że tak prędko rozejdą się w różne strony. O lotniku w ogóle słuch zaginął. Towarzysz mocnego spaceru wyemigrował do Australii.

I3*

295

Monika po wielu niedolach zamieszkała w Niemczech. Sylwia nie otrzymała od nich ani jednego listu, ani jednej kartki z życzeniami świątecznymi, jakby pamięć o letniej wycieczce należało pogrzebać wraz z innymi wspomnieniami młodości.

Ona również nie wracała myślą do tamtej górskiej wyprawy. Dopiero dzisiaj biała noc, tak podobna do lipcowych nocy w Cimpulungu, przekreśliła czas, jaki je rozdzielał. Trudno było uwierzyć, że minęło lat trzydzieści, że pierzchła młodość, że dobiega końca najlepszy okres życia, że spodziewać się trzeba nadejścia chorób, smutków, zwątpień i rozczarowań. Stojąc przy otwartym oknie, wsłuchana w szum potoku, żegnała się z czymś, co odchodziło na zawsze.

Dzień ósmy

--

Snilo jej się, że ktoś przyciszonym głosem rozmawia na schodkach przed domem. Nie hałas jednak wyrwał ją ze snu, lecz jakby poczucie obowiązku, konieczność spełnienia czegoś, co sobie nakazała. Przez chwilę jeszcze wierciła się na niewygodnym pościeliu, daremnie próbując odgadnąć, kto i o czym naprawdę mówi tam na dole. Ptasie świsty i świergoty odzywały się bliżej i zagłuszały słowa. Na bieloną ścianę izby padał różany blask poranka. Powietrze pachniało cierpko pierwszym szronem.

Wstała wreszcie i wyjrzała na dwór. Profesor w wel-wetowych pumpkach

i grubym swetrze wyjaśniał coś chłopaczkowi, który uparcie obstawał przy swoim. On też pierwszy dostrzegł stojącą w oknie Sylwię i wskazał ją palcem. Domyśliła się, że przyszedł po nią z Calima-neszti. Skinęła głową i uśmiechnęła się na znak, że wie, o co chodzi. Profesor dorzucił kilka słów i chłopak pędem puścił się w dół, do miasteczka.

Kiedy zeszła do kuchni, śniadanie czekało na stole. Po wczorajszej kolacji nie widać było nawet śladu. Naczynia stały ma miejscu, świeżo wytarta cerata pachniała czystością. Pod płytą buzował ogień, woda kipiała w czerwonym czajniku, spod jego pokrywki wypryski-

197

wały krople wrzątku. Profesor krzątał się ze zdwojoną energią, aby zatrzeć przykre wrażenie minionego wieczoru. Proimienie słońca przenikały przez szklanki z bursztynową herbatą. Sięgając po chleb i masło Sylwia pomyślała, jak by to było dobrze jadać tak razem śniadania i obmyślać plany całodziennych wycieczek.

— Odprowadzę cię na dół — powiedział Mircza. — Że też musieli się tak pośpieszyć!

— Może to i lepiej.

— Postarasz się o urlop? Przyjedziesz?

Pokręciła głową. Nie nalegał. Mimo to była mu wdzięczna za ponowienie propozycji. Wyglądał dzisiaj staro i mizernie.

— Młodzi jeszcze śpią?

— Nie wstaną przed dziesiątą. Raz jeszcze cię przepraszam.

— Nie ma o czym mówić.

—■ Gdyby nie oni, wszystko ułożyłoby się inaczej.

— Chodźmy! Chciałabym jak najprędzej znaleźć się w Bukareszcie. —

Widząc, że mimo woli sprawiła mu przykrość, dodała pośpiesznie: — Przez cały ten czas wyrzucałam sobie, że leniuchuję zamiast załatwiać powierzone mi sprawy. Moi przełożeni gotowi są Bóg wie co pomyśleć.

— Czy to takie ważne? — zapytał Mircza bezdźwięcznie. — Powiedz, Sylwio! Nie mamy już dwudziestu lat...

— Tym bardziej. Nie wybacza nam się lekkomyślności. Chodźmy! Dzięki za miłą gościnę.

Bezwiednie wróciła do tego tonu i sposobu bycia, jaki zawsze przybierała w pracy. Mircza spostrzegł to i zrozumiał po swojemu. Wolałaby pożegnać go natychmiast i samotnie zejść do miasteczka. Przedłużanie ostatniej rozmowy było niepotrzebne i krępujące, skoro uznała ten epizod za skończony i wybiegała już myślą do Buka-

198

reisztu. Nie mogła się jednak przyznać, że ciąży jej obecność Mirczy, bo poczułby się tym dotknięty albo stwierdził, iż obraziła się na niego, Sylwia zaś pragnęła rozstać się gładko i bezkonfliktowo.

Szli więc razem przez wiatrołom w różowym blasku, w chłodnym tchnieniu ziemi, po kruchych blaszkach lodu, bielejących we wgłębieniach ścieżki. Obecność milczącego towarzysza nie pozwalała Sylwii nacieszyć się w pełni tym spacerem, który był jakby epilogiem wycieczki sprzed lat trzydziestu. W bukowym lesie, na szerszej i wygodniejszej drodze przyspieszyła kroku, prawie biegła. Dopiero na polance pełnej zimowitów zatrzymał ją głos Mirczy:

— Stań na chwilę! Popatrz, jak tu ładnie...

Przystanąła spłoszona, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że przyspieszając rozstanie wyrzeka się czegoś, co miało wartość niewymierną. Odwróciła się ku Mirczy, stała przez chwilę o krok przed nim, twarzą w twarz, czekając na jakiś gest, na jakieś słowo. Gdyby wyciągnął ku niej rękę, gdyby wziął ją w ramiona, może zdobyłaby się na wysiłek, jakiego wymagało załatwienie wszystkich formalności w kraju, żeby móc resztę miesiąca spędzić tutaj, w górach. Profesor jednak patrzył na nią w milczeniu, zakłopotany i stropiony, nie chcąc ośmieszyć się w jej oczach niewczesnym wyznaniem. Nawet nie obecność Floriki, ale samo jej istnienie narzucało mu ostrożność i powściągliwość. Tak przynajmniej pomyślała Sylwia. I nie zważając już na piękno otoczenia ruszyła w dół, do promu.

Kiedy znaleźli się nad brzegiem, przewoźnik dopiero płynął w ich stronę. Woda migotliwie srebrzyła się i pieniała na wystających z toni głazach. Szedł od niej chłód pachnący mułem. Sylwia wzdrygnęła się, skojarzenia były przykre.

199

— ■ Nie odprowadzaj minie dalej — poprosiła. — Pożegnajmy się tutaj, nie przy ludziach.

Wystarczył wszakże wzrok przewoźnika, by to pożegnanie wypadło konwencjonalnie. Profesor ucałował rękę Sylwii, z uśmiechem spojrzał jej w oczy, lecz nie zdobył się na bezpośredniość, do której sam ją przecież nakłaniał. Podziękowała mu zdawkowo, jak troskliwemu guidowi, który z ramienia Instytutu sprawuje pieczę nad cudzoziemcami. Ledwo jednak wsiadła na prom, miała ochotę krzyknąć do Mirczy, żeby towarzyszył jej bodaj przez chwilę, żeby wysłuchał tego, co powinna mu była powiedzieć. Ale prom oddalał się szybko, profesor stojący na brzegu malał w oczach, zacierały się rysy jego twarzy, zamazywały się kraty na koszuli, Sylwia zaś

czuła suchość w ustach i przykry ucisk pod obojętym. Sięgnęła do torebki po pastylkę, którą należało ssać przy takich sensacjach, a gdy podniosła głowę, Mircza zniknął jej z oczu. Może zszedł niżej, między drzewa, może zawrócił do domu, w każdym razie zasmuciło ją to jego zniknięcie. Musiała zapłacić przewoźnikowi, poszukać drobnych w portmonetce, zgrabnie wyskoczyć na brzeg, gdzie czekało kilka osób na przeprawę.

W pensjonacie kierowniczką obrzuciła ją niezyczliwym spojrzeniem. Nie omieszkała stwierdzić, że zapytywano z Bukaresztu, dokąd to Sylwia jeździła na wycieczki, kto je dla niej organizował. Oznajmiła również, że na piątą wyznaczono spotkanie z dyrektorem, który przyszedł do siebie po ubolewania godnym wypadku drogowym.

Sylwia musiała jeszcze spakować swoje drobiazgi. Błękitna wiatrówka i sportowe buty nie mieściły się w podręcznej torbie. Pomyślała więc, czyby ich nie przekazać profesorowi, lecz zrezygnowała z tego obawiając się niepotrzebnych komentarzy. Może oddać te rzeczy pokojówce? Żal jej się zrobiło, choć lękała się brać je ze

200

sobą, aby nie przywodziły wspomnień. Raz jeszcze wyjęła na tapczan całą zawartość torby i zaczęła pakować od nowa.

Trzy grube zeszyty miesięcznika, w którym wydrukowano dziennik Klary, zajmowały tyle miejsca, że postanowiła je zostawić. Zamiast nich wepchnęła buty, jeszcze ubrudzone gliną, zawinięte byle jak w gazetę, i błękitną wiatrówkę, z przywiedłym zimowiteni w kieszonce. Torba wprawdzie nie dała się teraz zamknąć na błyskawiczny zamek, ale prezentowała się dość przyzwoicie. Sylwia wyniosła ją na korytarz, gdzie czekał już kierowca wołgi. Był to młody, służbisty mężczyzna, nieskory do towarzyskich rozmów. Usiadła więc na tylnym siedzeniu i sięgnęła po materiały, które jej przysłano z Bukaresztu.

Znalazła wśród nich prospekty reklamowe Chemicznej Centrali, ale i dokładniejsze informacje o pracach badawczych Instytutu, przede wszystkim zaś uwagi o propozycjach wzajemnych kontaktów, które przedyskutowano w większym gronie naukowców. Zajęta czytaniem, nie zauważyła nawet, kiedy minęli Rimnicul Vilcea i znaleźli się na szosie do Piteszti. Z ulgą wracała w świat liczb i symboli, sprawdzalny i wymierny, obojętny i bezpieczny. Nie odwróciła się ani razu, żeby spojrzeć na oddalające się góry. Obmyślała, co powie na spotkaniu z dyrektorem, powtarzała nieodparte argumenty. Bardziej niż kiedykolwiek zależało jej na tym, aby misja, której się podjęła, uwieńczona została pełnym

powodzeniem.

Czorsztyn 1969 — Obory 1975

Spis treści

Dzień pierwszy	7
Dzień drugi	32
Dzień trzeci	51
Dzień czwarty	71
Dzień piąty	103
Dzień szósty.	153
Dzień siódmy.....	164
Dzień ósmy	197

Wydawnictwo Łódzkie

Łódź, 1976 r.

Wydanie pierwsze. Nakład 30 000+294 egz. Ark. wyd. 9. Ark. druk. 12,75 (10,5). Papier druk. sat. ki. V, 63 g, 82X104. Oddano do składania 4 października 1975 r. Podpisano do druku w lutym 1976 r. Druk ukończono w lutym 1976 r. Łódzka Drukarnia Dzielowa, Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45. Zam. nr 2025/A/75. U-15. Cena zł 18,—